

Aby rozpocząć lekturę,  
kliknij na taki przycisk ,  
który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym  
LITERATURA.NET.PL  
kliknij na logo poniżej.



**Aleksander Krawczuk**

**OSTATNIA  
OLIMPIADA**

Tower Press 2000

Copyright by Tower Press, Gdańsk 2000

## HISTORIA I OLIMPIADY

Stara przypowieść grecka, chyba pitagorejska, porównywała życie i postawy ludzi do obrazów, jakie można zaobserwować podczas igrzysk w Olimpii. Jedni przybywają tam, aby walczyć na stadionach, zdobywać sławę, nagrody, znaczenie. Inni, aby w ten lub ów sposób zarobić, kręcąc się wśród tłumu widzów, handlując i zwodząc. A wreszcie jeszcze inni – i tylko ci są godni miana prawdziwych olimpijczyków! – zjawiają się nie dla rywalizacji, choćby najszlachetniejszej, nie z żądzy poklasku i rozgłosu, a nade wszystko nie dla pieniędzy; pragną natomiast po prostu i w spokoju ducha przyjrzeć się wspaniałemu widowisku, cieszyć się i radować samym pokazem ruchu i sprawności, nie myśląc o żadnych korzyściach osobistych.

Porównanie posiada także ten walor, że dobrze ilustruje, jak Grecy oceniali ludzkie postawy i cele zabiegów. Ów system wartościowania obowiązywał przez długie wieki w kręgach starożytnych intelektualistów i wpajany był uporczywie szerszym warstwom, z różnym oczywiście powodzeniem. Owszem, miłowano sławę i dobre imię, podziwiano agonistykę, nie potępiano z gruntu starań o złoto i srebro. Najwyżej jednak stawiano ideał życia oddanego wyłącznie kontemplacji, czyli bezinteresownemu badaniu i rozważaniu prawdy; wszelkiej prawdy, w każdej dziedzinie życia. W języku greckim tego rodzaju ogląd myślowy zwał się „theoria”. Pierwotnie określano tak sam akt wszelkiego obserwowania jakichś zjawisk, następnie oficjalne poselstwa państwowe, udające się na święte igrzyska, aby się im przyjrzeć i cześć oddać bogom, a wreszcie ów dopiero co wspomniany ogląd intelektualny, czyli myślenie skierowane ku sprawom wielkim i oderwanym; a także jego owoc. Właśnie w tym ostatnim znaczeniu wyraz żyje po dzień dzisiejszy. Teoria stanowiła w pojęciu greckich mędrców dobro najcenniejsze. Według pewnych koncepcji filozoficznych szczęśny byt bogów nieśmiertelnych polega na tym, i na tym tylko, że mogą oni oddawać się wyłącznie teorii, czyli patrzeć wprost w olśniewający blask Prawdy ostatecznej. Im bardziej więc – tak nauczali starożytni – życie nasze, uwolnione od więzów ciasnego praktycyzmu, skłania się ku myśleniu teoretycznemu, tym bardziej staje się boskie.

Przypowieść zachowuje zawsze swoją aktualność, dotyczy bowiem nie tylko czasów i stunków antycznych, lecz pewnych stale się powtarzających sytuacji, typów postępowania, hierarchii ocen. Jest też przestrożą dla nas. Igrzyska olimpijskie znowu przyciągają setki i tysiące zawodników z różnych krajów, a przede wszystkim wręcz nieprzejrzane rzesze entuzjastów; co prawda jedni i drudzy nie zawsze odznaczają się szczytną, absolutną bezinteresownością. Wydać by się mogło, że jakaś przedziwna psychoza ogarnia ogromne, i to najludniejsze, najbardziej cywilizowane obszary globu dokładnie co cztery lata – jak niegdyś w Helladzie.

Co cztery lata. Okres ten pomiędzy igrzyskami zwano w starożytności olimpiadą, podobnie jak niekiedy, choć rzadko, same zawody. Także obecnie wyraz ów występuje w dwóch znaczeniach, choć coraz częściej mówiąc „olimpiada” mamy na myśli jedynie zawody, zresztą nie tylko sportowe, lecz również rywalizację w różnych umiejętnościach naukowych; tak to się utarło przynajmniej w naszym kraju. Dlatego też tytuł niniejszej książki można rozumieć dwojako. Zapowiada on albo relację o ostatnich igrzyskach w Olimpii starożytnej,

albo też historię kilku lat pomiędzy igrzyskami przedostatnimi i ostatnimi. Oczywiście najlepiej byłoby omówić oba tematy łącznie. Nie wiemy jednak, co działo się na stadionach nad rzeką Alfejos, gdy po raz ostatni zebrali się tam zawodnicy. Nie znany jest ani przebieg konkurencji, ani nawet imiona zwycięzców. Zresztą gdybyśmy jakimś szczęsnym trafem posiadli autentyczne i dokładne sprawozdanie naoczego świadka tamtych igrzysk, może nie wypadłoby ono zbyt interesująco. Podobnie jak niewielu dziś pasjonują opowieści o przebiegu spotkań sportowych sprzed lat choćby tylko kilkunastu. To już wyłącznie zbiór ciekawostek i anegdot, zabarwionych sentymentem do wspomnień młodości, ale i pobłażaniem dla minionych rekordów, przeżyć, emocji. Nie nasuwają owe obrazy żadnych głębszych refleksji – poza chyba tą jedną: czy nie posunęliśmy się zbyt daleko w kulcie wyczynu sportowego, przygotowywanego niemal laboratoryjnie? Zgoła inaczej rzecz się przedstawia, jeśli za przedmiot rozważań wziąć wycinek dziejów pomiędzy dwoma igrzyskami, owe dzielące je lata, jeśli dokonać przeglądu najciekawszych wydarzeń, zaprezentować najwybitniejsze osobistości, scharakteryzować znamienne prądy i zjawiska w różnych dziedzinach życia społecznego. A zwłaszcza jeśli postawić pytanie: z jakich to przyczyn w pewnym momencie zgasły igrzyska, święcone poprzednio tak regularnie przez tyle wieków? Opowieść o sprawach i ludziach z okresu zamierania olimpiad antycznych może okazać się z wielu względów pouczająca dla tej generacji, która w przeszło piętnaście wieków później ogląda triumfalny pochód igrzysk odrodzonych.

W gruncie rzeczy książka ta winna stanowić tylko część dużej całości, złożonej z czterech odrębnych traktatów. Miejmy nadzieję, że owa tetralogia stopniowo powstanie i otrzyma swój pełny kształt jako owoc pracy kilku autorów. Otóż część pierwsza odmaluje obraz świata w czasach, gdy rozpoczęto obchodzić igrzyska olimpijskie regularnie; było to ósme stulecie p.n.e., wschód lub też raczej budzenie się greckiej kultury. Część druga, tutaj przedstawiona, mówi o epoce późniejszej o dwanaście wieków, kiedy to przyszedł kres olimpiad. A część trzecia? Ta opowie o czasach pierwszej olimpiady nowożytnej, czyli o latach 1896–1900. Dobiegał wtedy końca wiek XIX, wiek rewolucji przemysłowej i liberalizmu, a rozpoczynał się krótki i pogodny okres nie bez racji zwany piękną epoką. Jednakże postępy techniki, konflikty społeczne i polityczne już zapowiadały koszmar wojen i grozę wszelkich kataklizmów wieku XX. I wreszcie część czwarta tetralogii! Ta będzie poświęcona ostatniej olimpiadzie nowego, naszego porządku. Ktoś napisze taką książkę w przyszłości – jeśli w ogóle będzie miał i umiał kto pisać oraz jeśli znajdzie czytelników. Przyjdzie bowiem, przyjdzie na pewno moment dziejowy, który przetnie w ten lub inny sposób bieg i byt igrzysk tak podziwianych, tak wielbionych! Kiedy to się stanie, z jakich przyczyn, z czyjej winy? Nie ma wróża i nie ma futurologa, który by potrafił to wskazać choćby w przybliżeniu. Zgon, naturalny lub gwałtowny, może przyjść równie dobrze za wiele, wiele tysięcy lat, jak i w przyszłości najbliższej. Każde igrzyska, także te, do których się przygotowujemy, mogą okazać się ostatnimi. Twierdzą niektórzy, że już stało się coś, co źle wróży wielkiej idei olimpijskiego pokoju, braterstwa, szlachetnej rywalizacji. Popłynęła krew podczas igrzysk w Monachium! A przecież bez tej idei nawet najświetniej zorganizowane zawody stają się tylko popisem fizycznej sprawności wyselekcjonowanych osobników gatunku „homo sapiens”, niczym więcej.

Jedno wszakże wolno rzec już z góry i to z absolutną, niezachwianą pewnością! Kres olimpiad nowożytnych będzie zarazem oznaką śmierci lub co najmniej zasadniczej przemiany treści i oblicza naszej cywilizacji. Podobnie jak zgon olimpiad porządku antycznego zwiastował, że odchodzi i przeistacza się wspaniała, bogata, długotrwała epoka dziejowa, zwana przez nas starożytnością.

# MEDIOLAN I OLIMPIADA

## Mediolan, 17 stycznia

A jednak nie jest bez znaczenia i ma swoją wymowę fakt pozornie obojętny, że cesarz, za którego panowania dobiegły kresu olimpiady starożytności, wcale nie należał do bezwzględnych przeciwników igrzysk i zawodów! Chyba nawet pasjonował się pewnymi ich rodzajami, dzieląc upodobania ogromnej większości swych poddanych. Ci bowiem, niezależnie od wykształcenia, pozycji społecznej, wyznawanej religii, korzystali wręcz entuzjastycznie i przy każdej sposobności z uciech, jakich dostarczały teatry i areny cyrków; zwłaszcza te ostatnie. Tylko garstka ascetów, co prawda wpływowych i elokwentnych, rzucała gromy potępienia na wszelkie widowiska, wyścigi, przedstawienia. Pragnęła je wykorzenić i wypalić rozżarzoną żelazną jako rozrywki grzeszne w swej istocie, a zgubne w skutkach. Lecz owe nawoływania nie znajdowały pełnego posłuchu i szczerego zrozumienia nawet wśród współwyznawców; ci nie bardzo chcieli pojąć, że emocje scen i areny to tylko podstępne sztuczki szatana i sług jego.

Gdzie jednak dowód, gdzie wskazówka, że władca, którego imię wymienia się niejako z konieczności zawsze, ilekroć mowa o wygaśnięciu olimpiad świata starożytnego, rzeczywiście nie gardził igrzyskami – przynajmniej cyrkowymi? Za odpowiedź niech wystarczy na razie fakt tylko jeden, lecz za to dobrze poświadczony, znamienity. Oto kiedy nadarzyła się sposobność, cesarz, choć już poważnie chory, urządził z własnej inicjatywy wyścigi rydwanów; co więcej, zaszczycił widowisko swoją obecnością i przewodził mu honorowo w godzinach rannych. Tym, którzy wspominali tę scenę wieczorem, wydawać się ona musiała dziwnie odległą, wręcz nierealną; tak nagły i ostry był kontrast dwóch wydarzeń jednego i tego samego dnia owej zimy.

Rzecz działa się w Mediolanie. Cesarz przyjechał tam z Akwilei lub wprost z Rzymu, bardzo osłabiony. Otoczenie tłumaczyło to trudami zeszłorocznej kampanii wojennej. Lecz wbrew powszechnej opinii przyczyna niemocy tkwiła głębiej, była więc tym groźniejsza. Dla mężczyzny jeszcze przed pięćdziesiątką dowodzenie operacjami wojskowymi w polu nie mogło stanowić wysiłku nadmiernego. W istocie zaś przeżerała i podcinała odporność organizmu nieuleczalna choroba. Zwano ją z grecka hyderos lub hydrops. W terminologii medycyny antycznej oznaczać to mogło zarówno puchlinę i obrzęki, jak też nadmierne, ustawiczne pragnienie. W tym drugim przypadku w grę wchodziłaby chyba cukrzyca, w pierwszym natomiast niewydolność wątroby, nerek, układu krążenia. W każdym razie chory czuł się tak źle, że dni swoje uważał już za policzone. Przygnębiało go również – tak powiadano – wciąż żywe wspomnienie pewnej przepowiedni sprzed lat trzech. Przebywał wtedy na Wschodzie, przygotowując wyprawę przeciw uzurpatorowi, który miał już w swym ręku prawie wszystkie prowincje zachodnie, łącznie z Italią i samym Rzymem. Wojna nabrała też cech konfliktu religijnego, uzurpator bowiem – był on z zawodu profesorem retoryki łacińskiej, purpurę zaś cesarską otrzymał z łaski germańskiego dowódcy – coraz wyraźniej popierał kultury pogańskie, sam składając krwawe ofiary bogom, radząc się wyroczni, wznosząc posągi Jowisza ze złocistym piorunem w ręku. Otóż władca prawowity sięgnął też po środki propagandy religijnej. Polecił szerzyć przepowiednię, jakiej udzielił mu podobno pewien mnich-pustelnik w Egipcie: W tej wojnie zwyciężysz! Lecz uporczywe pogłoski wciąż powtarzały, że dalsza część owej przepowiedni brzmiała: Zwyciężysz, ale po to tylko, by wnet umrzeć! Obecnie więc

cesarz, gdy już pokonał przeciwnika, a sam stał się ofiarą cierpień nieznośnych, przewidywał najgorsze. Dlatego też rozkazał przywołać z Konstantynopola syna młodszego, zaledwie jedenastoletniego; starszy bowiem, już osiemnastoletni, nie mógłby przyjechać tak szybko – zatrzymywały go na Wschodzie ważne sprawy.

I oto gdy tylko chłopiec stanął w Mediolanie, ojciec jakby odzyskał siły! Do tego stopnia, że uznał za wskazane właśnie teraz i tutaj uczcić wyścigami rydwanów zwycięstwo, jakie w roku ubiegłym odniósł nad uzurpatorem, odbierając mu nie tylko władzę, lecz i życie. Zawody rozpocząć się miały w dniu 17 stycznia. Cesarz przybył ze swym orszakiem do hipodromu już we wczesnych godzinach rannych.

Któż mógł wtedy odgadnąć, któż przypuszczał, że ukazuje się on publicznie po raz ostatni? Lecz i tak, gdy zajmował miejsce w łoży, by dać znak rozpoczęcia igrzysk, tysiące i tysiące oczu wpatrywało się weń uważnie, z ciekawością i podziwem. To prawda, goszczono go i widywano w Mediolanie już nieraz, lecz dopiero teraz stał tu jako jedyny, bezsporny pan całego Imperium. Zmarli już bowiem współwładcy, a nieszczęsny samozwaniec zginął przed kilku miesiącami marną śmiercią: po raz pierwszy od lat trzydziestu wszystkie krainy od Atlantyku po Eufrat miały i uznawały formalnie i faktycznie jedynego tylko rozkazodawcę; obaj jego synowie, choć już nosili tytuły Augustów, naprawdę jeszcze nie władali – z racji choćby młodocianego wieku.

Cesarz był wzrostu średniego, budowy ciała raczej wątłej, lecz kształtnej. Włosy – choć Hiszpan rodowity! – miał jasne, nos zgrabny, nieco orli. Chorobę znamionowały tylko wypieki, stale pojawiające się na twarzy. Rzecz to zrozumiała i wciąż się powtarzająca w różnych epokach, że współcześni rozmaicie go oceniali jako władcę; natomiast dość zgodnie i powszechnie przyznawano wtedy, że jako człowiek okazuje się on bardzo sympatyczny w bezpośrednim zetknięciu. Nawet intelektualiści podkreślali z satysfakcją, że nie brak mu wykształcenia i odczytania; szczególnie żywo interesował się historią, dając wyraz przy ocenie postaci i wydarzeń przeszłości prawdziwie rzymskiemu patriotyzmowi. Nie stanowiło też żadnej tajemnicy, jak szczerze przywiązany jest do rodziny; stryjowi okazywał szacunek niby ojcu własnemu, dzieci zaś brata i siostry traktował na równi ze swoimi. Podejmował swych gości zawsze uprzejmie i wytwornie, choć bez zbytniego przepychu. W rozmowach celował kulturalnym dowcipem, umiejętnie dostosowując temat i poziom do stanu społecznego i zainteresowań osób obecnych. A jeśli chodzi o codzienny tryb życia: uprawiał dla zdrowia pewne ćwiczenia, lubił długie spacery, jadał skromnie. Wadą najbardziej rzucającą się w oczy i rzeczywiście groźną była zbytnia popędliwość w gniewie. Objawiało się to zwłaszcza wtedy, gdy mniemał, że w jakiś sposób naruszono autorytet władzy; podejmował w takich sytuacjach decyzje, których gorzko potem żałował.

Owego dnia przyzwał igrzyskom aż do posiłku przedpołudniowego. Gdy go spożył, zasnął natychmiast; nie był w stanie powrócić do łoży. Prosił więc, aby syn objął przewodnictwo w zastępstwie. Rzecz to znamienita, że nie chciał i nie zezwolił, by przerywano lub odkładano zawody; z pewnością więc ani on sam, ani też nikt z obecnych nawet nie podejrzewał, że kres tak już bliski. Zresztą wyścigi w hipodromie miały trwać jeszcze przez dłuższy okres, jako że właśnie za dwa dni obchodzono by szesnastą rocznicę wstąpienia władcy na tron.

Lecz jeszcze tegoż samego dnia 17 stycznia, choć już z nadejściem nocy, zmarł w swym mediolańskim pałacu cesarz Teodozjusz; potomni dali mu przydomek Wielkiego<sup>1</sup>.

---

<sup>1</sup> Śmierć Teodozjusza: Sokrates, *Historia kościelna* (dalej cyt.: Sokr., H.k.), V 26; Sozomenos, *Historia kościelna* (dalej cyt. Soz., H.k.), VII 29; Filostorgiusz, *Historia kościelna*, XI 2.

## Dilexi

Ostatnie słowo, jakie stojący wokół łoża postyszeli z ust konającego, brzmiało: „Dilexi” – umiłowalem. Czy odnosiło się ono do spraw wielkich, wiecznych, duchowych, czy też do ludzi żyjących i bliskich? A może cesarz wracał myślą do wspomnień dawnych i osób niegdyś drogich sercu? Ojciec jego, również noszący imię Teodozjusz, zginął śmiercią tragiczną przed dwudziestu laty, uwięziony, skazany i ścięty w Kartaginie, jako ofiara ponurej intrygi politycznej – choć piastował najwyższe dostojeństwa państwowe i położył ogromne zasługi na polach bitew w Brytanii, nad Renem i Dunajem, w Afryce. Zmarła wnet potem matka obecnego cesarza, a także brat. Zeszły wreszcie ze świata obie żony; pierwsza, matka dwóch synów, już przed laty dziesięciu, druga zaś zaledwie przed rokiem, w połogu.

Spośród członków rodziny znajdowało się w Mediolanie kilka osób. A więc przede wszystkim już wspomniany syn młodszy, imieniem Honoriusz. Dalej jego przyrodnia siostra, pięcioletnia dziewczynka Galla Placydia; jej mauzoleum, zbudowane w przeszło pół wieku później, klejnot architektury europejskiej, zdobi do dziś Rawennę. Przebywała też w mediolańskim pałacu bratanica cesarza, licząca lat dwadzieścia kilka Serena oraz jej mąż, komes Flawiusz Stylichon, naczelną dowódca wojsk pieszych i jazdy w prowincjach zachodnich, mężczyzna przynajmniej czterdziestoletni. Jego to opiece polecił umierający swoje dzieci. Nie pozostawił natomiast na piśmie żadnego testamentu – ani politycznego, ani też prywatnego. Tego rodzaju dokument nie był potrzebny, skoro o wszystkim, co istotne, zadecydowano już wcześniej. Zgodnie z wolą ojca obaj synowie mieli rządzić zgodnie: Honoriusz prowincjami Zachodu, starszy zaś Arkadiusz, połacią wschodnią. Obaj zresztą, jak się rzekło, mieli już tytuły Augustów. Imperium oczywiście pozostawało wciąż jedno i to samo, chodziło tylko o terytorialny rozdział kompetencji, co w praktyce stosowano już poprzednio często i z dobrym skutkiem. Któż mógł przewidzieć, któż by uwierzył, że właśnie obecny podział okaże się ostateczny, trwały, historycznie zgubny? Wspomnijmy wreszcie i to, że cesarz porządkując sprawy państwa nie przeszedł obojętnie nad losem zwykłych poddanych, umęczonych najazdami barbarzyńców i wojnami domowymi w latach ostatnich; została już opracowana i czekała tylko na podpis ustawa przyznająca poważne ulgi podatkowe.

Na wyraźne życzenie władcy przybył do pałacu także biskup Mediolanu Ambroży. W czterdzieści dni później wygłosił on mowę pogrzebową ku czci zmarłego. Wspomniał w niej kilkakrotnie owo ostatnie jego słowo „dilexi”, nie wprost jednak, lecz nawiązując doń pośrednio ze zręcznością urodzonego retora, jakim był rzeczywiście. Powiada więc w pewnym miejscu:

– Umiłowalem człowieka, który w ostatnich chwilach swego życia i resztką tchu jeszcze o mnie pytał!

Gdzie indziej zaś daje do zrozumienia, że istnieją też głębsze i poniekąd nie tak osobiste przyczyny, usprawiedliwiające prawdziwe przywiązanie do władcy; lecz i w tym przypadku powraca owo „dilexi”:

– Umiłowalem człowieka, ceniącego wyżej tego, kto broni swego stanowiska, od pochlebcy. Człowieka, który potrafi odrzucić wszystkie przysługujące mu insygnia władzy monarchicznej, aby publicznie oplakiwać swój grzech w kościele; a grzech ten popełnił raczej skutkiem podstępów ze strony innych osób. Jęcząc i zawodząc cesarz błagał o przebaczenie. Wcale nie wstydził się tego, czego się wstydzą ludzie zwykli, to jest jawnie odprawiać pokutę. I nie było potem ani jednego dnia, w którym by gorzko nie bolał nad tamtym swoim błędem<sup>2</sup>.

Przyznać musimy, że obraz odmalowany przez Ambrożego jest w swym charakterze iście średniowieczny, wręcz zapowiadający Kanossę: oto imperator korzy się na oczach wszystkich przed reprezentantem władzy duchownej. Ale zarazem ów grzech, czy też błąd, za który pan

---

<sup>2</sup> Ambroży, *De obitu Theodosii oratio*, 34.



Imperium pokutował tak ciężko, wiązał się pośrednio – jak zobaczymy – z obyczajowością typową dla świata antycznego.

Wyliczając w mowie pogrzebowej różnorakie cnoty i zasługi zmarłego biskup nie mógł jednak pochwalić go – na pewno ku swemu prawdziwemu żalowi! – za wrogość lub choćby tylko obojętność wobec igrzysk. A chętnie by ten tytuł chwały nie tylko wymienił, lecz także opatrzył budującym komentarzem, wyniósł aż pod niebiosa! Przecież zaledwie przed trzema laty, gdy zegnał innego cesarza (zginął on w wieku młodzieńczym, śmiercią tragiczną, chyba nawet samobójczą), tenże sam Ambroży nie omieszkał napomknąć z uznaniem:

– Podobno cieszyły go początkowo igrzyska cyrkowe. Lecz później słabości tej wyzbył się tak gruntownie, że nie uważał za wskazane urządzać ich nawet w dniu urodzinowym cesarzy, nawet ku czci panujących!<sup>3</sup>

Lecz Teodozjusz nie okazywał w stosunku do widowisk wstrzemięźliwości tak chwalebnej. I lepiej było tej sprawy w mowie pogrzebowej w ogóle nie dotykać, skoro wszyscy słuchacze mieli jeszcze w żywej pamięci, jak to rozpoczynał się ów dzień, w którym cesarz odszedł na wieki. Jeszcze wyraźnie stał im przed oczyma imperator prezydujący w łoży wyścigom rydwanów, i to zaledwie na kilka godzin przed swą śmiercią w dniu 17 stycznia roku ...

## Konsulowie, ery, olimpiady

Od dnia 1 stycznia godność konsulów piastowali z łaski cesarza dwaj bracia, bardzo jeszcze młodzi, niemal chłopcy, Olibriusz i Probinus. Pochodzili z możnej i sławnej wówczas rodziny Anicjuszów, osiadłej w samym mieście Rzymie. Poeta Klaudian uświetnił objęcie przez nich urzędu panegirycznym utworem, w którym powiada: „Zaczęliście od tego, co zwykle jest celem ostatecznym. Tylko nieliczni starcy zasłużyli na to, co Wam dano od razu. Jesteście już u mety, nim jeszcze słodkie Wasze twarze ocenił kwiat młodości, nim zarost ozdobił wdzięczne lica”<sup>4</sup>. Ale właśnie fakt, że dostojny urząd powierzono chłopcom, świadczył, jak niewiele naprawdę znaczył on wówczas; nie przysługiwały mu prawie żadne kompetencje rzeczywiste. Mimo to honor był niemały, wciąż bowiem jeszcze datowano oficjalnie i prywatnie w ten sposób, że określano lata nazwiskami par konsulów, zmieniających się corocznie właśnie w dniu 1 stycznia; stąd też i my właśnie od tego dnia rozpoczynamy rok nowy. Natomiast liczenie lat od przyjścia na świat Chrystusa, czyli od „wcielenia Słowa”, miało wejść w zwyczaj dopiero znacznie później, a i to wcale nie wszędzie, nawet w granicach świata chrześcijańskiego. Wtedy więc jeszcze nikt nie mówił, że cesarz Teodozjusz zmarł w roku 395; wystarczyło stwierdzić, że stało się to za konsulatu Olibriusza i Probinusa.

Tylko w dziełach niektórych historyków liczono lata w pewnych przypadkach „od założenia Rzymu”, w danym razie był to rok 1148. I również tylko w suchych kronikach lub w pracach erudytów starożytnych spotyka się datację według olimpiad, zazwyczaj zresztą niezbyt dokładną. Wystarczy posłużyć się przykładem nas interesującym. Oto jeden z dziejopisów utrzymuje, że Teodozjusz zmarł w okresie olimpiady 293, drugi zaś, że w pierwszym roku olimpiady 294. To pierwsze twierdzenie jest oczywiście nazbyt ogólnikowe, boć przecie olimpiada obejmuje lat cztery, drugie zaś wprost błędne. W rzeczywistości bowiem gdyby chcieć podtrzymywać i konsekwentnie stosować właśnie ten system rachuby lat, trzeba by powiedzieć tak: konsulat Olibriusza i Probinusa, a więc i zgon cesarza Teodozjusza, przypadły na trzeci rok olimpiady 293<sup>5</sup>.

Lecz doprawdy nie należy się dziwić owym pomyłkom i niedokładnościami. Wtedy mia-

<sup>3</sup> Ambroży, *De obitu Valentiniani consolatio*, 15.

<sup>4</sup> Klaudian, *Panegyricus dictus Probino et Olybrio*, 67–689.

<sup>5</sup> *Traité d'études Byzantines*: V. Grumbach, *La chronologie*, Paris 1958, s. 242.

nowicie, gdy wspomniani kronikarze i historycy dzieła swe pisali, igrzysk w Olimpii nie obchodzono już od dawna. Zgasły one i odeszły niemal z tym cesarzem, który jako ostatni w długim szeregu rzymskich imperatorów panował nad całym Imperium. Tak więc zbiegły się w czasie dwa doniosłe wydarzenia; jedno o charakterze politycznym, drugie kulturowym. A zobaczymy, że takich wydarzeń, oznaczających symbolicznie i faktycznie kres pewnej epoki, a początek nowej, zagaściło się właśnie w tym okresie, to jest w latach schyłku panowania Teodozjusza, zdumiewająco dużo. Mimo to chyba nikt ze współczesnych nie zdawał sobie w pełni sprawy, że naprawdę dokonuje się przełom: odchodzi świat stary, a dominować zaczyna inny system myślenia i życia. Ale tak zwykle bywało i bywa. Kiedy wciąż się deklamuje, że oto rodzi się Nowe, w istocie rzeczy zmiany są tylko pozorne, niemal formalne, słowne, powierzchniowe. I odwrotnie: gdy w głębi struktury społecznej zachodzą metamorfozy rewolucyjne, początkowo prawie nikt tego nie dostrzega. Owszem, potomni dziwią się i wyrzekają: Że też wtedy nikt nie ocenił należycie przemian oczywistych, nikt nie pojął i nie zrozumiał ich znaczenia! Ale oni patrzą z odległości i mają przed sobą całą panoramę, widzą więc ostro, co pagórkem lub sztucznym nasypem, a co wyniosłym szczytem. Nie inaczej działo się i wtedy, kiedy nadchodził kres olimpiad, a z nimi i świata antycznego. Jak bardzo nie rozumiano wówczas wymowy i sensu różnych faktów, okaże się z całą oczywistością, jeśli spróbujemy odpowiedzieć na proste, wręcz banalne pytanie: skądże to wiadomo, skąd pewność, że ostatnie igrzyska w Olimpii odbyły się właśnie za Teodozjusza?

## Georgios Kedrenos

„Wtedy to zgasła uroczystość olimpiad, obchodzona co cztery lata. Początek jej przypada na czas, kiedy to nad Żydami królował Manasses, trwała zaś aż do panowania Teodozjusza Wielkiego”<sup>6</sup>.

Greckie dzieło, z którego słowa te pochodzą, nosi tytuł *Synopsis historion*, czyli *Przegląd dziejów*. Istotnie, daje dość obszerny zarys ważniejszych wydarzeń historycznych – a ściślej mówiąc tych, które wtedy uważano za ważne; i to poczynając od stworzenia świata! Przytacza więc najpierw opowieści biblijne, potem omawia dzieje Grecji i Rzymu, a wreszcie i Bizancjum aż po rok 1057. Autor owej synopsy jest postacią właściwie zupełnie nie znaną. Domyślamy się tylko, iż żył pod koniec wieku XI jako mnich w jednym z klasztorów na ziemiach cesarstwa bizantyjskiego; zwał się Georgios (spolszczona forma tego imienia brzmi Jerzy) Kedrenos. Więcej natomiast można powiedzieć o jego mentalności, a zwłaszcza o metodach pracy i źródłach, jakimi się posługiwał, o tym bowiem świadczy sama książka. Świadczy zresztą niezbyt pochlebnie.

Kedrenos mianowicie parafrazował, a w pewnych partiach po prostu przepisywał niemal dosłownie całe strony z dzieł kilku swych poprzedników, historyków i kronikarzy bizantyjskich. Kompilował dość pilnie, a miejscami wręcz bezmyślnie. Nie prowadził oczywiście żadnych badań samodzielnych, nie szperał po archiwach, nie wdawał się w dociekania metodyczne, nie oceniał i nie porównywał wartości relacji. Ale też nie zmyślał i nie dodawał niemal niczego od siebie – prócz pochwał i potępień, raczej prostodusznych, albo też westchnień pobożnych. Jeśli więc zniekształcał cudze słowa, to zazwyczaj tylko dlatego, że niezręcznie je powtarzał, nazbyt skracał lub nieudolnie łączył z tokiem innych opowieści; a do mistrzów kompozycji nie należał. A krąg jego zainteresowań?

Przede wszystkim schematycznie pojęte dzieje panowań królów i cesarzy, wzmianki o wojnach i kataklizmach; dalej historia Kościoła, traktowana znowu głównie jako zbiór wiadomości o cudach, synodach, walce z heretykami i schizmatykami. Ogromnie pociągają Ked-

---

<sup>6</sup> Georgios Kedrenos, *Synopsis historion* (Compendium Historiarum), s. 258 B wyd. weneckiego, r. 1729.

renosa wszelkie niezwykłości natury. Weźmy pod uwagę właśnie rozdział poświęcony panowaniu Teodozjusza! Otóż więcej miejsca, niż króciutka notatka o kresie olimpiad, zajmują w nim łącznie wiadomości tego typu:

„W piątym roku rządów Teodozjusza pewna kobieta w Antiochii wydała na świat w jednym porodzie czterech chłopców; ona sama żyła potem jeszcze przez dwa miesiące, a tamci zmarli jeden po drugim.

W ósmym roku władztwa tegoż cesarza w palestyńskim miasteczku Emaus urodziło się dziecko rozdzielone od pępka w górę w ten sposób, że miało podwójne piersi i dwie głowy. A obie owe części czuły odrębnie! Kiedy więc jedna jadła lub piła, druga odpoczywała; gdy ta spała, tamta czuwała. Niekiedy bawiły się z sobą zgodnie, kiedy indziej razem płakały, a czasem nawet się biły. Żyły tak wspólnie lat dwa. A gdy jedna zmarła, druga zeszała ze świata w kilka dni później”<sup>7</sup>.

Nie ulega żadnej wątpliwości, że Kedrenos nie wymyślił informacji o tym, kiedy skończyły się olimpiady; wziął ją oczywiście z jakiejś wcześniejszej kroniki lub dzieła historycznego. Niestety, źródło to później zaginęło i nie jest nam znane nawet z tytułu. Tak więc tylko i jedynie ta niemal przypadkowa notatka w książce bizantyjskiego mnicha, piszącego już w czasach głębokiego średniowiecza, powiadamia nas o tym, co z perspektywy wieków można uznać za symboliczne zamknięcie antycznej kultury, w każdym zaś razie za ważny moment jej skłaniania się ku zachodowi. Warto uświadomić to sobie wyraźnie: gdyby Kedrenos pominął ów zapis z tego lub innego względu, gdyby dał w to miejsce relację o jakimś potworku, cudzie, dziwie natury, nie potrafilibyśmy określić dziś nawet w przybliżeniu, kiedy to odbyły się ostatnie zawody w Olimpii. Mielibyśmy przecież prawo przypuszczać, że powtarzano je co cztery lata jeszcze wiele razy; i że zmarły za panowania jakiegoś innego cesarza cichą śmiercią w ubogiej krainie Peloponezu, zapomniane przez bogów i ludzi.

Kedrenos wertował stare księgi w siedem wieków po zgonie Teodozjusza i kresie olimpiad. Mógł zaś o tyle łatwiej przytoczyć wzmiankę o tym ostatnim wydarzeniu, że sam chyba niezbyt się orientował, na czym polegały tamte uroczystości pogańskie; nie wiedział, jaki był przebieg, jakie znaczenie. Zresztą, jeśli przyjrzeć się bliżej, nawet to, co w tej materii ma do powiedzenia, jest częściowo błędne, częściowo zaś nazbyt ogólnikowe. Mówi mianowicie bizantyjski autor, że Manasses (poprawniej byłoby: Menasse) panował w Judei właśnie wtedy, gdy w Helladzie zaczęto obchodzić święto olimpijskie regularnie. Otóż król ten jest wcale dobrze znany dzięki księgom *Biblii* i wiadomo, że władał długo, bo w latach 696–642. A tymczasem – komuż data owa jest obca? – pierwsze zawody olimpijskie, od których kolejno liczono następne, odbyły się dużo wcześniej, bo już w roku 776! Pomyłka bizantyjskiego mnicha, czy też raczej źródła, z którego czerpał, jest w tym przypadku wręcz rażąca. Może jednak ktoś twierdzić, że Kedrenos miał na myśli króla nie Manasses, lecz Menahema. Ten panował istotnie nieco bliżej początku olimpiad, bo w latach 747–738, nie w Judei wszakże, lecz w Izraelu (w tamtej epoce egzystowały dwa, zresztą wrogie sobie królestwa żydowskie). Czy więc tak sprawę tłumaczyć, czy też inaczej, błędy chronologiczne i rzeczowe są ewidentne.

Dalej, chcielibyśmy wiedzieć dokładnie, które to igrzyska olimpiad antycznych były ostatnie? Na który rok przypadają w naszym systemie rachuby lat? Kedrenos informuje nas ogólnikowo i pobieżnie, że stało się to w czasach Teodozjusza Wielkiego. Ale przecież cesarz ten panował prawie pełnych lat szesnaście, a mianowicie od stycznia roku 379 do stycznia roku 395, w tym zaś okresie zawody w Olimpii odbywały się – lub też odbyć się powinny! – aż czterokrotnie. Chodziłoby mianowicie o igrzyska liczone kolejno jako 290, 291, 292, 293, święcone odpowiednio w latach 381, 385, 389, 393. Gdzie szukać dodatkowej wskazówki, która by pozwoliła rzecz ustalić ściśle?

---

<sup>7</sup> Tamże, s. 249 D i 250 B wyd. weneckiego.

## Ostatnie olimpiady

Trzeba powiedzieć od razu, że bezwzględnie pewnych wskazówek w tej kwestii nie posiadamy; istnieją wszakże dwie godne uwagi poszlaki pośrednie. Po pierwsze, zachowała się przypadkowa informacja, że w igrzyskach olimpiady 291, a więc w roku 385, zwycięstwo odniósł pewien książę armeński. Tak, armeński; a więc człowiek pochodzenia obcego, nie-helleńskiego – choć bez wątplenia mówiący po grecku. Fakt pozornie obojętny nasuwa jednak dalsze refleksje. Przecież niegdyś, przed wiekami, w okresie niepodległości państw Grecji klasycznej, nie dopuszczano do zawodów w Olimpii nikogo, kto nie potrafi wykazać, że jest w pełni Hellenem! Zdarzyło się w początkach wieku V p.n.e., że od udziału w nich chciano wykluczyć nawet królewicza macedońskiego. Musiał on udowodnić przed komisją sędziowską, że jego przodkowie wywodzą się z miasta Argos; dopiero po udokumentowaniu swego rodowodu został dopuszczony i w biegach przyszedł do mety niemal na równi ze zwycięzcą. Co prawda później takich rygorów już nie stosowano, zwłaszcza wobec Rzymian; a ci stawali do zawodów dość często. Ale któż by się ośmielił uznać panów świata za barbarzyńców? I oto wreszcie jako ostatni znany z imienia zwycięzca olimpijski w starożytności pojawia się w roku 385 ów Armeńczyk! Ktoś lubujący się w wychwytywaniu symbolicznej wymowy różnych faktów dziejowych ma tu wdzięczne pole do snucia rozważań: zamierające olimpiady jednej epoki zapowiadają zarazem nowe igrzyska w odległej przyszłości; igrzyska, które staną się wspólną własnością i świętem całej ludzkości – nie tylko Hellenów i Rzymian, i nawet nie tylko Europejczyków! Dla nas wszakże istotne są obecnie nie tamte wielkie i dalekie perspektywy historyczne, lecz sam fakt, że igrzyska roku 385 odbyły się z całą pewnością. Skoro tak, to pozostają do wyboru jako naprawdę ostatnie tylko dwa, a mianowicie te przypadające na rok 389 i 393. W podręcznikach, opracowaniach i encyklopediach przyjmuje się dość zgodnie tę drugą datę. Dobrze jednak uświadomić sobie, że w gruncie rzeczy przemawia za nią tylko poszlaka pośrednia, wątpliwej zresztą wartości: Kedrenos mówi o „zgaśnięciu” olimpiad już pod koniec swej relacji o panowaniu Teodozjusza.

Z tym jednak wiąże się kwestia inna, już poruszona poprzednio. Czy igrzyska dobiegły kresu niejako z przyczyn naturalnych – mogło zabraknąć funduszów, mogło wygasnąć zainteresowanie opiekunów, widzów i zawodników – czy też stało się to nagle, z woli i na rozkaz władcy lub kogoś innego, wrogiego kultom i obrzędowi pogańskim? Grecki czasownik „apesbe”, któremu dokładnie odpowiada polskie „zgasł”, dopuszcza w zasadzie oba rozumienia; a właśnie tym wyrazem posłużył się Kedrenos. Przyjmuje się w różnych pracach naukowych, ba, dość często stwierdza się kategorycznie jako rzecz oczywistą i dobrze poświadczoną, że to cesarz Teodozjusz zdecydowanie zabronił odbywania igrzysk w Olimpii, brutalnie przecinając ich byt specjalnym edyktem. Wypada jednak równie kategorycznie zaznaczyć, że nie ma żadnej, ale to żadnej podstawy źródłowej, by sprawę właśnie tak przedstawiać. Ci, co się opowiadają za taką tezę, ulegają jakby presji pewnych faktów – owszem, znamiennych, ale przecież nie dotyczących bezpośrednio samej historii olimpiad! To prawda, że Teodozjusz prześladował kultury pogańskie. Prawdą jest również, że surowo i pod groźbą kar zakazywał składania ofiar oraz polecał zamykać, a nawet niszczyć i burzyć świątynie. I prawdą jest wreszcie, że nasilenie antypogańskich ustaw i akcji represyjnych przypada na schyłek jego panowania, czyli właśnie na te lata, kiedy święcić miano igrzyska roku 393. Z drugiej wszakże strony należy koniecznie pamiętać, że w niektórych miejscowościach pewne zawody sportowe, wyraźnie związane z kultami pogańskimi, żyły i trwały nawet w dziesiątki lat po czasach Teodozjusza, ponad wiek nawet! Tak właśnie przedstawiało się to w Antiochii, wielkim mieście starożytnej Syrii. Co cztery lata, a mianowicie w każdym roku poprzedzającym święto w Olimpii, urządzano tu igrzyska, nazywając je również olimpijskimi; i słusznie, bo

też wiernie się wzorowały niemal pod każdym względem na tamtych, obchodzonych w starym kraju. Otóż wystarczy wskazać, że te olimpiady w Antiochii powtarzano bez przerw i bez przeszkód aż po rok 520; przeżyły więc swą macierz o lat prawie 130!<sup>8</sup>

W związku z tym faktem mógłby ktoś argumentować:

Czy trzeba lepszego dowodu, iż nie było za Teodozjusza żadnego edyktu, likwidującego i znoszącego święta olimpiad w ogóle? Dlaczego bowiem miano by zakazywać odbywania takich samych zawodów w jednej krainie, a tolerować je w innej?

Ktoś inny wszakże miałby prawo interpretować tę sprawę zgoła inaczej.

W Antiochii, mieście ludnym, ogromnym, bogatym, cesarz nie mógł znieść igrzysk, obawiał się bowiem, że wywoła to rozruchy; a zdarzały się one często, i to również za jego panowania. Natomiast w Olimpii, położonej daleko od dużych ośrodków miejskich, nie groziły żadne zaburzenia, bo stałych mieszkańców prawie tam nie było. Wystarczyło zwykłe zarządzenie, iż zabrania się goszczenia zawodników i widzów – jeśli, powtórzmy to raz jeszcze, igrzyska nie zamarły po prostu z braku pieniędzy. Urządzanie bowiem zawodów wymagało, jak zawsze i wszędzie, i nie tylko w starożytności, dużych nakładów. W wielkich metropoliach brzemień to spadało na barki władców, rad miejskich, a przede wszystkim miejscowych bogaczy; traktowano to jako rodzaj daniny na rzecz społeczności i warstw uboższych. Kto jednak miał płacić, kto miał pokrywać koszty w Olimpii? Okolice były biedne, nieliczna ludność zajmowała się głównie pasterstwem, dawne fundacje – a istniały i takie – dawno już się wyczerpały lub przeszły w obce ręce, świeckie albo i kościelne. Prozaiczne kwestie finansowe sprawiały już i przedtem wiele kłopotu organizatorom igrzysk; w ciągu wieków niejednokrotnie groziło im zgaśnięcie. Tak było pod koniec I wieku p.n.e. Uratował wówczas byt pogańskich igrzysk król Judei Herod. Tak, właśnie ów sławny Herod, szeroko znany w późniejszej tradycji chrześcijańskiej jako krwawy tyran, zabójca dzieci; ten sam Herod, który trafił do naszej szopki. Zapewne, nie należał on do władców najłagodniejszych; stwierdzić jednak trzeba, że jako wielbiciel helleńskiej kultury położył duże zasługi dla różnych jej ośrodków, zabytków i przejawów. Otóż historyk żydowski Józef Flawiusz tak pisze o olimpijskim jego mecenacie:

„Krainie Elidzie złożył dar przeznaczony już nie tylko dla Hellady, ale dla całego świata, dokądkolwiek dobiega wieść o igrzyskach olimpijskich. Zaslyszawszy bowiem, że z powodu braku środków igrzyska te upadają i że ma zniknąć ta jedyna pamiątka po starożytnej Helladzie, wziął udział w tych zawodach jako sędziego w trakcie swej podróży do Rzymu; ponadto ustanowił po wsze czasy dochody dla utrzymania igrzysk, czym uwiecznił pamięć swego sędziowania”<sup>9</sup>.

Mogło chodzić o igrzyska liczone jako 192 lub 193 (rok 12 albo 8 p.n.e.) Kto wie; gdyby nie hojność Heroda, gdyby nie jego umiłowanie helleńskiej przeszłości, olimpiady może przestano by święcić już wtedy, a nie dopiero w cztery wieki później? A z kolei ów wcześniejszy zgon igrzysk miałby na pewno niekorzystny wpływ na trwałość pamięci o nich i na sprawę ich odrodzenia w naszych czasach.

Pozostawić więc musimy niejako w zawieszeniu odpowiedź na pytanie, co położyło kres zawodom w Olimpii. Równie trudno określić, które to odbyły się jako ostatnie: te w roku 389, czy też 393. Niewątpliwym natomiast jest fakt inny, znacznie ważniejszy: los igrzysk zdecydował się pomiędzy rokiem 389 a 395, a więc w ostatnich latach panowania cesarza Teodozjusza.

---

<sup>8</sup> J.H.W.G. Leibeschuetz, *Antioch*, Oxford 1972, s. 136 nn.

<sup>9</sup> Józef Flawiusz, *Wojna żydowska*, I 21, 12 (tłumacz. A. Niemojewskiego z drobnymi zmianami).

## Narodziny świata olimpiad

Czy należy koniecznie przypominać to, co powinien znać każdy Europejczyk? A jednak przywołajmy fakty najistotniejsze! Pozwoli to z kolei wskazać ich dalsze i rozleglejsze powiązania z wielkimi przemianami biegu dziejów.

W miejscowości Olimpia, leżącej nad brzegami rzeczki Alfejos w krainie Elis na Peloponezie poczynając od roku 776 p.n.e. obchodzono co cztery lata regularnie i stale igrzyska, będące zarazem obrzędem religijnym ku czci Zeusa. Ze wszystkich stron helleńskiego świata ściągali tam wówczas rzesze uczestników i widzów. Igrzyska zrodziły się i rozkwitły razem i wspólnie z klasycznym kształtem cywilizacji antycznej, stanowiły jej integralny składnik i wręcz symboliczny przejaw, toteż jednocześnie z nią miały zginąć. Owszem, istniała na ziemiach Hellady cywilizacja wcześniejsza, zwana przez nas umownie mykeńską; rozwijała się świetnie w wiekach od XVI do XII. Była ona pod pewnymi względami podobna do późniejszej, klasycznej, i również lubowała się we wszelkiego rodzaju widowiskach i zawodach, miała wszakże oblicze swoje, odmienne. Nie znała olimpiad jako igrzysk regularnych. Nie znała, choć wyścigi rydwanów odbywały się w samej Olimpii już i w tamtych, tak odległych czasach; święcono je wtedy ku czci herosa Pelopsa. O tym świadczą prastare mity, jak również znaleziska archeologiczne, a zwłaszcza małe statuetki z brązu, wyobrażające konie, wóźniców, rydwany; były to zapewne dary wotywno zwycięzców z epoki mykeńskiej. Nie biegnie jednak żadna prosta, nieprzerwana linia pomiędzy światem Myken a tym, który formował się poczynając od wieku VIII; zaczęto wtedy obchodzić pierwsze, stałe igrzyska, powtarzane odtąd co cztery lata aż do czasów Teodozjusza.

Obliczmy! Od roku 776 p.n.e. do roku 393 n.e. upłynęło prawie dwanaście wieków, dokładnie lat 1169. Głos heroldów obwieszczał uroczystie, że oto nastają dni świętego rozejmu, ponad 290 razy. Mimo woli nasuwa się pytanie: czy olimpiady czasów nowożytnych przetrwają aż tyle wieków? Czy będą mogły poszczycić się kiedykolwiek tak wspaniałą tradycją nieprzerwanego ciągu? A jeśli nawet tak się stanie, jak będzie wyglądał ów świat olimpiady 290 nowego porządku? Świat roku 3056?

Wróćmy jednak do kultur mykeńskiej i klasycznej. Dzieli je przepaść pięciu wieków. Katastrofa bowiem najazdu, który zdruzgotał w wieku XII zamki Mykeńczyków, sprawiła, że ziemia Hellady spowiła na długo jakby mgłą; rzadnie ona i powoli opada dopiero w wieku VIII. A więc właśnie i wcale nieprzypadkowo wtedy, gdy zaczyna swój bieg regularny szereg olimpiad.

Stosunkowo najlepiej przetrwały upadek świata mykeńskiego – czemu by nie upatrywać w tym pociechy? – twory ludzkiego umysłu pozornie najbardziej wiotkie, najmniej odporne, a mianowicie mity, legendy, opowieści poetyckie. W latach mrocznych, po katastrofie wieku XII, przekazywano je ustnie z pokolenia w pokolenie jako spuściznę najcenniejszą. To prawda, ocalały z gruzów tamtej cywilizacji także pewne jej dzieła materialne: potężne głazy zamków i grobowców, resztki naczyń, broni i ozdób. Zachowały się nawet tabliczki gliniane, pokryte znakami dziwnego pisma, używanego tylko na Krecie i przez Mykeńczyków. Te jednak zabytki materialne należało wpierw odkryć, wydobyć, rozszyfrować; trzeba było kazać im mówić i niejako z powrotem przywoływać je do życia. To wszystko dokonało się dopiero w ciągu ostatnich lat stu, częściowo zaś w naszych czasach i prawdziwie na naszych oczach. Przecież to dopiero w latach pięćdziesiątych naszego wieku udało się wreszcie, po wielu wysiłkach, odcyfrować znaki pisma mykeńskiego! Natomiast tamte twory, polatujące swobodnie jako słowa z ust do ust (to metafora antyczna), doczekały się swego, by tak rzec, wskrzesiciela już w wieku VIII p.n.e. Czyli w tym samym, który oglądał też pierwsze regularne igrzyska w Olimpii! Poeta – potomność zna go pod imieniem Homera – ułożył wówczas epopeję bohaterską o walkach pod Troją. Wyzyskał w niej prastare motywy mykeńskie, treściowe i formalne, jakie znał dzięki nieprzerwanej tradycji pieśniarskiej. Tak powstało pierwsze za-

chowane dzieło literatury w naszym kręgu kulturowym. Rodziło się równocześnie z olimpiadami. Czy to tylko przypadkowa zbieżność w czasie dwóch faktów, tak ważnych i wciąż znaczących w życiu Europy starożytnej i obecnej?

## Koniec świata olimpiad

Jeśli zapytać z kolei, co działo się z cywilizacją antyczną, gdy zamierały i ostatecznie zgasły igrzyska w Olimpii, odpowiedź jest łatwa i oczywista: odchodziła cała owa cywilizacja, ustępując miejsca nowym wierzeniom, ideałom, wartościom, a mówiąc najkrócej – nowemu sposobowi życia, także temu na co dzień. Szczególnie wyraźną cechą nowego świata stanowił odmienny, i to z gruntu odmienny, od dotychczasowego stosunek do ludzkiego ciała. Wyznawcy zwycięskiej religii głosili i praktykowali pogardę wobec wszystkiego, co wiąże się z cielesnością, twierdząc, że jest ona w samej istocie grzeszna, skażona, ciężąca ku złu. Gdzieżby cieszyć się i radować swą śmiertelną powłoką, gdzieżby podziwiać jej budowę, sprawność i urodę, jakie okazuje w gimnazjonie, w palestrze, na stadionie! A cóż dopiero za zgorzenie, jeśli to potępieńcze ciało odprawia swe haniebne harce w igrzyskach ku czci pogańskich bogów, którzy są przecież tylko niebezpiecznymi demonami, sługami szatana! To prawda, że owe wołania i pomstowanie nie przynosiły rezultatów ani pełnych, ani rychłych, w każdym zaś razie były znacznie mniej skuteczne, niż pragnęliby tego misjonarze nowej wiary. Ziarno wszakże, siane uporczywie i nieznużenie z generacji w generację, musiało wreszcie wydać swój plon stokrotny. Był to zdaniem siewców zdrowy i dorodny plon pszenicznych kłosów, duszący barwne, lecz zatrute kwiecie chwastów, plód podstępnych demonów. W przekonaniu natomiast obrońców dawnej kultury rzecz miała się dokładnie na odwrót: pleniący się kąkol groził zagładą całym łanom złocistego zboża, darowi bogini Demeter.

Mógłby ktoś rzec, że potępienie ciała i spraw jego spotyka się także w pełni czasów klasycznych i u najtypowszych przedstawicieli pogańskiego świata. Przecież już wtedy, w zaraniu kultury antycznej, ukuto powiedzenie, że jest ono grobem duszy; pogląd uzasadniany następnie i rozwijany bardzo pomysłowo przez wielu antycznych myślicieli z Platonem na czele. Prawda. Lecz pamiętać należy, że tego rodzaju twierdzenia stanowiły tylko rodzaj poetyckiej przesłanki do dumań metafizycznych. W praktyce i we własnym życiu innym hołdowano zasadom. Czego dowody składał także ten sam Platon, chętnie rozprawiający o duszy uwięzionej w ciele, lecz w młodości chluba swego gimnazjonu, zapaśnik, a do końca dni szczerzy wielbiciel urody efebów. Zresztą za przykładem swego mistrza Sokratesa. Jakże to pierwszy z nich mówi ustami drugiego?

„W tym momencie wszedł na salę Charmides.

Kamień probierczy to ze mnie żaden. Złoto znajduję w każdym pięknym chłopcu, a pięknymi wydają mi się prawie wszyscy młodzi. Ale Charmides jawił się wtedy niby cud jakiś, taki był postawny i urodziwy. Odniosłem też wrażenie, że wszyscy inni są po prostu w nim zakochani. Bo kiedy tylko znalazł się w sali, jak by przestali panować nad sobą. A z tyłu jeszcze się pchała ciżba wielbicieli!”

I jeszcze gdy Charmides usiadł przy Sokratesie:

„Odczułem nagle dziwne zmieszanie. Gdzieś się podzielała ta moja niedawna śmiałość, kiedy mi się zdawało, że rozmowa pójdzie łatwo. Potem Kritias powiedział, że znam lekarstwo przeciw bólowi głowy; on zaś spojrział na mnie wzrokiem, którego opisać nie sposób, i gotował się do odpowiedzi na pytania. Wszyscy, ilu ich było w palestrze, otoczyli nas kołem. Dojrzałem jego ciało pod płaszczem. Gorąco mnie oblało i już nie władałem sobą”.

Owszem, rozmowa dalsza dotyczy spraw duszy; lecz po takim wstępie któż uwierzy, któż

przyzna, że ciało jest tylko jej grobem?<sup>10</sup>

Pozostawmy jednak w spokoju kontrasty tak szokujące. Chyba bowiem jeszcze łatwiej uchwycimy różnicę pomiędzy obu światami w ich stosunku do ciała rozpatrując kwestię zwykłą i prozaiczną, a właśnie z ciałem związaną jak najściślej: kwestię kąpieli.

## Łaźnie i poganie

„W bardzo dawnych czasach ludzie uważali, że sny o kąpieli nie wróżą źle; nie znali wtedy łaźni, a kąpali się w tak zwanych wannach. Później, gdy już istniały łaźnie, sny o kąpieli, a także o samej łaźni, nawet gdy się w niej nie kąpało, rozumiano jako niedobre. Sądzono mianowicie, że zapowiadają kłopoty, jako że w łaźni zamieszanie; także stratę, bo wydziela się tam pot obfity; a wreszcie wewnętrzny wysiłek i strach, ponieważ skóra i powierzchnia ciała ulegają zmianom. Wielu dziś jeszcze idzie za tym starym poglądem i w ten sposób tłumaczy owe sny; ci jednak bardzo się mylą, nie uwzględniają bowiem badań empirycznych.

Chodzi mianowicie o to, że niegdyś łaźnie przedstawiały się rzeczywiście marnie, ponieważ ludzie kąpali się nieregularnie i w ogóle nie mieli tylu łaźni. Zazwyczaj obmywali się tylko po zakończeniu walki albo po jakimś ciężkim trudzie; z tych więc powodów sny o kąpieli lub łaźni musiały przypominać im znój i wojnę. Obecnie wszakże sprawy te wyglądają z gruntu inaczej. Są tacy przecież, którzy niczego do ust nie wezmą, póki się wpierv nie wykąpią. Inni znowu zażywają kąpieli po jedzeniu, a kąpią się także przed każdą ucztą. Tak więc łaźnia stała się w naszych czasach po prostu drogą do przyjemności. I stąd też sen, że kąpie się w łaźni pięknej, jasnej, przestronnej, pełnej powietrza, wróży ludziom zdrowy dobrobyt, miłe chwile, jeszcze lepsze samopoczucie, chorym natomiast powrót do sił; jest bowiem oznaką i dowodem zdrowia korzystać z kąpieli, choć wcale to niekonieczne<sup>11</sup>.

Są to słowa zaczerpnięte z greckiego podręcznika onejrokrytyki, czyli sztuki tłumaczenia snów. Jego autor, Artemidor z Daldis, żył w II wieku n.e. Był typowym przedstawicielem mentalności, upodobań, poglądów i trybu życia szerokiej warstwy ludzi średnio zamożnych, stanowiącej zarówno wykwit, jak i podstawę społeczną cesarstwa rzymskiego w epoce jego świetności. Stąd też i znaczenie jego książki o snach jako źródła poznania świata wyobrażeń i codzienności współczesnych Artemidora. Lubili oni igrzyska i łaźnie; w dawnej literaturze wyznawali się wcale nieźle; pielęgnowali stare tradycje, lokalne i etniczne; z różnych powodów odbywali dość dalekie podróże po wielu krainach ogromnego państwa, którego wspólnoty czuli się uczestnikami; wierzyli w sny, znaki wieszcze i bogów (właśnie w takim porządku!). Imperium stworzyło całej tej warstwie wyjątkowo pomyślne warunki rozwoju. Popierało mianowicie administracyjnie ekonomiczny rozwój miast wielkich i małych. Dzięki długotrwałemu pokojowi, dzięki bezpieczeństwu i poczuciu praworządności rozkwitały one we wszystkich krainach jako ośrodki handlu i rzemiosła, promieniujące zarazem kulturą. A każde z nich nawet nienajbogatsze, zabiegało usilnie o to, aby mieć swój teatr i hipodrom, swoje bazyliki (czyli hale do zebrania), świątynie i łaźnie. Te ostatnie, zwłaszcza większe i lepiej wyposażone, nosiły zazwyczaj miano term. Nazwa jest grecka, a pochodzi oczywiście stąd, że znajdowały się w nich baseny z wodą podgrzewaną.

I znowu poruszyć tu wypada sprawy, które są – lub powinny być – znane ogólnie. Ruiny i różnego rodzaju pozostałości w niezliczonych miejscowościach, rozsianych po terenach dawnego Imperium, świadczą dowodnie, jak okazałymi, a w wielu przykładach wręcz monumentalnymi budowlami były łaźnie. Kto wszedł w ich podwoje, mógł pływać w dużych basenach, napełnianych wodą zimną lub ciepłą. Mógł przesiadywać na marmurowych ławach wokół

<sup>10</sup> Platon, *Charmides*, 154 c i 155 d.

<sup>11</sup> Artemidor z Daldis, *Onirocriticon*, I 64.



fontann, słuchając ich miłego szmeru i gawędząc beztrąsko z przyjaciółmi. Albo też wypocić wszelkie złe soki w izbie zwanej sudatorium. A także uprawiać ćwiczenia gimnastyczne i zabawić się piłką w specjalnych salach wykładanych marmurem, zdobionych posągami. Trudno się dziwić, że mieszkańcy miast spędzali tu sporą część dnia każdego, każdą chwilę wolną od zajęć. Oczywiście jeśli nie odbywały się wyścigi rydwanów w cyrku, walki gladiatorów lub polowania na dzikie bestie w amfiteatrze, albo też przedstawienia pantomimiczne na scenie. W samej stolicy kilkunastu cesarzy wzniosło w różnych jej dzielnicach kolosalne termy, dając im swe imiona. Niektóre partie owych budowli służą aż po nasze czasy celom społecznym jako kościoły, muzea, planetaria, a nawet hale sportowe. Skoro zaś wątkiem naszych rozważań jest sprawa igrzysk olimpijskich, warto chyba przypomnieć – bo i w tym jest coś symbolicznego! – że XVII igrzyska nowożytne, święcone w Rzymie w roku 1960, widziały też rozgrywanie pewnych konkurencji w salach tak zwanych term Karakalli.

Kto jednak wie, kto pamięta o mniejszych łaźniach publicznych, jakie znajdowały się dosłownie przy każdej uliczce Rzymu antycznego? Przypadkowa notatka w dziele starożytnego pisarza informuje, że w roku 33 p.n.e. było ich 170, lecz w sto lat później – tak twierdzi tenże sam pisarz – trudno byłoby zliczyć je wszystkie<sup>12</sup>. Według zaś innych, nieco późniejszych źródeł, liczba ich sięgała nieomal tysiąca!<sup>13</sup> Oczywiście nie bierzemy pod uwagę prywatnych łaźni w pałacach wielmożów.

Termy wielkie i małe stały otworem dla każdego, bez różnicy stanu, za skromną opłatą lub niekiedy nawet za darmo, jeśli koszty pokrywał ktoś z bogaczy albo miasto z okazji uroczystości. Wstęp mieli zarówno mężczyźni, jak i kobiety. Z tym tylko, że panie korzystały z osobnych budynków lub sal wydzielonych, względnie wyznaczano im specjalne dni i godziny; ale wcale często nie przestrzegano żadnego podziału, czyli po prostu kąpano się i zabawiano się wspólnie. Tak radowało się termami jedno pokolenie za drugim. Zarówno w wieku II, kiedy żył i pisał badacz snów Artemidor, jak i w wieku IV, za pobożnego cesarza Teodozjusza, kiedy ostatecznie gasły igrzyska olimpijskie; w niektórych wszakże prowincjach i miastach, zwłaszcza na helleńskim Wschodzie, termy prosperowały świetnie jeszcze długo, długo później, już w czasach bizantyjskich.

Nawet najsurowsi asceci pogańscy (a warto przypomnieć, że i takich nie brakowało) traktowali kąpiele w łaźniach jako zabieg higieniczny, konieczny do życia na co dzień tak samo, jak chleb i oliwa. Weźmy dla przykładu zwykłe zajęcia i wypowiedzi Apoloniusza z Tyany! Ten sławny mistyk i rzekomo cudotwórca, żyjący w wieku I n.e., a więc za czasów cesarzy Tyberiusza i Klaudiusza, Nerona, Wespazjana, Tytusa, niewiele się różnił pod względem twardej samodyscypliny oraz konsekwencji w uprawianiu praktyk ascetycznych od późniejszych mnichów chrześcijańskich. W ogóle nie jadał mięsa, poprzestając na chlebie, owocach i jarzynach. Wina nie pijał. Chodził boso, nosił wyłącznie odzież lnianą, włosów nie przystrzygał. Przez wiele lat zachowywał całkowite milczenie, wierny ślubowi, jaki złożył w młodości, porozumiewając się z otoczeniem tylko gestami, wyrazem twarzy, wymową oczu. Każdego jednak dnia zażywał kąpieli, i to o porze stałej, pod wieczór. Nacierał wtedy ciało oliwą i obmywał się wodą zimną. Był zdania, że woda ciepła sprzyja starzeniu i chorobom. Toteż kiedy pewnego razu przyjechał do Antiochii syryjskiej i dowiedział się, że cesarz rozkazał zamknąć na czas jakiś wspaniałe termy tamtejsze – miało to stanowić karę za rozruchy ludności przeciw władzom – oświadczył publicznie:

– Postępujecie źle, a w nagrodę za to cesarz jeszcze przedłuży wam życie!

Chodziło oczywiście o to, że w łaźniach można kąpać się w basenach z wodą ciepłą. Pojawiały się w późniejszych wiekach starożytności rzekome listy Apoloniusza; ich autor chwali się, że z kąpieli w ogóle nie korzysta i że tego samego wymaga od swych uczniów<sup>14</sup>. Jest to

<sup>12</sup> Pliniusz, *Historia naturalna*, 36, 121.

<sup>13</sup> H. Blümner, *Die römische Privataltertümer*, Berlin 1911, s. 421.

<sup>14</sup> Filostrat, *Żywot Apoloniusza z Tyany*, I 16; *Listy* 8 i 43.

oczywiście sprzeczne z tym, co wiemy o postępowaniu samego Apoloniusza, wzięte zaś zostało z praktyk i nauk pewnego nurtu w chrześcijaństwie. Jeśli natomiast chodzi o kąpiele gorące lub ciepłe, to również wśród pogan wielu twierdziło, że są one szkodliwe, zdrowiu bowiem naprawdę służy tylko woda zimna. W samym Rzymie taką kurację praktykowało sporo osób, i to nawet wśród warstw najbogatszych. Oto przykład:

Niemal rówieśnikiem Apoloniusza był Seneka – filozof, pisarz, mąż stanu, milioner. W jednym ze swych literackich listów, pisanych już w wieku podeszłym, wspomina on, że właśnie wrócił ze spaceru, w czasie którego stanął do wyścigów z kilkuletnim chłopcem, towarzyszem codziennych wędrówek (a zwykł on żartować sobie: Obaj jesteśmy w jednym wieku, bo zęby nam wypadają!), i razem z nim był u mety. „Potem kąpałem się w wodzie zimnej; tak nazywam obecnie niezbyt ciepłą. A przecież kiedyś nurzałem się w naprawdę lodowatej! Nowy zaś rok w dniu 1 stycznia rozpoczynałem skacząc do basenu zasilanego wodą płynącą wprost z górskich źródeł! Potem wystarczyć mi musiała kąpiel w Tybrze, a teraz w sadzawce słońcem nagrzanej”<sup>15</sup>.

## Łaźnie i chrześcijanie

Może słowa te zabrzmiały nieco dziwnie, a nawet wręcz zabawnie, istotnie jednak odpowiadają temu, co wiemy o rozważanej kwestii w tamtych czasach: wyznawcy nowej religii w zasadzie i początkowo w przygniatającej większości od łaźni wcale nie stronili – tyle tylko, że ostrzegali przed nadużywaniem kąpeli, zwłaszcza tych pewnego rodzaju. Klemens z Aleksandrii, wybitny pisarz chrześcijański, żyjący w drugiej połowie wieku II, poucza swych braci wyraźnie:

Cztery są powody, dla których udajemy się do łaźni. Po pierwsze, aby się obmyć. Po drugie, aby się rozgrzać. Po trzecie – dla zdrowia. I wreszcie – dla przyjemności. Otóż kąpanie się tylko dla przyjemności należy zarzucić, wypada bowiem całkowicie odsunąć przyjemność sprzeczną z uczuciem wstydu. Kobiety mogą się kąpać zarówno dla czystości, jak i dla zdrowia; mężczyźni natomiast niech to czynią wyłącznie dla zdrowia. A co do kąpeli ciepłej, to jest ona zupełnie zbyteczna, bo przecież ciało zziębnięte można ożywić także w inny sposób. Stałe zaś kąpanie się wpływa ujemnie na odporność organizmu i jakby rozluźnia sprawność fizyczną; często też bywa przyczyną zasłabnięć i omdleń<sup>16</sup>.

Tertulian, prawie współczesny Klemensowi, a chrześcijanin równie gorliwy, przyznaje otwarcie, że kąpie się co dzień, w godzinach zwykłych i odpowiednich; a więc z pewnością przed głównym posiłkiem, wczesnym popołudniem<sup>17</sup>. Wydaje się, że i on preferował kąpiele zimne. Lecz sam fakt, że Tertulian porusza taki temat w traktacie, mającym oświecić pogan, kim naprawdę są chrześcijanie, jest wysoce znamieny. Dowodzi mianowicie pośrednio, że wielu wyznawcom nowej religii zarzucano dość powszechnie właśnie – stronienie od łaźni!

I rzeczywiście. Istniał w łonie chrześcijaństwa od samego początku prąd reprezentowany przez rygorystów i fanatyków; a z biegiem lat i pokoleń przybierał on na sile, rozlewał się coraz szerzej. Asceci coraz głośniejszy i namiętniej piętnowali karygodne marnotrawstwo czasu, grzeszne uleganie słabostkom, pogoń za doczesnymi wygodami i przyjemnościami, nadmierną – a nawet wszelką! – troskę o czystość ciała i schludność odzienia. Przytoczyć można wcale liczne świadectwa takiej postawy. Tu ograniczymy się do wypowiedzi ludzi, którzy jako dojrzały mężczyźni jeszcze by mogli oglądać ostatnie igrzyska w Olimpii, te za Teodorzusa; oczywiście gdyby ich one interesowały. Dodajmy też, że powołani tu na świadków to

---

<sup>15</sup> Seneka, *Listy*, 83, 4–5.

<sup>16</sup> Klemens Aleksandryjski, *Pedagog*, III 9, 1.

<sup>17</sup> Tertulian, *Apologetyk*, 42, 4.

nie jacyś mnisi ciemni lub eremici żyjący w całkowitym odosobnieniu pustyni Tebaidy, asceci i cierpiętnicy, wysuszający swe ciała umartwieniami i pogrążeni w kontemplacji. Przeciwnie. To wprawdzie mężowie surowi dla siebie i innych, ale zarazem wybitni uczeni, odznaczający się niezwykłą erudycją, czytaniem, talentami literackimi, a także tytani pracy pisarskiej i organizatorskiej, pozostający w żywym kontakcie z problemami ówczesnego świata. To wszystko słusznie zapewniło im zaszczytne i trwałe miejsce w dziejach europejskiej kultury. Lecz w tym szczególnym przypadku poglądy ich wydać się muszą raczej szokujące.

## Łaźnie, święci, biskupi

Zapewne pod koniec tegoż roku 395, z którego początkiem zmarł w Mediolanie cesarz Teodozjusz, w innej, odległej i zamorskiej krainie Imperium otrzymał święcenia biskupie Aureliusz Augustyn. Kto chce, może i w tym dopatrywać się symbolicznej zbieżności wydarzeń, oznaczających zmierzch jednej epoki, a narodziny nowej. Augustyn bowiem, uznany przez późniejsze pokolenia za świętego i Doktora Kościoła, odegrał i wciąż jeszcze odgrywa doniosłą rolę w rozwoju nowożytnej myśli europejskiej. Pewne jego doktryny są nieustannie obecne w systemach filozoficznych nowszych i najnowszych, zachowując w dużej mierze aktualność i nade wszystko działając inspirująco. Wcale nie trzeba sięgać aż do jansenistów! Wystarczy chyba, jeśli przypomnimy, że *Dociekania filozoficzne* Ludwika Wittgensteina rozpoczynają się od analizy pewnego rodzaju *Wyznań* św. Augustyna; w studiach zaś poświęconych semazjologii, tak modnemu obecnie kierunkowi badań językoznawczych, znajdziemy tłumaczenie traktatu tegoż Augustyna – autora sprzed piętnastu wieków.

Uroczystość kościelna święceń biskupich odbyła się w nadmorskim mieście Afryki północnej, na ziemiach dzisiejszej Algierii; wtedy zwało się ono Hippo Regius, później Bône, obecnie zaś Annaba. Urodził się Augustyn w tejże samej krainie i prowincji, a mianowicie w mieście Thagaste, leżącym o kilkadziesiąt kilometrów na południe od Hippo, w głębi łądu. Przyszedł na świat w roku 354.

Biskup, choć stosunkowo młody, bo zaledwie czterdziestoletni, miał już za sobą wiele przemian i gwałtownych zwrotów w swych zainteresowaniach i poglądach; a także w samym trybie życia. Jego ojciec był poganinem, matka natomiast gorliwą chrześcijanką; chłopiec, jak się wydaje, traktował sprawy religii początkowo dość obojętnie. Przez kilka lat studiował w Kartaginie, największym mieście Afryki rzymskiej, retorykę, zamierzając pracować potem jako prawnik. Wnet jednak – a stało się to pod wpływem pewnego traktatu cyceronńskiego – zwrócił się z całą namiętnością ku filozofii; pociągała go zwłaszcza ta o zabarwieniu nieco sceptycznym, jaką reprezentowała i uprawiała platońska Akademia w późniejszych okresach swego rozwoju. W tymże czasie przyłączył się do wyznawców manicheizmu. Była to religia rodem z irańskiego Wschodu, silnie podkreślająca dwoistość świata we wszystkich jego płaszczyznach i przejawach, a więc podział na pierwiastek dobra i zła, wzajem się zwalczające od prawieków; etapy zaś tej walki przedstawiano w micie barwnym, skomplikowanym, wieloznacznym. Po krótkim pobycie w Rzymie młody Augustyn przenosi się do Mediolanu jako profesor retoryki; zdaje się jednak, że ten znakomity myśliciel i stylist wcale się nie odznaczał zacięciem dydaktycznym, choć miał już pewne doświadczenie, nauczając poprzednio i w Afryce, i w samym Rzymie. Natomiast właśnie w wielkim mieście Italii północnej Augustyn zbliżył się poprzez mistycyzującą filozofię neoplatońską ku chrześcijaństwu. A działo się to nie bez wpływu zarówno kazań, jak i całej osobowości biskupa Mediolanu Ambrożego; tego, który w kilkanaście lat później miał stać w tymże mieście u śmiertelnego łoża cesarza Teodozjusza. Z jego to rąk młody profesor retoryki otrzymał w roku 387 chrzest wraz ze swym synem Adeodatem. W tym samym roku stracił ukochaną matkę Monikę, zmarłą w Ostii, portowym mieście Rzymu.

Powróciwszy do ojczyznej krainy Augustyn, chrześcijanin coraz gorliwszy, założył tam rodzaj wspólnoty mnichów. W Hippo Regius sprawował z woli tamtejszej gminy godność najpierw prezbitera, a od roku 395, jak się rzekło, biskupa. Pozostał na tym stanowisku aż do samej śmierci, to jest do sierpnia roku 430; gdy umierał, miasto już od trzech miesięcy oblegali Wandalowie.

Istniała w Hippo Regius również wspólnota mniszek. Augustyn czuwał nad jej sprawami za pośrednictwem przełożonej, swej siostry. Doszło jednak w zgromadzeniu pobożnych niewiast do gorszących zatargów i konfliktów; z przyczyn zwykłych i częstych w każdej epoce, to jest natury osobistej. Spór oczywiście przedłożono biskupowi. Wystosował on w roku 423 długi list do zgromadzenia mniszek, rodzaj szczegółowej instrukcji i reguły życia zakonnego. Dokument ów miał odegrać w wiekach późniejszych ogromną rolę, jako podstawa wielu innych reguł różnych wspólnot klasztornych. Nas wszakże interesuje w nim tylko krótki fragment, o treści – przyznajmy – nader prozaicznej:

„Odzież waszą pierzeć same, albo też niech piorą ją folusznicy, według uznania przełożonej, a to dlatego, by nadmierne pożądanie czystej sukni nie przyciągało wewnętrznych brudów duszy. Lecz także obmywanie ciała i użytkowanie łaźni niech nie będą ustawiczne! Dokonywać się winny ablucje w zwykłych okresach, to znaczy raz w miesiącu. Jeśli zaś słabość którejś zmusi ją do obmycia ciała, niech się to stanie za radą lekarza bez szemrania; i gdyby nawet nie chciała, niech z rozkazu przełożonej uczyni, co stać się powinno dla zdrowia cieleśnego”<sup>18</sup>.

Zasada, sformułowana tutaj tak ostro i jasno, miała następnie wywrzeć niemały wpływ na sprawy higieny osobistej różnych grup i społeczności, a nawet całych warstw w wiekach późniejszych. Miała wpływ tym znaczniejszy, że dzielnie popierały ją mocne wypowiedzi innego męża wielkiej świętobliwości i niezmiernie nauki; żył on współcześnie z Augustynem, a słynął jako jeden z najznakomitszych pisarzy łacińskich swej epoki.

Hieronim, rodem z pogranicza Dalmacji i Panonii, był starszy od biskupa Hippo Regius o lat kilkanaście. Przypomnijmy przy sposobności, że obaj oni, choć wymieniali listy, niezbyt się lubili – jak często bywa z wybitnymi przedstawicielami niemal tego samego pokolenia i tejże orientacji ideologicznej. Po wielu wędrówkach osiadł w Palestynie, i to w Betlejem. Przewodził tam wspólnocie mnichów, przyjmował pobożnych pielgrzymów, ale nade wszystko studiował i pisał; któż nie zna drzeworytu Dürera *Święty Hieronim w pracowni*? Z ogromu dzieł św. Hieronima wyróżnić trzeba jako najważniejsze dla dziejów nie tylko Kościoła, lecz i całej kultury w Europie zachodniej, rewizję i ostateczne wygładzenie tłumaczeń *Biblii* na łacinę; jest to tzw. wulgata. Augustyn zresztą ostro krytykował niektóre sformułowania owego przekładu. A przy tym wszystkim uczony eremita znajdował jeszcze czas, by prowadzić rozległą korespondencję! Udzielał w niej porad i zachęt w różnych sprawach związanych z życiem religijnym. Otóż w liście do matrony imieniem Leta, proszącej o wskazówki, jak wychowywać córkę, pisze: „Mnie w ogóle nie podobają się kąpiele dorosłej dziewczyny. Winna ona przecież wstydić się sama siebie i nie znosić widoku własnej nagości. Jeśli bowiem wycieńcza swe ciało czuwaniem i postami; jeśli pragnie ugasić ogień żądzy i zarzewie gorącości wieku mrozem powściągliwości; jeśli zabiega o to, by szpeciść przyrodzoną urodę umyślnym brudem – dlaczego to, działając jakby z przeciwnych pobudek, roznieca uśpione płomienie za pomocą podpalki, jaką są łaźnie?”<sup>19</sup>.

Jeszcze dobitniej, lapidarnie i ostro, wyraził tę samą myśl w innym liście:

„Skóra twoja staje się chropawa, bo pozbawiłeś ją kąpeli? Lecz przecież ten, kto raz obmył się w Chrystusie, nie musi koniecznie myć się po raz drugi!”

A myliłby się srodze, kto by traktował te słowa tylko jako zwrot retoryczny. Powiada bowiem św. Hieronim jeszcze w innym miejscu:

---

<sup>18</sup> Augustyn, *Listy*, 211, 13.

<sup>19</sup> Hieronim, *Listy*, 107, 11.

„Tobie podoba się kąpać co dzień, lecz dla drugiego brudem jest ta czystość!”<sup>20</sup>

Aby jednak zamknąć owe łaźiebne rozważania akcentem odmiennym i poniekąd pogodniejszym, przytoczmy jeszcze wypowiedzi innego dostojnika ówczesnego chrześcijaństwa:

W roku prawdopodobnie 395 (i znowu powraca ów rok śmierci Teodozjusza!) godność biskupa gminy nowacjan w Konstantynopolu otrzymał niejaki Sysyniusz. Kim byli nowacjanie? Stanowili wcale liczną grupę schizmatyków; odłączyli się od większości w samym mieście Rzymie jeszcze w wieku III, podczas prześladowań, z powodu kontrowersji etycznych i personalnych; potem wszakże odłamy ich działały, i to długo, także w innych miastach Imperium. Różnili się od ortodoksów nie swymi poglądami w kwestiach dogmatycznych lub obrzędowych, lecz głównie pewnym rygoryzmem obyczajowym i nieustępliwością wobec grzeszników; zwłaszcza jeśli chodziło o odstępstwo od wiary – a już szczególnie, jeśli odstępca był kapłan. Chyba właśnie z racji tej swojej postawy cieszyli się dużym szacunkiem nawet wśród przeciwników. W każdym razie historyk Sokrates, który zapewne znał Sysyniusza w Konstantynopolu lub przynajmniej go widywał, kreśli bardzo sympatyczny portret tego biskupa. Pisze więc, że był to niezwykle wykształcony, doskonały znawca zarówno poglądów pogańskich szkół filozoficznych, jak i nauk *Pisma*, błyskotliwy dyskutant w sporach teologicznych; a trzeba wiedzieć, że toczono je wówczas nieustannie. W życiu prywatnym zachowywał przykładną wstrzeźliwość, toteż nikt nie ośmielił się go oczernić. Lubił wszakże pewne wygody i jakby wykwent; ci więc, co nie stykali się z nim bliżej i częściej, nie mogli pojąć, na czym właściwie polega owa skromność i poprzestawanie na małym, skoro pozornie opływa we wszystko. Miły w obejściu i uprzejmy, powszechnie lubiany, umiał żartować z wdziękiem, nikogo nie obrażając, ale też sam się nie obrażając, gdy z niego żartowano. Słyszał z dowcipnych odpowiedzi. Pewnego razu ktoś zapytał go złośliwie, czemu to, będąc biskupem, kąpie się aż dwa razy dziennie. Odrzekł:

– Bo trzeci raz już nie mogę!

A gdy ktoś miał mu za złe, że ubiera się jasno powiedział:

– Wpierw ty powinienes mi wskazać, gdzie to jest napisane, że biskup musi odziewać się w szaty ciemne!<sup>21</sup>

Przekazano nam te słowa tylko jako przykłady zręcznego odparowania pewnych zarzutów. Ale, jak to często bywa, przypadkowe wypowiedzi odślaniają zarazem w sposób niezamierzony, więc tym jaskrawiej, znamienne realia ówczesnego życia.

## Igrzyska i synody

Skoro tak podejrzliwie, a niekiedy wręcz niechętnie i wrogo traktowano zwykłe sprawy kąpieli, łaźni, nawet schludnego odzienia, o ileż większe zgorszenie budzić musiały w pewnych kręgach igrzyska wszelkiego rodzaju, i to nie tylko owe krwawe, jakimi były walki gladiatorów! Nie dało się wprost zakazać wiernym uczęszczania do cyrków i teatrów, przewidywano bowiem z góry, a nie bez racji, że w starciu z namiętnym przywiązaniem do widowisk takie polecenie, choćby grożące klątwą i ekskomuniką, wcale nie poskutkuje. Nie pomagały również ciągle wezwania, namowy i apele, kierowane do ludu w pismach i kazaniach. Zwracano natomiast ostrze potępień i kar kościelnych w stronę osób występujących na stadionach i scenach, zamykając przed nimi wstęp do wspólnoty wiernych. Synody biskupów w różnych prowincjach cesarstwa raz po raz podejmowały odpowiednie postanowienia. Oto na przykład uchwała synodu w hiszpańskim mieście Elwira z początku wieku IV:

„Jeśli woźnica cyrkowy lub pantomim uwierzą, muszą najpierw wyrzec się uprawiania

---

<sup>20</sup> Tamże 14, 10 i 45, 4.

<sup>21</sup> Sokr., H.k., VI 22.

swej sztuki; wtedy dopiero można ich przyjąć, ale pod tym warunkiem, że więcej do niej nie powrócą. Gdyby zaś wbrew obecnemu zakazowi próbowali ją uprawiać, należy wykluczyć ich z Kościoła”<sup>22</sup>.

Nieco zaś późniejszy synod w Arles, na południu dzisiejszej Francji orzekł:

„Woznice cyrkowi, wierzący, mają zostać oddzieleni od wspólnoty, póki biorą udział w zawodach. Podobnie aktorzy”<sup>23</sup>.

Władza świecka natomiast usiłowała ze swej strony ograniczyć uczestnictwo widzów. Ustawa z czasów cesarza Teodozjusza mówi:

„Sędzia prowincji może oglądać przedstawienia teatralne, zawody w cyrku, pokazy polowań na dzikie zwierzęta (venationes), ale tylko w te dni, kiedy obchodzi się pamiątkę urodzin cesarza lub objęcia przezeń władzy. I wyłącznie przed południem. Po obiedzie niech już się nie pojawia na widowni”<sup>24</sup>.

Sędziami byli w zasadzie namiestnicy prowincji i wyżsi urzędnicy, toteż w nomenklaturze późnego cesarstwa wyraz „iudex”, sędzia, oznaczał ogólnie wszelkich dostojników. W istocie więc zakaz miał zakres szeroki; dotyczył zresztą także całego orszaku podległych urzędników, a w dużym stopniu również osób prywatnych. Skoro bowiem biura pracowały normalnie, skoro odbywały się przesłuchania i procesy, wypadało zrezygnować z przyjemności i po prostu udać się do sądu, do działu rachunkowości lub archiwum, by tam spraw swoich pilnować. Urzędnicy i strony siedzieli w pokojach i salach niby to pracując, lecz serca i uszy wszystkich, od najniższego skryby poczynając, a na dostojnym namiestniku kończąc, kierowały się tęsknie ku stadionowi, skąd raz po raz dochodziło falujące wycie wielotysięcznych tłumów.

Owe zaś krzyki mas, podnieconych zawodami i walką, tak typowe dla życia miast obecnych, tak dobrze znane naszym uszom w dni zwłaszcza niedzielne, były również czymś zwykłym w miastach cesarstwa rzymskiego przez wszystkie wieki jego istnienia. Przytoczmy choćby słowa już tu cytowanego Seneki; słowa, jakie mogłyby się znaleźć w każdym eseju, każdym felietonie teraz pisanym!

„Dziś mam czas dla siebie samego nie tylko dzięki własnemu dobrodziejstwu, lecz i widowisku; odwołało ono wszystkich natrętów na zawody piłkarskie [sphaeromachia – dosłownie: walka piłką]. Nikt więc nie wtargnie i nikt nie przeszkodzi moim rozmyśleniom, które skutkiem samej tej pewności postępują śmielej. Brama nie będzie wciąż skrzypiała i nie podniesie się zasłona u drzwi... Wielkie to jednak rzekłem słowo, przyrzekając sobie ciszę i odosobnienie bez rozmówcy! Oto dociera do mnie krzyk ogromny ze stadionu. Nie wytrąca mnie wprawdzie, przenosi jednak ku rozważaniu samego tego zjawiska. I myślę sobie, jak wielu ćwiczy ciało, a jak niewielu umysł; jaki tłum zbiega się ku widowisku, co nie budzi zaufania i jest tylko igraszką, a jak pusto wokół dobrych umiejętności; jak miątkiego ducha są ci, których mięśnie i barki podziwiamy”<sup>25</sup>

Wracając wszakże do wspomnianej ustawy z czasów Teodozjusza: zawiera ona również pewne krótkie, zaledwie jednozdaniowe postanowienie, które miało okazać się później bardzo doniosłe dla obyczajowości wielu krajów europejskich: „Nie wolno urządzać widowisk dla ludu w niedzielę, by nie mieszać czci bożej z zabawami”. Istniały przecież państwa, gdzie przestrzegano owego zakazu z purytańską gorliwością niemal do dni naszych; oczywiście nie zdając sobie sprawy, jaki jest formalny początek tego, co uważano niemal za boże przykazanie.

Ale wszystkie owe uchwały i zakazy z wieku IV, kościelne i państwowe, stanowiły tylko rodzaj lęklwych półśrodków. Obchodzono je z pewnością w przeróżny sposób; tak przecież

---

<sup>22</sup> *Kanon 62.*

<sup>23</sup> *Kanon 4, 5.*

<sup>24</sup> *Codex Theodosianus* (dalej cyt.: C Th) XV 5,2.

<sup>25</sup> Seneka, *Listy*, 80, 1–2.

dziać się zwykło we wszystkich epokach i państwach, jeśli władza ze względów teoretycznych lub tylko sobie wiadomych wydaje zarządzenia niezyciowe, doktrynerskie i po prostu sprzeczne ze zdrowym rozsądkiem przeciętnego obywatela. Owszem udało się pod koniec wieku IV wykorzezić walki gladiatorów – krwawe, okrutne, barbarzyńskie, potępiane od dawna przez wszystkie światłe osoby, bez względu na przekonania religijne. Teatr natomiast i wyścigi rydwanów utrzymywały się długo. Ludność miast nie mogła żyć bez nich, podobnie jak i bez łaźni; co prawda od tych ostatnich odzwyczaiła się w różnych krajach dość szybko, w innych zaś nie zdołała do nich przywyknąć nigdy. Bardziej zaś niż dostojników państwowych wielbiła aktorów pantomimy, a zwłaszcza prawdziwe gwiazdy stadionów: byli nimi woźnice rydwanów.

Sam cesarz nie ustępował swym poddanym, jeśli chodzi o umiłowanie uciech hipodromu. Dał temu oczywisty i publiczny wyraz niejednokrotnie. Nie tylko w dniu swej śmierci, lecz jeszcze pięć lat wcześniej, a więc w roku 390. Cofając się w tamte czasy nasza opowieść wkracza zarazem w ramy chronologiczne, aby odtąd wiernie towarzyszyć rozwojowi wydarzeń lat ostatniej olimpiady w świecie starożytnym.

# TESSALONIKA

## Wielcy roku 390

390 – według naszej rachuby. Ludzie tamtej epoki, jak to już przypomniano, określali lata inaczej, a mianowicie nazwiskami konsulów. W danym przypadku byli nimi: Walentynian po raz czwarty i Neoterius. Mówiąc o nich obu, przy sposobności wskażemy też kilku najwyższych wtedy rangą dostojników Imperium. Będzie to użyteczne również dlatego, że niektórzy z nich mieli odegrać znaczną rolę w późniejszym rozwoju wydarzeń. Dalej, uzyskamy pewien pogląd na strukturę administracyjną cesarstwa. I wreszcie prezentacja owych postaci pozwoli lepiej zrozumieć, jak przebiegał podział religijny wewnątrz górnych warstw ówczesnego społeczeństwa.

Konsul pierwszy, Walentynian, liczył zaledwie lat 19; a godność tę piastował już po raz czwarty! Uważano to jednak za fakt normalny i w pełni usprawiedliwiony; chodziło przecież o cesarza i współrządcę Teodozjusza. Tytuł Augusta otrzymał on od razu po śmierci swego ojca, Walentyniana I, w roku 375, a więc jako chłopiec czteroletni. Od pewnego czasu przebywał w Galii, gdy Teodozjusz rezydował głównie w Mediolanie. Walentynian należał do gorliwych chrześcijan; i to nawet, jak się wydaje, z pewnymi skłonnościami do fanatyzmu i ascezy, co przejawiało się także w niechęci do igrzysk tak w gruncie rzeczy niewinnych, jak wyścigi rydwanów. To właśnie po jego tragicznej śmierci w roku 392 biskup Ambroży przypominał z uznaniem w mowie pogrzebowej (te słowa już cytowaliśmy):

– Podobno cieszyły go początkowo igrzyska cyrkowe. Lecz później słabości tej wyzbył się tak gruntownie, że nie uważał za wskazane urządzać ich nawet w dniu urodzin cesarza, nawet ku czci panujących!

Tak więc pod tym względem Walentynian różnił się mocno od swego równie chrześcijańskiego współwładcy.

Konsul drugi, Neoterius, człowiek już chyba sześćdziesięcioletni, sprawował poprzednio funkcje bardzo wysokie na różnych obszarach, aktualnie zaś był prefektem pretorium Galii. Stał więc na czele administracji cywilnej wielkiego pasa zachodnich krain nadatlantyckich: Brytanii, Galii, Hiszpanii, skrawka Afryki. Jeśli chodzi o jego przekonania religijne, to był chyba chrześcijaninem, sympatyzującym z arianami; z drugiej wszakże strony pozostawał w korespondencji z Symmachusem, przywódcą arystokracji zdecydowanie i świadomie pogańskiej w samym Rzymie.

Imperium ówczesne dzieliło się administracyjnie na trzy lub cztery ogromne części, zwane prefekturami; każda z nich kolejno na kilka tak zwanych diecezji, te zaś na prowincje. Prefekturę zachodnią, czyli galijską, już znamy. Wschodnia (oficjalnie po łacinie: *Orientis* lub *per Orientem*) była przestrzennie jeszcze większa, obejmowała bowiem Libię i Egipt, Palestynę i Syrię, Azję Mniejszą, a w Europie Trację (mniej więcej obecną Bułgarię). Między tymi dwiema, galijską i wschodnią, leżała prefektura Italii, Afryki, Illirikum. Rozciągała się na obszarach dzisiejszej Tunezji i Algierii, Italii i krajów alpejskich, a także całego Bałkanu (z wyjątkiem oczywiście Tracji). Dość często wszakże ziemie bałkańskie wydzielano jako odrębną prefekturę o nazwie Illirikum. Jednakże w roku 390 tylko jeden prefekt władał całością – od Afryki po Dunaj. Zwał się Polemius. Wiemy o nim bardzo niewiele; właściwie tyle tylko, że poprzednio sprawował namiestnictwo prowincji afrykańskich, może więc stamtąd pochodzi.



Natomiast dobrze znany jest prefekt pretorium Wschodu, Tatianus. Postać to wybitna, z pewnych względów charakterystyczna dla swej epoki, ale i tragiczna; o czym będzie jeszcze mowa. Dzięki napisom możemy śledzić stopnie jego kariery. Z zawodu był prawnikiem i za młodu pracował jako adwokat. Przeszedł później do administracji państwowej i odtąd szybko pnie się w górę. Kolejno: asesor namiestnika; namiestnik Egiptu Górnego (Tebaidy); prefekt całego Egiptu; namiestnik Syrii i komes Wschodu; komes świętej szczodroblowości, czyli minister finansów. Od roku 380 żył, tak się zdaje, jako człowiek prywatny w swych dobrach w prowincji Licji. Jednakże w roku 388 Teodozjusz, poszukujący po śmierci dotychczasowego prefekta Wschodu nowego kandydata na urząd tak odpowiedzialny, zaszczyił wyborem właśnie Tatiana, oczywiście z racji jego energii, doświadczenia, autorytetu. Wybór tym znamienniejszy, że Tatian był już mocno posunięty w latach i należał do gorliwych pogan, co nie mogło go zalecać w oczach chrześcijańskiego cesarza i niektórych jego doradców. Tatian przyjął zaszczytną nominację – na swoje nieszczęście, jak miało się okazać. Lecz w roku 390 nic jeszcze nie wskazywało, jakie niespodzianki gotuje przyszłość. Tatian był w pełni znaczenia i wpływów, a nawet dalej umacniał swoją pozycję.

Równocześnie z nim bardzo wysoką godność otrzymał jego syn imieniem Prokulus; został mianowicie prefektem miasta Konstantynopola, miasta wówczas drugiego pod względem rangi po samym Rzymie. Prokulus, mężczyzna już w sile wieku, dał się poznać poprzednio jako namiestnik Palestyny, potem Syrii, następnie komes Wschodu, a wreszcie komes świętej szczodroblivosti. Przechodził więc szczeble kariery niemal te same, co i ojciec. A odziedziczył po nim również pewne cechy charakteru: energię i surowość, może nawet brutalność przy wprowadzaniu w czyn swych planów. I jeszcze jedno: przywiązanie do dawnej wiary. W przypadku Prokulusa świadczy o tym dowodnie wierszowany napis, wyryty przez mieszkańców Fenicji – ale oczywiście po grecku! – ku jego czci na skale u ujścia rzeczki Likos do morza. Sławi on namiestnika za to, że uczestniczył i przewodził w złożeniu ofiar bogom w Heliopolis; chodzi o obecną miejscowość Baalbek, znaną szeroko dzięki wspaniałym, malowniczym i ogromnym ruinom świątyń – zwłaszcza Zeusa-Hadada i Bachusa. Tenże sam napis podnosi też w szumnych słowach zasługi Prokulusa jako budowniczego drogi, wiodącej przez góry skaliste i strome. Wiadomo wreszcie skądinąd, że będąc komesem Wschodu Prokulus uświetnił Antiochię; wznosił tam lub odnowił łaźnie, kolumnady, hale targowe. Lecz jego najlepiej znane zamierzenia budowlane w wielkim mieście syryjskim wiążą się ze sprawą olimpiad; dla nas szczególnie interesujący zbieg okoliczności. Poświęćmy więc tej kwestii nieco uwagi.

Jak się rzekło poprzednio, w Antiochii odbywały się co cztery lata igrzyska, zawsze w miesiącach letnich roku poprzedzającego igrzyska w Olimpi, w starym kraju; chodziło oczywiście o to, by wzajem nie czyniły one sobie konkurencji, odciągając widzów i zawodników. Otóż Prokulus objął urząd komesa Wschodu w roku 383, a igrzyska olimpijskie tutejsze miało święcić już w następnym. Nowy dostojnik postanowił przyczynić się do nadania im większego rozmachu rozbudowując gmach zwany plethron. Wyraz ten oznacza w zasadzie miarę długości stu stóp, bo tyle mierzył każdy z czterech boków gmachu. Urządzano w nim wstępne – dziś byśmy rzekli eliminacyjne – zawody atletów. Podobny budynek, o tej samej nazwie i takim samym przeznaczeniu, znajdował się też w macierzy igrzysk, w Olimpi nad Alfejosem; piękny to przykład pietyzmu, z jakim przenoszono w świecie helleńskim prastare wzory w miejsca nowe, dobrze rozumiejąc, że o bycie każdego narodu i każdej kultury stanowi przede wszystkim pielęgnowanie tradycji. Budynek antiocheński pochodził ze schyłku wieku II n.e., a w pierwszej połowie wieku IV został nieco powiększony. Wzniesiony, jak wspomnieliśmy, na rzucie czworoboku, mieścił wokół otwartej areny tylko dwa rzędy ław kamiennych, co oczywiście bardzo ograniczało liczbę widzów. Otóż plan Prokulusa, by gmach poszerzyć, spotkał się – rzecz pozornie zdumiewająca! – z ostrym sprzeciwem ze strony najmniej spodziewanej. Libaniusz, najslawniejszy wówczas profesor retoryki greckiej, i to nie

tylko w Antiochii, szczerzy poganin, miłośnik tradycji wielkich i lokalnych, wystosował do komesa rodzaj otwartego listu w formie fikcyjnej, bo nigdy nie wygłoszonej mowy. Zaczyna od razu od ostrych słów potępienia:

„Jak widzę, bardzo wiele osób wdzięcznych jest Prokulusowi za to, że poszerzył on tę widownię, pośród której odbywają się popołudniowe zawody atletów; tych, co przybywają tutaj, aby wziąć udział w igrzyskach olimpijskich. Otóż pragnę wykazać, że czyni on źle; i że niektórzy wychwalają go za to, co w gruncie rzeczy powinni by krytykować!”

Tok rozumowania Libaniasza (a mowa jest dość rozwlekła, zawiera sporo powtórzeń) można tak ująć: jeśli będzie więcej miejsc w plethronie, zasiądzie tam znacznie więcej widzów, a właśnie to wpłynie niekorzystnie na przebieg eliminacji, uzależniając werdykt sędziowski od oklasków, protestów i nacisków tłumu. „Już poprzednio – woła Libaniasz – bezprawie rosło przy każdym kolejnym zawodach! I tak niektóre konkurencje atletów miały się kończyć przed zachodem słońca, z różnych jednak przyczyn dochodziło do komplikacji. Ci, co zaczynali później, uważali, że i kończyć mają później; inni znowu twierdzili, że upał jest nie do zniesienia. A na widowni podnosiły się przemieszane głosy Hellenów i Rzymian. Jedni wołali, że zawodnicy są przemęczeni, tamci zaś znowu, że nic podobnego!” I konkluduje mistrz retoryki: „Tak więc nasz drogi Prokulus jeszcze pogarsza całą sprawę. Ciesząc się bowiem, że będziemy mieli obszerniejszą widownię, cieszy się zarazem z tego, że samowola stanie się większa. Tą swoją radością szkodzi igrzyskom olimpijskim. Pokazuje, że wcale nie zależy mu na tym, by święcono tutaj igrzyska rzeczywiście!”

Cała sprawa jest dziwna. Czy Libaniaszowi naprawdę o to tylko chodziło? Czy istotnie powodowało nim jedynie przywiązanie do tradycji, troska o czystość i poziom zawodów? Może spór o plethron to tylko pretekst, a w gruncie rzeczy retor miał inne cele na oku? I wreszcie, czy jego krytyka przyniosła spodziewany rezultat, to jest zaniechanie przez komesa projektu rozbudowy? Tego nie wiemy. Natomiast późniejsza korespondencja retora z dostojnikiem świadczy, że stosunki między nimi uległy dużej poprawie. Pewne jest, że „nasz drogi Prokulus” wspaniałomyślnie wybaczył uszczypliwości, jakich profesor nie szczędził w mowie dotyczącej plethronu. Ale listy te pochodzą głównie z lat po roku 388, gdy dostojnik piastował już urząd prefekta Konstantynopola, przebywał więc daleko od Antiochii.

Swe dzieło najznamienitsze, a w każdym razie najbardziej pamiętne dla przyszłych pokoleń, wznosił on podczas owej prefektury właśnie w roku 390; będzie o tym mowa później. Obecnie zaś, kontynuując przegląd najważniejszych dostojników Imperium tegoż roku, wypada zająć się osobą kolegi Prokulusa, poniekąd nawet starszego rangą; chodzi mianowicie o prefekta miasta Rzymu, kolebki i wciąż jeszcze pierwszej stolicy państwa. Godność tę sprawował wtedy drugi rok z rzędu Cejonius Albinus.

Będąc przedstawicielem starego rodu arystokratycznego, należał zarazem do najbardziej wykształconych Rzymian swego pokolenia. Znał doskonale literaturę łacińską dawniejszą i współczesną. Szczególnie umiłował twórczość Wergiliusza; delectował się archaizmami jego słownictwa i miar wierszowych, sam też poświęcił metryce poetyckiej osobną rozprawę. Ale interesowały go także zagadnienia filozoficzne; opracował, tak się wydaje, krótkie zarysy zasad logiki, geometrii, muzyki. Przetłumaczył, jak przypuszczają niektórzy, traktat Arystotelesa *Kategorie* na język łaciński. Był poganinem, wiernym religii ojców, jak zresztą większość ówczesnej arystokracji oraz elity intelektualnej w samym Rzymie. I chyba nieprzypadkowo właśnie wtedy, gdy Albinus piastował prefekturę, jego rodzony brat – zwał się Cejonius Woluzjanus, był niegdyś namiestnikiem prowincji małoazjatyckich – dokonał uroczystej ceremonii w przybytku boga Mitry na terenach Watykanu. A mianowicie w dniu 23 maja roku 390 odnowił po upływie lat dwudziestu swój jakby chrzest i wtajemniczenie w misteria Mitry; w związku z tym poświęcił ołtarz bogu temu oraz Izydzie i Attysowi. To wszystko upamiętnił odpowiednim napisem.

Jak wynika z pewnych wzmianek pośrednich, prefekt Albinus znał dobrze nauki chrześci-

jan i *Biblię*, a nawet je krytykował, zwłaszcza naukę o tajemnicy Wcielenia. To z kolei wywołało replikę biskupa Ambrożego w postaci osobnego traktatu, który dziś znamy tylko ze streszczenia. Lecz żona poganina tak zdeklarowanego była chrześcijanką! Podobnie jej córka Albina. Syn natomiast, noszący imię stryja, a więc Woluzjanus, podzielał przekonania ojca. Rozłam religijny w łonie jednej rodziny nader charakterystyczny, a powtarzający się w różnych odmianach chyba nie tylko w tamtej epoce.

Korzystając zaś ze sposobności przytoczymy jeszcze kilka faktów, dotyczących późniejszych losów rodziny, są one bowiem prawdziwie znamienne.

## Albina, Melania, Woluzjanus

Na krótko przed zdobyciem Rzymu przez Wizygotów, co stało się w roku 410, opuściło stolicę wiele zamożnych osób, szukając schronienia w możliwie odległych krainach – na Sycylii lub w Afryce. Wśród tych, którzy dotarli aż tam, za morze, znalazła się również dopiero co wspomniana Albina oraz jej córka Melania wraz z mężem, noszącym imię Pinianus; wszyscy troje byli chrześcijanami, i to gorliwymi.

W Afryce rychło nawiązali bliskie kontakty z Augustynem, który nieco później poświęcił im teologiczny traktat *O łasce i grzechu pierworodnym*. Dysponując ogromnymi pieniędzmi z niedawno sprzedanych dóbr w Italii, na Sycylii i w Afryce, mogli rozwijać działalność charytatywną na szeroką skalę. W Thagaste, a więc w rodzinnym mieście Augustyna, Melania założyła klasztor. Tymczasem w Kartaginie przebywał Woluzjanus. Obie kobiety dokładały usilnych starań, by tak bliski krewny – brat jednej, wuj drugiej – porzucił kult „demonów” i przyjął ich religię. Bezskutecznie. Poglądy ojca mocno się w nim zakorzeniły. Posiadamy dziś jeszcze bezpośredni i bardzo interesujący dowód stałości jego przekonań; chodzi o list samego Woluzjana do biskupa Augustyna. Pismo to nader serdeczne i pełne szacunku, świadczy o niewątpliwie dobrych stosunkach, łączących rzymskiego arystokratę i dostojnika Kościoła. Autor wszakże, rzekomo tylko referując cudze wypowiedzi, daje w nim wyraz swoim wątpliwościom co do sensowności pewnych doktryn chrześcijańskich; i znowu chodzi o dogmat Wcielenia, już niegdyś podważany przez Woluzjanowego ojca. Nieskończony Bóg w żywocie Dziewicy? A potem w ciele chłopca, poddanym wszystkim prawom natury? Augustyn odpowiedział długim listem, rodzajem traktatu. Lecz nawet on, tytan myśli i mistrz słowa, nie zdołał przekonać sceptyka.

Woluzjanus zresztą żywił niechęć do nowej religii także z innych powodów, poniekąd aktualniejszych. Przewornie wprost ich nie wyjawiał na piśmie, pewien wszakże urzędnik zadbał o to, by stały się znane biskupowi. Zarzuty Rzymianina ująć można najkrócej tak: Po pierwsze, nauki Chrystusa są całkowicie nieprzydatne w życiu politycznym, bo w nim nie wolno nastawiać drugiego policzka, lecz trzeba natychmiast złem za złe odpłacać; bo jakże mamy zareagować, jeśli barbarzyńcy pustoszą ziemie naszych prowincji? Po drugie, największe nieszczęścia spadły na Imperium właśnie za panowania cesarzy chrześcijańskich, usiłujących gorliwie realizować doktryny Kościoła.

Te zarzuty, padające oczywiście także z wielu innych stron, zabolowały Augustyna szczególnie mocno. Tak mocno, że odpowiedział na nie aż dwudziestu dwiema księgami dzieła *O państwie bożym*; sformułował w nim ostro i jednoznacznie sprawę dwóch porządków i dwóch hierarchii wartości. W jakiejś więc mierze dzieło to, tak znaczące w historii myśli europejskiej, zawdzięcza swe powstanie także konsekwentnie pogańskim przekonaniom Woluzjanusa; te zaś z kolei uformowały się pod wpływem ojca, prefekta Rzymu w roku 390.

Po kilku latach wszyscy troje – Albina, Melania i Pinianus – drogą przez Egipt dotarli do Palestyny. Tam osiedli na stałe w Jerozolimie i znaleźli opiekuna duchownego w osobie Hieronima. Tam też pochowała Melania matkę i męża. W roku 431 założyła klasztor na Górze

Oliwnej, gdzie żyła umartwiając się, przepisując własnoręcznie *Pismo święte*, spełniając uczynki miłosierdzia. W roku 436 wyjechała na krótko do Konstantynopola. Spotkała tam, po tylu latach, swego wuja Woluzjanusa. Bawił on w stolicy nad Bosforem w ważnej misji politycznej, jako wysłannik dworu zachodniego. Był poważnie chory. Tym razem dał się przekonać namowom i błaganiom siostrzenicy. Przyjął chrzest zaledwie na kilka godzin przed swą śmiercią w styczniu roku 437. Melania powróciła do Jerozolimy, gdzie zmarła w ostatnim dniu roku 439; dlatego to w kalendarzu 31 grudnia nosi właśnie jej imię.

Tak więc wnuczka prefekta Rzymu z lat ostatniej olimpiady, wytwornego pana, poganina i sceptyka, odbierała później cześć jako święta. Znamienna i wręcz symboliczna dla tamtej epoki kolej losów.

## Hipodrom w Konstantynopolu

Odwiedzając stolicę nad Bosforem w roku 436 Melania na pewno z daleka i wręcz trwożnie omijała ogromną, wspaniałą budowlę w samym centrum miasta, w pobliżu cesarskiego pałacu. Bogobojnej arystokratce wydawać się ona musiała siedliskiem wszelkiego zła, pułapką zastawioną przez szatana na słabych duchem, gorszącym przybytkiem rozpusty, skąd rozlegają się ustawicznie wycia grzesznych i potępionych. Mowa oczywiście o hipodromie, czyli – używając terminologii łacińskiej – cyrku.

Był on w pewnym sensie nawet starszy od Konstantynopola. Pochodził mianowicie jeszcze z początku wieku III n.e. Miasto zwało się wtedy Bizancjum, a dzięki łaskawości cesarza Sewerusa otrzymało znakomicie wyposażone łaźnie i właśnie hipodrom; bez tych obiektów, jak już mówiliśmy, nie mogliby normalnie żyć mieszkańcy żadnego większego ośrodka w czasach rzymskich. W przeszło sto lat później Konstantyn Wielki dając Bizancjum swe imię i rozbudowując je tak, aby było godne zaszczytu tak wielkiego, poszerzył w sposób istotny także hipodrom na wzór i podobieństwo Circus Maximus w stolicy nadtybrzańskiej. Mierzył on odtąd około 400 m długości i 120 m szerokości, a jego widownia mogła pomieścić w 40 rzędach co najmniej 100 000 osób; ławy były początkowo drewniane, później zastąpiono je marmurowymi. Po stronie zewnętrznej, a więc od strony miasta, konstrukcja widowni opierała się na wielkich łukach kamiennych, jakie znamy z innych rzymskich budowli tego typu. Przy ścianie południowo-wschodniej i niemal dotykając pałacu cesarskiego mieściła się loża honorowa; w niej to zasiadał władca, jego rodzina, najwyżsi dostojnicy. Zdobił ją rydwan boga Heliosa, zaprzężony w cztery rumaki. Ta wspaniała rzeźba z brązu, dzieło Lizypa (nadwornego artysty Aleksandra Wielkiego), niegdyś znajdowała się na Rodos, potem chyba na Chios lub w Koryncie, wreszcie w Rzymie, w pałacu Nerona; stamtąd została przewieziona do Konstantynopola zaledwie na kilka lat przed przyjazdem Melanii. O świetności jej sądzić możemy nie tylko na podstawie opisów lub kopii częściowo bowiem przetrwała do naszych czasów; rumaki kwadrygi stoją do dziś nad portykiem bazyliki św. Marka w Wenecji. Było zaś w hipodromie wiele znakomitych dzieł sztuki, rzeźb marmurowych i spiżowych, ściągniętych tutaj z wszystkich krain Imperium przez Konstantyna Wielkiego i jego następców. Tak więc w przerwach między wyścigami tysiące widzów miały co oglądać; mogły też podziwiać wspaniałe widoki na miasto i morze, roztaczający się z korony hipodromu. A był on również miejscem pamiątkowym i niemal świętym; przecież to właśnie tutaj, wokół bieżni hipodromu, szła w maju roku 330 uroczysta procesja połączona z igrzyskami, kiedy symbolicznie dokonywano ceremonii narodzin Konstantynopola.

A co pozostało z owej budowli? Co ujrzy tam ktoś zwiedzający Stambuł dzisiejszy? Jeszcze w wieku XVI, w sto i więcej lat po zdobyciu miasta przez Turków, stały tam wcale znaczne fragmenty konstrukcji; jeden wszakże z podróżników stwierdza z bólem, że był świadkiem, jak rozbierano je, by służyły za budulec. Wkrótce znikło wszystko, co sterczało

nad ziemią. Wykopaliska późniejsze odsłoniły tylko część fundamentów. Istnieje natomiast sam plac, zachowujący wiernie kształt dawnego stadionu, podobnie jak w Rzymie sławna Piazza Navona utrwaliła zarys cyrku Domicjana. Zwie się obecnie At Majdani. Przejść musi tamtędy każdy gość wielkiej metropolii, każdy, kto zawita do niej choćby na kilka godzin, albowiem w najbliższym sąsiedztwie znajdują się dwa klejnoty architektury: kościół św. Zofii, czyli Mądrości Bożej (obecnie Muzeum) oraz – tuż obok, na miejscu pałacu cesarzy bizantyńskich – Meczet Błękitny. Natomiast na samym placu wznoszą się wzdłuż jego linii środkowej i w jednym rzędzie trzy monumenty: dwa kamienne obeliski i spiżowa kolumna między nimi. Niegdyś znaczyły one wraz z innymi kolumnami, posągami i piramidkami podłużny podział stadionu; była to jego tzw. spina, czyli kręgosłup.

Kolumna spiżowa ma kształt niezwykle, a mianowicie trzech splecionych węzłów. Ich głowy odrąbano lub odpadły same już w czasach tureckich, zapewne z początkiem wieku XVIII; niegdyś podtrzymywała złoty trójnóg, na którym stała równie złota waza. Całość była darem dziękczynnym, jaki państwka greckie złożyły bogu Apollonowi w Delfach za zwycięstwo odniesione nad Persami w roku 479 p.n.e.; nazwy państwki ofiarodawców widnieją do dziś na splotach węzowych. Mniej więcej w półtora wieku później zdjęto i przetopiono części złote, ale kolumna przetrwała w Delfach aż do Konstantyna Wielkiego; z jego to rozkazu ustawiono ją w hipodromie Konstantynopola tam, gdzie dziś się znajduje. Ponieważ powierzchnia stadionu podniosła się w ciągu setek lat o co najmniej dwa metry, kolumna obecnie wystaje jakby z zagłębienia; licząc od bazy ma ponad 5 m wysokości. Iluż to wydarzeń była świadkiem! Widziała powstanie stronnictw cyrkowych za cesarza Justyniana w roku 532, zwane Nika, bo właśnie tu wzięło ono swój początek; zginęło wtedy ponad 40 000 osób. Widziała później panoszenie się i rabunki krzyżowców w roku 1204; straszliwe sceny, jakie się działy, gdy miasto zdobywali Turcy w roku 1453. I wreszcie w roku 1826 zbryzgała kolumnę krew janczarów; 30 ich tysięcy otoczono i wymordowano z rozkazu ówczesnego sułtana właśnie tu, na placu dawnego hipodromu.

Po obu stronach kolumny wznoszą się obeliski, czyli wysokie, czwórgraniaste, zwężające się ku górze i ostro zakończone słupy kamienne. Jeden z nich, wyższy, ma 32 m. Zwany jest popularnie „murowanym”. I rzeczywiście, łatwo rozpoznać, że zbudowano go z bloków wapienia. Niegdyś nie było to widoczne, całą bowiem powierzchnię pokrywały płyty brązu, ale te zdarli krzyżowcy. Obelisk jest stosunkowo późny, wznosił go cesarz Konstantyn Porfirogeneta w wieku X. Natomiast naprawdę imponującą przeszłością może się poszczycić obelisk ze strony przeciwnej, bliższy kościołowi św. Zofii. Nie licząc podstawy mierzy wprawdzie tylko niecałe 20 m, został wszakże wyciosany z jednego bloku porfiru. Dokonali tego mistrzowie kamieniarstwa w Egipcie za panowania faraona Tutmozisa III w wieku XIV p.n.e.; imię jego wyryte znakami hieroglificznymi, widnieje do dziś na ścianach monolitu. Stał on długo w świątyni Amona w Tebach egipskich, gdzie dziś osada Karnak. Kto i kiedy sprowadził go z tak daleka, zza morza?

Odpowiedź znajdujemy na potężnej, marmurowej podstawie obelisku; tę wykonano oczywiście już na miejscu, w Konstantynopolu. Ma kształt sześciangu o wysokości 6 m; obelisk osadzono na czterech kulach spiżowych, wpuszczonych do podstawy w każdym rogu, a cztery jej ściany pokryto płaskorzeźbami o bardzo interesującej tematyce. Oglądamy więc prace nad transportem i ustawieniem obelisku za pomocą lin, dźwigni i podpór (chyba jedyna tego rodzaju ilustracja w zachowanych zabytkach sztuki rzymskiej); wyścigi rydwanów i jeźdźców na stadionie; cesarza przypatrującego się wraz z synami i dworem pokazom z łoża honorowej; obcych posłów przed cesarzem; jego syna wśród najemnych żołnierzy – Gotów. Płaskorzeźby są charakterystyczne także jako przejaw nowego stylu i nowych ujęć. Tak więc w niektórych scenach wszystkie osoby widziane są z przodu; stoją na wprost, w równych i zwartych szeregach, a głowy ich wydają się nazbyt duże w stosunku do ciała. Zarówno te, jak też inne szczegóły wykonania stanowią wyraźną zapowiedź pewnych cech bizantynizmu.

Rzym stary, ten nad Tybrem, zdobiono obeliskami egipskimi poczynając od czasów cesarza Augusta. Naśladowało go wielu następców, aż po Konstancjusza II. W roku 357 rozkazał on sprowadzić z kraju nad Nilem największy pomnik monolityczny tego typu; chciał w ten sposób upamiętnić swój krótki pobyt w wiecznym mieście. Obelisk ów stoi do dziś na placu przed Lateranem. Zdobiąc więc hipodrom w Konstantynopolu monolitem porfirowym przywiezionym z Egiptu, kontynuowano świadomie i konsekwentnie wzory dawne; a to w tym celu, aby Rzym nowy, ten nad Bosforem, mógł pod każdym względem równać się z pierwszą stolicą! Wprowadzono wszakże godną uwagi innowację; było nią właśnie umieszczenie płaskorzeźb na bazie obelisku. W starym Rzymie, mającym tyle monumentów tego rodzaju, nie spotkamy ich w tym miejscu nigdzie. Znajdują się tam tylko i jedynie napisy, obwieszczające potomnym, za czyjego to panowania i z czyjej woli sprowadzono z odległej krainy i tu postawiono monument tak wspaniały. Oczywiście i na podstawie obelisku w Konstantynopolu znaleźć się musiał, prócz płaskorzeźb, także i napis; przecież same wyobrażenia figuralne, choć interesujące jako ilustracje, nie potrafiłyby przekazać późniejszym generacjom imienia władcy, który dokonał dzieła tak wielkiego! Dlatego to wyryto obok płaskorzeźb także odpowiednią inskrypcję. A nawet dwie: łacińską i grecką. Obie są wierszowane i w gruncie rzeczy treści tej samej, choć zachodzą między nimi pewne różnice stylistyczne. To znamienne, że dano napisy w dwu językach! Fakt ten dowodzi, że nowa stolica państwa wciąż rzymskiego, i którego oficjalnym językiem pozostawała nadal łacina, naprawdę była dwujęzyczna. Można nawet podejrzewać, że w życiu codziennym mieszkańców greka górowała nad językiem Zachodu.

Oto co mówi inskrypcja grecka: „Cesarz Teodozjusz, on tylko jeden, odważył się podnieść tę czworoboczną kolumnę, od wieków ciężko leżącą na ziemi. Powierzył zadanie Prokulusowi; i tak ustawiono ów słup w ciągu dni trzydziestu i dwu”<sup>26</sup>. Chodzi tu oczywiście o prace wykonane w samym Konstantynopolu, okres bowiem transportu nie został wliczony. Dodajmy wreszcie i ten szczegół, tylko pozornie drobny, że na obu napisach imię Prokulusa zostało wnet po wyryciu zatarte, potem zaś wyryte na nowo. Jaki powód obu tych zmian? Do tej sprawy, za którą kryje się wielki dramat historyczny i ludzki, jeszcze powrócimy.

Notatka pewnego kronikarza poucza, że erygowano obelisk, gdy konsulami byli Walentynian po raz czwarty i Neoterius; a więc, jak już wiemy, w roku 390.

Ozdobienie hipodromu obeliskiem oraz ukazanie na płaskorzeźbach jego podstawy, jak sam cesarz Teodozjusz przygląda się wyścigom wraz z rodziną, to fakty, które w pełni potwierdzają opinię wypowiedzianą już na wstępie: choć właśnie za tego władcy zgasy olimpiady, nie był przeciwny igrzyskom osobiście, a może nawet pasjonował się nimi na równi z większością swoich poddanych. Toteż wcale nie dziwi, że zasiadł w łoży hipodromu mediołańskiego rankiem dnia tego samego, w którym miał umrzeć.

W Italii północnej biskup Ambroży pośrednio krytykował rozkoszowanie się igrzyskami; wychwalał przecież młodo zmarłego Walentyniana za to, że stronił od cyrku i nie urządzał igrzysk pod żadnym pozorem, nawet w dniu urodzin cesarza. Podobnie i w Konstantynopolu nie brakowało kapłanów chrześcijańskich, rzucających gromy potępienia na wszystko, co związane z cyrkiem, widowiskami, teatrem. Wybitny teolog i płomienny, choć fanatyczny mówca Grzegorz z Nazjanzu wołał w swych kazaniach, jakie wygłaszał w tamtejszych kościołach dokładnie dziesięć lat przed ustawieniem obelisku w hipodromie:

„Obywatele wielkiego miasta! Wy, co jesteście liczeni tuż po mieście pierwszym, a w istocie nawet tej rangi nie chcecie mu przyznać! Waszym obowiązkiem jest żyć tak, abyście jawili się jako pierwsi nie swymi przywarami, lecz zaletami; nie rozwiążnością, lecz przestrzeganiem prawa. Bo rzecz to przecież haniebna, jeśli chce się władać innymi miastami, lecz samemu ulega się pożądaniu przyjemności; jeśli pragnie się uchodzić za społeczność poważną

---

<sup>26</sup> H. Dessau, *Inscriptiones Latinae Selectae* (dalej cyt.: Dessau, ILS), nr 821.

i stateczną, ale naprawdę szaleje się z powodu wyścigów, przedstawień teatralnych, polowań!”<sup>27</sup>

Te i tym podobne słowa rozbrzmiewały w kościołach przepelnionych, a zgromadzeni przyjmowali je z pokorą i w skupieniu; były to wszakże prawdziwie biadania wołającego na puszczy. Trafiały tylko do uszów, lecz nie do serca zwykłych słuchaczy; czy byli nimi prości mieszkańcy, kupcy i rzemieślnicy, czy też sam arcychrześcijański władca.

Do jakiego stopnia mógł rozgorzeć fanatyzm wielbicieli wyścigów cyrkowych, najlepiej pokażą wydarzenia, które rozegrały się w tymże roku 390 i wcale nie tak daleko od Konstantynopola, bo w Tessalonice.

## Mury i kościoły Tessaloniki

Konstantynopol łączyła z Tessaloniką droga zwana przez Rzymian *via Egnatia*. Biegła ona wzdłuż wybrzeży Propontydy i Morza Egejskiego prawie dokładnie tak, jak dziś autostrada ze Stambułu do Salonik. Przecinała potem w poprzek góry Macedonii i osiągała wybrzeża Adriatyku jednym swym ramieniem w Dyrrachium, drugim zaś w Apollonii; oba te miasta leżały na ziemiach obecnej Albanii. Budowę drogi, niezmiernie ważnej ze względów wojskowych i handlowych, rozpoczęli Rzymianie jeszcze w II wieku p.n.e., a więc w czasach republiki.

Tessalonika zawdzięczała swe znaczenie i świetność zarówno owej drodze, jak i dobremu portowi morskiemu. Miasto założył wprawdzie już władca Macedonii Kassander około 315 p.n.e. i nazwał je od imienia swej żony (a siostry Aleksandra Wielkiego), lecz jego rzeczywisty rozkwit przypada dopiero na okres rzymski. Przez długi czas było faktyczną stolicą prowincji Macedonii, a właśnie w epoce późnego cesarstwa jego rola stale rosła. Na przełomie wieku III i IV rezydował tu cesarz Galeriusz. Jego łuk triumfalny, pomnik zwycięstwa, jakie odniósł nad Persami w roku 303, stoi do dziś, zdobny interesującymi płaskorzeźbami; zachowało się prawdopodobnie również jego mauzoleum, zamienione w wiekach późniejszych na rotundowy kościół św. Jerzego. Chrześcijański patron miasta św. Demetriusz, poniósł śmierć męczeńską za panowania tegoż Galeriusza; nie jest wcale wykluczone, że obecna bazylika, jemu zresztą poświęcona, zajmuje miejsce dawnych term Tessaloniki. Jest ona zresztą w obecnym swym kształcie i wyglądzie znacznie późniejsza. Najpierw istniało tylko skromne sanktuarium, a obszerny kościół, jaki stanął w wieku V, był później kilkakrotnie restaurowany po zniszczeniach i pożarach; mimo to ma on w swym wystroju wewnętrznym sporo cennych i szacownych wiekiem dzieł sztuki.

Pod względem ilości i piękna zabytków architektury, a zwłaszcza kościołów, Tessalonika zajmuje chyba drugie miejsce po samym Konstantynopolu. Tłumaczy się to nie tylko bogactwem i wielkością miasta, które w pewnych okresach rzeczywiście rywalizowało ze stolicą państwa bizantyńskiego, lecz także bardzo dawnymi tradycjami tutejszego chrześcijaństwa. Zaszczepił je przecież sam apostoł Paweł. Miał on w ciągu trzech kolejnych sobót kazania w miejscowej synagodze, nawrócił sporo słuchaczy; później zaś wysłał do młodej gminy – jednej z pierwszych w Europie! – dwa listy, ważne dokumenty do historii młodego Kościoła.

Kiedy w drugiej połowie wieku IV rzymskie władztwo w prowincjach naddunajskich zachwiało się i skurczyło – a doszło do tego przede wszystkim skutkiem straszliwej klęski poniesionej pod Adrianopolem w bitwie z Gotami w roku 378 – Tessalonika wcale nie podupadła. Przeciwnie. Jako główna siedziba naczelnych urzędów cywilnych i dowództw wojskowych prowincji bałkańskich, czyli Illirikum, stała się nawet ośrodkiem jeszcze ważniejszym i ludniejszym. Została też dobrze umocniona – oczywiście w obawie przed nagłym najazdem barbarzyńców. Pewne partie potężnych murów obronnych, zachowane do dziś, pochodzą niewątpliwie z czasów cesarza Teodozjusza; a z miastem tym wiąże się ważny i dziejowo doniosły okres jego życia.

---

<sup>27</sup> Grzegorz z Nazjanzu, mowa 27.

Cesarz Gracjan, rezydujący stale na Zachodzie, wyniósł go do godności współwładcy z początkiem roku 379. Nowy pan wschodniej części Imperium ruszył natychmiast w pole przeciw Gotom, Hunom, Alanom, aby przynajmniej częściowo przeciwdziałać następstwom katastrofy pod Adrianopolem; za główną bazę swych operacji, na ogół pomyślnych, obrał właśnie Tessalonikę. Przebywał więc w jej murach często w ciągu dwóch lat, 379 i 380. Tutaj też ciężko zachorował w pierwszych tygodniach tego ostatniego roku i już się sposobiał do śmierci przyjął chrzest z rąk Ascholiosa, biskupa Tessaloniki. Niewątpliwie pod wpływem tegoż biskupa wydał w dniu 28 lutego edykt, rzecz prosta uzgodniony z obu współwładcami, Gracjanem i Walentynianem II (wówczas chłopcem dziewięcioletnim!) i przez nich podpisany. Jest to dokument o niezwykłym znaczeniu. Nakazuje mianowicie wszystkim ludom, „którymi władza nasza łagodność”, aby żyły według tego wyznania wiary, jakiego nauczał apostoł Piotr, a jakie obecnie podtrzymują papież Damazy w Rzymie oraz biskup Piotr w Aleksandrii, to jest „wierząc w jednakową boskość Ojca i Syna i Ducha Świętego w równym majestacie i w Świętej Trójcy”; przestrzegający ustawy są chrześcijańskimi katolikami, wszyscy zaś inni to szaleńcy i obłąkani, okryci niesławą heretyckich poglądów, a miejsc ich zebrań nie wolno nazywać kościołami. Ustawa oznacza pełny triumf ortodoksji, jak ją sformułowano na soborze w Nicei w roku 325 i jak ją rozumiano w Rzymie oraz w Aleksandrii. A przecież w bardzo wielu ośrodkach, nawet w Konstantynopolu, arianie mieli równe lub i przeważne wpływy, ugruntowane poparciem, jakim cieszyli się w ciągu minionych dziesięcioleci przez sprzyjających im cesarzy. Odtąd jednak, od edyktu tessalonickiego z roku 380, rozpoczyna się w Imperium zdecydowany triumf zwolenników credo uchwalonego w Nicei. Ważne jest również w tymże edykcie oficjalne usankcjonowanie przez władzę świecką nazwy „katolicy” – żyjącej do dziś.

W listopadzie roku 380 Teodozjusz opuścił Tessalonikę, by wkroczyć do Konstantynopola jako triumfator. Odtąd przebywał w stolicy nad Bosforem przez lat kilka, z krótkimi tylko przerwami. Do Tessaloniki zawitał znowu dopiero jesienią roku 387. Pozostał w niej przez całą zimę oraz wiosnę roku następnego, latem jednak był już w Italii. Akwileja, Mediolan, Rzym, znowu Mediolan – oto główne miejsca pobytu dworu cesarskiego od lata 388 do wiosny 390.

I właśnie wiosną roku 390 doszło w Tessalonice do wypadków, które wywarły ogromny wpływ na politykę wewnętrzną Teodozjusza. Można by rzec obrazowo, że wydarzenia te początek swój wzięły w tessalonickim hipodromie, widomego zaś kresu dobiegły w mediolańskiej katedrze, a fala, przez nie wzniesiona, nie ominęła i stadionu w Olimpi.

## Hipodrom w Tessalonice

Skoro zachował się tak wiernie kształt stadionu w Konstantynopolu, skoro przetrwały nawet trzy obiekty niegdyś wyznaczające jego linię środkową, w sposób naturalny nasunąć się musi pytanie, co pozostało z odpowiedniej budowli w Tessalonice, na pewno równie imponującej. Otóż sprawa przedstawia się tutaj pozornie odmiennie i zdawałoby się, że na postawioną kwestię trudno odpowiedzieć, teren bowiem dawnego hipodromu został w całości zabudowany domami i pocięty ulicami. A mimo to, jeśli skrupulatnie zebrać i rozważyć różne dane, można sporo rzec o tym, jak usytuowany był hipodrom, jakie miał rozmiary, gdzie się znajdowały najważniejsze jego części.

Tej wielkiej budowli nigdy nie burzono w sposób planowy i gwałtowny. Stała, powoli chyląc się ku ruinie, a potem rozsypując w gruzy, przez wiele stuleci. Dowiadujemy się z przypadkowej notatki w dziele bizantyńskim, że jeszcze w wieku XII właśnie tu odbywały się zgromadzenia ludności. Resztki hipodromu były zupełnie wyraźne nawet w wiekach XVIII i XIX, toteż wzmianki w relacjach podróżników z tego okresu dostarczają wiele cennego mate-



riału. Pozwalają one stwierdzić przede wszystkim to, że hipodrom rozciągał się na terenach położonych tuż obok łuku triumfalnego cesarza Galeriusza; o tym monumencie już wspominaliśmy. Oś stadionu biegła południkowo, łuk zaś Galeriusza wznosił się w pobliżu północnej krzywizny. Ci, co zwiedzali miasto w wieku XVIII i następnym widzieli obszerny plac, na pewno oddający kształt stadionu, porosły drzewami. Była to miła i malownicza dzielnica, zamieszkała w czasach panowania tureckiego wyłącznie przez ludność grecką. Jeszcze w wieku XIX sterczały tu i tam arkady, podtrzymujące niegdyś stopnie widowni, w ruinach zaś gnieździły się sklepy, przeważnie farbiarzy. Wciąż też, poprzez wszystkie stulecia, utrzymywała się pamięć o tym, że tutaj odbywały się niegdyś igrzyska. Żyła nawet nazwa tego rejonu, wywodząca się wprost ze starożytnej: Prodromi, zniekształcone oczywiście z „hippodromos”.

Dokładny plan wojskowy, wykonany przez Anglików w czasie I wojny, ukazuje jeszcze ciąg struktur antycznych. Drobiazgowo zaś obserwacje i częściowe wykopaliska w okresie międzywojennym pozwoliły ustalić, że sklepienia piwnic wielu domów na tym terenie to po prostu resztki konstrukcji, niegdyś podtrzymujących siedzenia widowni; tu i ówdzie zachowały się ławy kamienne. Sposób budowania wskazywał, że znaczna część hipodromu została wzniesiona w czasach Galeriusza, a więc na przełomie wieku III i IV. Co jest w pełni zrozumiałe, skoro cesarz ów, jak się rzekło, właśnie w Tessalonice ustanowił swoją główną rezydencję, musiał więc zadbać o jej uświetnienie. I wreszcie w niektórych miejscach natrafiono na grubą warstwę żwiru, niegdyś pokrywającego bieżnię, co z kolei pozwoliło na wytyczenie jej linii. Jednakże po ostatniej wojnie obraz terenu uległ zasadniczej zmianie; wzniesiono tu nowoczesne, wysokie bloki mieszkalne, co raz na zawsze przekreśliło możliwość podjęcia jakichś systematycznych prac wykopaliskowych. Na szczęście samo wiercenie głębokich fundamentów przyniosło też pewne odkrycia; wydobyto nieco kamiennych bloków i części wystroju. To wszystko – informacje pisane z ubiegłych wieków, plany, zabytki materialne – prowadzi do takich wniosków:

Szerokość samego stadionu, bez widowni, wynosiła metrów około 84, łącznie zaś z widownią po obu stronach około 125; długość bieżni ponad 400, z widownią zaś 425. Są to rozmiary bardzo zbliżone do tych, jakimi cechowała się podobna budowla w Konstantynopolu oraz dwa hipodromy w Hiszpanii, również z czasów cesarstwa. Jak już mówiliśmy, krzywizna stadionu znajdowała się po stronie północnej, a więc niedaleko łuku Galeriusza; natomiast tzw. carceres, czyli miejsca i stanowiska, skąd ruszały do wyścigów rydwany, zamykały stadion prostą ścianą od południa. Łoża cesarska wznosiła się przy zachodnim bloku hipodromu, tam bowiem graniczył on z pałacem; chodziło o to, by władca mógł łatwo i bezpiecznie przechodzić ze swoich pokoi na widownię. Zupełnie podobnie przedstawiała się rzecz w Konstantynopolu; z tym, że tam pałac, a więc i łoża cesarska, znajdowały się po stronie wschodniej hipodromu<sup>28</sup>. Tak przedstawiała się scena wydarzeń roku 390.

## Wódz i jego podczasy

W roku 390 wojskami prowincji bałkańskich dowodził niejaki Buterich. Samo jego imię wskazuje, że był z pochodzenia Germaninem, jak zresztą znakomita większość oficerów i żołnierzy w ówczesnej armii rzymskiej. Wystarczy wskazać, że zarówno naczelny dowódca wojsk Wschodu, u boku Teodozjusza, jak i Zachodu, przy młodym Walentynianie, wywodzili się z ludu Franków. Pierwszy zwał się Richomeres, drugi zaś Arbogastes; łączyło ich bliskie pokrewieństwo. Położyli duże zasługi dla Imperium, służąc mu wiernie nawet przeciw swym współplemieńcom. Nie należy zresztą wyobrażać ich sobie jako prymitywnych żołdaków i półdzikich barbarzyńców; wiadomo, iż mieli pewne kontakty z ówczesnymi środowiskami

---

<sup>28</sup> M. Wickers, *The Hippodrome at Thessaloniki*, *Journal of Roman Studies* LXII 1972, s. 25–32.

intelektualistów i zbierali z ich strony sporo pochwał (bezinteresownych!) ze względu na swą odwagę, energię, prawość. Obaj – i to godzi się podnieść! – byli gorliwymi poganami, zwłaszcza Arbogastes; mimo to pozostawał on podobno w niezłych stosunkach z biskupem Ambrożym.

Wracamy jednak do Butericha. Do osobistej jego służby należał urodziwy chłopiec, podający wino do stołu. Ta odpowiedzialna i wdzięczna funkcja miała w świecie antycznym swoje tradycje. Jakże? Najlepiej pokaże to autentyczna anegdota z czasów świetności Hellady klasycznej. To, co przedstawia, działo się jeszcze w wieku V p.n.e., a można nawet określić dokładnie: w roku 440. A więc 830 lat przed przygodą Buterichowego podczaszego! Mimo to rzecz warto przypomnieć w tym kontekście. Choćby tylko dla porównania, dla uświadomienia sobie, co łączyło, a co dzieliło dwie tak odległe epoki kultury obejmowanej przez nas nazwą tą samą: świat starożytny. Przytoczona opowieść jest fragmentem wspomnień poety Iona z wyspy Chios; główny zaś bohater prezentacji nie potrzebuje.

„Poetę Sofoklesa spotkałem na wyspie Chios. Płynął na Lesbos, jako dowódca kilku okrętów. Przy winie lubił on żart i zabawę. Podejmował go Hermesylaos, osobisty przyjaciel, a zarazem opiekun spraw ateńskich na wyspie.

Tuż przy ogniu stał chłopiec podający wino. Twarzyczkę miał ładnie zaróżowioną. Sofokles zapytał:

– Chcesz, żeby mi się piło przyjemnie?

– Oczywiście – rzekł chłopiec.

– A więc podawaj mi kielich bardzo powoli, zabieraj zaś równie powoli!

Twarz dziecka oblał piękny rumieniec, co widząc Sofokles zwrócił się do swego sąsiada przy stole:

– Jakże trafnie określił to poeta Frynich, mówiąc:

«Na purpurowych licach płonie blask miłości!»

Posłyszał te słowa nauczyciel Erytrajos i natychmiast wtrącił swoją uwagę:

– Na poezji, Sofoklesie, znasz się świetnie. Ale przecież niedobrze to powiedział Frynich, że lica piękności są purpurowe. No bo wyobraźmy sobie tylko: gdyby tak jakiś malarz pomalował na czerwono twarz tego oto chłopca, to z pewnością nie wydałby się on ładny. A więc nie należy porównywać piękna z tym, co w rzeczywistości wcale nie przedstawiałoby się pięknie!

Sofokles roześmiał się i odparł:

– Czy to ma znaczyć, przyjacielu, że nie podoba ci się również ów wiersz Symonidesa, który wszyscy Hellenowie bardzo chwala: «Uleciały słowa z purpurowych ust dziewczyny»? Zapewne też ganisz tego poetę, który nazwał Apollona złotowłosym. Bo przecież gdyby jakiś malarz dał temu bogu włosy rzeczywiście złote, obraz na pewno nie wypadłby dobrze. A ktoś inny używa określenia: «Jutrzenka różanopalca». Gdyby jednak posmarować palce kobiety kolorem różowym, to byłyby to tylko ręce farbiarki, a nie pięknej dziewczyny!

Wszyscy roześmiali się głośno, Erytrajos, tak skarcony, od razu zamilkł. Sofokles znowu zwrócił się do chłopca. Spostrzegł, że wyjmując on małym palcem jakąś drobinę z płynu w kielichu. Zapytał:

– Widzisz tę kruszynę dobrze?

– Widzę.

– Więc zdmuchnij ją, nie mocz palca!

Chłopiec grzecznie posłuchał i pochylił się nad kielichem; Sofokles właśnie zaczął podnosić go ku ustom. Tym sposobem obie głowy zbliżyły się ku sobie. A kiedy już prawie się stykały, poeta nagle ujął chłopca ręką, mocno go przyciągnął i ucałował. Patrząc na to aż zaklaskali z uciechy.

Wołali wśród śmiechu:

– Ależ go zwiodłeś!

A na to Sofokles:

– Cóż, moi drodzy, właśnie tak ćwiczę się w sztuce strategii. Bo Perykles wciąż twierdzi, że owszem, poeta ze mnie niezły, ale dowódca żaden. A może nie powiódł mi się ten podstęp wojenny?”<sup>29</sup>

Tak zabawiał się strateg Sofokles w czasie wyprawy wojennej, tak traktowano wówczas tego rodzaju sprawy: lekko, wesoło, swobodnie. Lecz w niespełna dziewięć wieków później, w latach ostatniej olimpiady, nikt by sobie nie pozwolił na żart podobny; zwłaszcza przy świadkach. Nikt – ani poeta, ani dowódca.

Wiosną roku 390 ukazała się ustawa Teodozjusza (podpisana oczywiście również przez młodego Walentyniana; Gracjan już nie żył od lat siedmiu), nakazująca tępić jak najsurowiej, bo prawdziwie ogniem i mieczem, wszelkie występki erotyczne „przeciw naturze”<sup>30</sup>. Zachowany fragment brzmi niezwykle ostro, nawet na tle brutalności ówczesnego systemu kar, tortur, represji. Odpis skierowany do wysokiego dostojnika w samej stolicy zaczyna się od słów pełnych dziwacznej retoryki: „Nie możemy ścierpieć by miasto Rzym, macierz cnót wszelakich, hańbiło się dłużej zarazą zniewieściałego w mężczyznach sromu; i by surową tężyzną, trwającą tu od założycieli, nadwyrężano przez uszczuplanie sił ludu. Dlatego to postanawia się: osoby płci męskiej, a odgrywające w stosunkach homoseksualnych rolę kobiet, należy schwytać, wyciągnąć z owych niby lupanarów, oraz spalić żywcem – i to jawnie, publicznie, dla przykładu! Aby zrozumieli wszyscy, że święty winien być dla każdego przybytek duszy męskiej; i że ten, kto stracił pleć swoją, a usiłuje przybrać odmienną, naraża się tym samym na karę ostateczną”. Nie ulega żadnej wątpliwości, że męki czekające stronę drugą, aktywną, były co najmniej równie srogie.

A tymczasem młodziutki podczaszy Butericha stał się ulubieńcem woźnicy cyrkowego, ogromnie wówczas popularnego w Tessalonice. Wódz wtrącił uwodziciela do lochu; działał przypuszczalnie na mocy wspomnianej ustawy. Nasze źródła milczą o losie chłopca i o tym; co się stało później z uwięzionym. Może jednak sprawa przedstawiała się w rzeczywistości jeszcze inaczej? Może Buterich postąpił tak nie tyle z posłuszeństwa wobec cesarza i dla obrony moralności, rzekomo zagrożonej, ile z zawiści o względy chłopca, którego uważał za swoją własność wyłączną? To by wyjaśniało najlepiej kamienny upór, z jakim przeciwstawiał się coraz natarczywszym prośbom mieszkańców o uwolnienie więźnia. Zbliżały się dni jakichś wielkich igrzysk lokalnych i zewsząd wołano, że bez woźnicy tak znakomitego, prawdziwej ozdoby stadionów cyrkowych, zawody zupełnie się nie udadzą.

Zresztą jeszcze inne czynniki, nie tak przypadkowe, podsycaly nastroje wrogości tessaloniczan wobec Butericha. A więc przede wszystkim to, że wódz i przeważna część jego żołnierzy byli obcego pochodzenia. Dalej ich zachowanie się w mieście: butne, pewne siebie, niby w kraju zdobytym siłą. Zajmowali najlepsze domy, rozbijali namioty wewnątrz murów, dopuszczali się rabunków. Tak więc nakładały się na siebie i wzajem potęgowały namiętności stronnictw cyrkowych, przeciwieństwa etniczne i kulturowe, a także ciągłe zatargi pomiędzy wojskiem a ludnością cywilną; zatargi drobne, lecz dokuczliwe. Wobec nieustępliwości wodza doszło do rozruchów. Buterich widocznie je zlekceważył, ukazał się gdzieś na mieście bez należytej osłony; tłum dopadł go i ukamienował wraz z kilku dostojnikami.

Teodozjusz, jak się już rzekło, przebywał wówczas w Italii. Stamtąd też, w pierwszym porywie wściekłości (a chyba i lęku przed gniewem żołnierzy) wydał oddziałom w Tessalonice tajny rozkaz, wykonany przez podwładnych chętnie i skrupulatnie. Gdy pewnego dnia tłum szczelnie wypełnił hipodrom, by radować się wyścigami rydwanów, silny kordon żołnierzy otoczył cały budynek. W ciągu trzech godzin wymordowano 7000, a według innych źródeł aż 15 000 osób; oczywiście prawie wyłącznie mężczyzn. Oficerowie baczyli pilnie, by ich podkomendni nie litowali się nad nikim.

<sup>29</sup> Ion z Chios, *Fragmenta Historicorum Graecorum*, II 46, 1.

<sup>30</sup> *Collatio legum Mosaicarum et Romanarum*, V 3; C Th IX 7, 6.

## Cesarz i biskupi

„Stało się więc w mieście Tessalonice coś, co nie zdarzyło się jeszcze nigdy za pamięci ludzkiej. Coś, czego ja nie byłem w stanie powstrzymać. A przecież zapowiadałem już wcześniej, że będzie to zbrodnia najpotworniejsza! Błagałem tyle razy! Właśnie przez sam fakt, że usiłowałeś rzecz odwołać, co prawda za późno, osądziłeś, jak groźna to sprawa. Tego wszakże, co już się stało, ja nie potrafiłem osłabić.

Gdy nadeszły pierwsze wiadomości o Tessalonice, zbierał się u nas w Mediolanie synod, przybyli bowiem tutaj biskupi z Galii. Nie było wśród nich nikogo, kto by nie jęknął boleśnie; nie znalazł się nikt, kto by przyjął owe wieści tylko powściągliwie<sup>31</sup>.

Tak pisał Ambroży w liście skierowanym wprost do cesarza. Wnioski z tych słów? Po pierwsze: biskup zorientował się od razu, gdy tylko zameldowano o okolicznościach śmierci Butericha, jak srogi jest gniew władcy. Usiłował przeciwdziałać, pragnął osłonić mieszkańców przed pomstą zbyt okrutną. W szczegóły planu nie został wtajemniczony, to oczywiste. Wiadomo skądinąd, że nie brał udziału w zebraniach cesarskiej rady przybocznej, zwanej konsystorzem; natomiast dużą, może nawet kluczową rolę odgrywał w nich Rufin, naczelnik urzędów pałacowych, pobożny chrześcijanin, zaciekły wróg pogan, człowiek ambitny, podstępny, skłonny do okrucieństw; Ambroży dawał później do zrozumienia, iż w nim to, w Rufinie, należy upatrywać właściwego sprawcę nieszczęścia. Dalej: Teodozjusz opamiętał się (lub tylko udawał, że się opamiętuje!) i wysłał rozkazy rzekomo cofające lub łagodzące decyzję poprzednią. Gońcy wszakże przybyli do Tessaloniki za późno; tam dokonano się już wszystko, wśród zwałów skrwawionych trupów na stopniach hipodromu krążyły kobiety, szukając swych najbliższych. Po trzecie wreszcie: Ambroży, nawet gdyby chciał zachować pozorną obojętność, nie mógłby przejść nad zbrodnią milcząc, sama bowiem obecność tylu biskupów z kraju zaalpejskiego wywierała nań presję moralną.

Cesarz oczywiście przewidywał, że gdy gruchnie wieść o rzezi tessalonickiej, rozpęta się fala straszliwego oburzenia; lękał się, wolał nie wysłuchiwać gromów potępienia i głosów pomstujących. Przezornie więc wyjechał z Mediolanu, nim jeszcze przyszły pierwsze meldunki ze wschodu. Powrócił, jak się wydaje, dopiero z początkiem czerwca, kiedy – tak mogło się wydawać – już mijał pierwszy, najgwałtowniejszy szok opinii publicznej. Z kolei jednak Ambroży, powiadomiony w porę przez kogoś z dworu o tym, że cesarz wkrótce przybędzie do Mediolanu, opuścił czym prędzej swoją siedzibę, niby to ze względu na zły stan zdrowia. I wtedy to właśnie, już na wyjeździe, zredagował ów list, którego fragment przytoczyliśmy powyżej. Postąpił ze zręcznością urodzonego polityka, jakim był rzeczywiście; pragnął mianowicie w ten sposób oficjalnie usprawiedliwić swoją nieobecność przy powitaniu władcy, a jednocześnie wyrazić dobitnie wszystko, co myśli o zbrodni popełnionej w Tessalonice. Biskup, jak wszyscy ówczesni dostojnicy, dyktował tekst pisma sekretarzowi, ostatnie jednak zdanie dodał sam w tajemnicy przed nawet najbliższym otoczeniem:

„Kończąc piszę własną ręką to, co tylko Ty powinienes przeczytać. Oby Pan tak uwolnił mnie od cierpień wszelkich, jak prawdą jest, że nie od człowieka i nie przez człowieka, lecz wprost, jak uważam, otrzymałem pewien zakaz! Pograżony w smutku miałem widzenie właśnie tej samej nocy, w której już sposobie się do wyjazdu; wydało mi się mianowicie, że Ty wprawdzie przyszedłeś do kościoła, mnie wszakże nie wolno było odprawiać nabożeństwa!”

A nieco dalej stwierdza już bez żadnych ogródek, niedomówień, powoływania się na sny i widzenia: „Ofiarę złożysz wtedy dopiero, gdy Tobie będzie wolno to uczynić, a ona stanie się miłą Bogu!”<sup>32</sup>

---

<sup>31</sup> Ambroży, *Listy*, 51, 6.

<sup>32</sup> Ambroży, *Listy*, 51, 14–15.

A więc biskup faktycznie wykluczył cesarza ze wspólnoty kościelnej, czyli obłożył go ekskomuniką. Użył słów ostrych, ale w najpoufniejszej części listu; wiedział zresztą, że w najbliższej przyszłości nie dojdzie do bezpośredniego zetknięcia się w Mediolanie, uniknie się więc przykrych wyjaśnień i rozmów.

Lecz co było według wyraźnego wyznania samego pasterza tylko widzeniem, rzekomym lub prawdziwym, i co pozostawało jedynie w sferze groźby (gdyby cesarz istotnie zechciał wejść do kościoła), to pojawia się w tradycji już niewiele późniejszej jako fakt rzeczywisty. Biskup – tak opowiadali z podziwem historycy Kościoła w kilkadziesiąt lat potem – stanął we własnej osobie w bramie budynku i nie wpuścił Teodozjusza, gdy ten przybył w całym majestacie swej władzy, aby wziąć udział w nabożeństwie. Następne wieki rozbudowywały ów motyw. Oto wersja najpopularniejsza, wzięta z *Żywotów świętych* ks. Piotra Skargi:

„Żałował, przeczytawszy list, występku onego cesarz, i wróciwszy do Mediolanu chciał bez winnej pokuty przyjść do kościoła. Przestrzegł go biskup, aby z pałacu nie wychodził; a wiedział, iż go do kościoła puścić nie chce, ażby jawną przed kościołem pokutę czynił. A jednak szedł cesarz do kościoła! Zastąpił mu św. Ambroży w przedsionku mówiąc:

– Nie wchodź, cesarzu! A jako tymi rękoma Ciało Pańskie weźmiesz, któreś tak niewinną krwią pomazał? Jako do ust krew Jego przyjmiesz, którycheś na tak okrutne rozkazanie używał?

Mówił mu cesarz:

– Dawid król też zgrzeszył mężobójstwem i cudzołóstwem, a łaskę u Boga znalazł.

A biskup odpowiedział:

– Naśladowałeś grzeszącego, naśladujże pokutującego!

I wrócił się cesarz do pałacu”.

Rozmowa to oczywiście zmyślona, choć średniowieczni hagiografowie – z nich to pośrednio czerpał nasz Skarga – zaczerpnęli jej wątki i sformułowania po prostu z autentycznego listu Ambrozego. Fikcje wszakże i legendy należą również do pewnej kategorii faktów historycznych, mogą wywierać ogromny wpływ i mają swoje znaczenie dziejowe. Klasycznym tego przykładem jest właśnie owa scena mediolańska, której nie było. Ukazywała barwnie i mocno majestat samego cesarza Rzymu, ustępujący przed powagą biskupa; jakże wymarzony temat i argument w średniowiecznych sporach między władzą kościelną i świecką! Można powiedzieć bez żadnej przesady: to, co tylko rzekomo dokonało się w Mediolanie w latach ostatniej olimpiady, dopomogło prawie w siedem wieków później do realizacji aktu przed bramami Kanossy.

## Ustawy, rokowania, pokuta

Naprawdę zaś wydarzenia owe, o ile możemy je odtworzyć po tylu wiekach na podstawie skąpych wskazówek źródłowych, wcale nie toczyły się tak dramatycznie i groźnie. Wszystko rozbijało się raczej w sferze jakby politycznej. Teodozjusz, wyraźnie dotknięty postawą i wypowiedziami Ambrozego – a także, rzecz prosta, jego przedłużającą się nieobecnością – znowu wyjechał z Mediolanu. Przeniósł się do niezbyt odległej Werony. Stamtąd to datowane są jego ustawy już pod koniec lipca. Rzecz uderzająca: niektóre z nich są w swej treści niemal propogańskie, w każdym zaś razie usiłują stawiać tamę nadmiernej swobodzie, a nawet wręcz samowoli chrześcijan w pewnych dziedzinach. I tak np. zdecydowano wówczas, że kobieta może sprawować kościelny urząd diakoniszy dopiero przekroczywszy sześćdziesiąty rok życia; zabroniono również diakonisom zapisywać swe majątki na rzecz gmin współwyznawców, osób duchownych, a nawet ubogich<sup>33</sup>. Ustawa, choć na pierwszy rzut oka może budzić zdi-

---

<sup>33</sup> C Th XVI 2, 27.

wienie, była słuszna i potrzebna. Dotychczasowa praktyka zupełnej swobody w tym zakresie otwierała szerokie pole rozmaitym nadużyciom. Na pewno niejedna rodzina cierpiała skutkiem fanatycznej pobożności niewiast, przekazujących Kościołowi cały dobytek i wszystkie majątności – niekiedy może i świadomie po to, by dokuczyć najbliższym spadkobiercom. Co prawda ustawa obowiązywała zaledwie przez dwa miesiące, anulowano ją bowiem – i to nie wyjaśniając przyczyn – już pod koniec sierpnia. Czy w wyniku ostrych sprzeciwów ze strony kleru? Prawdopodobnie. Lecz znowu w kilkanaście dni później, bo z początkiem września, Teodozjusz podpisał edykt na pewno wielce niemiły czynnikom kościelnym. Zabronił mianowicie mnichom pobytu w miastach, oświadczając w słowach twardych, a nie pozbawionych obrazowości. „Niech idą w miejsca bezludne i na pustkowia bezkresne, aby tam mieszkać!”<sup>34</sup> W tym przypadku postanowienie miało moc aż przez dwa lata. Przypuszczają niektórzy, iż właściwym autorem ustaw był potężny prefekt Wschodu Tatian, gorliwy poganin, cesarz zaś tylko się przychylił do jego projektów; ale i ten fakt miałby swoją wymowę, zważywszy okoliczności.

Tak więc działała kancelaria cesarska w owych miesiącach letnich roku 390. Jednocześnie zaś trwały rokowania i toczyły się poufne rozmowy pomiędzy dworem a biskupem Mediolanu. Również i one wpływały pośrednio na ustawodawstwo. W sierpniu, jeszcze przed odwołaniem zarządzeń w sprawie diakonis, Teodozjusz uczynił gest pojednawczy. Przyznał się niemal otwarcie do winy, popełnionej skutkiem popędliwości, zapowiadając w swym nowym edykanie:

„Jeśli się zdarzy, że wbrew naszej łagodności, a zgodnie z rozpoznaniem sprawy, polecimy ukarać kogoś bardziej surowo, nie chcemy, by wyrok ów wykonywano natychmiast. Niech los i położenie skazanych pozostaną w zawieszeniu jeszcze przez dni 30. Oczywiście należy osoby te wziąć pod straż, uwięzić i pilnie nadzorować”<sup>35</sup>.

Nieco ogólnikowe określenie „ukarać bardziej surowo” oznacza w istocie najwyższy wymiar kary, a więc śmierć. Czyli: pomiędzy ogłoszeniem wyroku, od którego nie ma już apelacji, a egzekucją upłynąć musi na mocy ustawy dni co najmniej 30. Wystarczająco wiele, by się namyślić, zreflektować, ewentualnie zmienić decyzję. Cesarz daje do zrozumienia, że poprzednio działał niekiedy nazbyt pochopnie, czego obecnie żałuje i pragnie w przyszłości unikać.

Rokowania pomiędzy dworem a biskupem wreszcie doprowadziły do porozumienia. Jesienią Teodozjusz powrócił do Mediolanu. Przez jakiś czas pojawiał się w kościele katedralnym bez insygniów władzy, czyli w charakterze pokutnika. Trwało to aż do świąt Bożego Narodzenia. Obchodzono je wówczas, podobnie jak i dzisiaj, w dniu 25 grudnia. Poprzednio, to jest przed wiekiem IV, istniały różne tradycje lokalne, co do daty, samo zaś święto nie należało do najważniejszych; początkowo w wielu ośrodkach chrześcijańskich było nawet zupełnie pomijane, jako nie mające żadnego znaczenia w porównaniu z pamiątką Męki Pańskiej; wskazywano też, że to właśnie poganie mają zwyczaj święcić dzień urodzinowy swych bogów i przykładają wielką wagę do dnia urodzin każdego człowieka, by na tej podstawie układać horoskop astrologiczny. Jeśli wreszcie przyjął się powszechnie 25 grudnia, to chyba głównie dlatego, że miał swoją symboliczną wymowę: słońce niewzyciężone pokonywało noc i rozpoczynało swój pochód ku wiosennemu odrodzeniu życia. Tak więc dopiero w dniu 25 grudnia roku 390 Teodozjusz po raz pierwszy od wielu miesięcy uczestniczył w nabożeństwie w roli pełnoprawnego członka gminy. Dodajmy jednak, że świadectwa w sprawie pokuty nie są całkowicie jasne. Kto wie, czy nie ograniczyła się ona tylko do jednorazowego przybycia do katedry w skromnej szacie, właśnie w dniu święta?

Warto w tym miejscu przytoczyć opis praktyk pokutniczych, stosowanych ówczesnie w Kościele zachodnim (w gminach wschodnich, a zwłaszcza w samym Konstantynopolu, wy-

---

<sup>34</sup> C Th XVI 3, 1.

<sup>35</sup> C Th IX 40, 13.

glądało to inaczej). Przekazał ów opis historyk Sozomenos, żyjący w wieku V, a więc o pokolenie później od lat, którymi tu się zajmujemy:

Pokutujący stoją w miejscu oddzielnym i widocznym, smutni i pogrążeni w żałobie. Po nabożeństwie wszystkie wykluczone ze wspólnoty osoby padają twarzą na ziemię, płacząc i jęcząc. Biskup spieszy ku nim, również łzami zalany, i tak samo jak tamci rzuca się na ziemię. Potem on pierwszy wstaje i podnosi leżących. Modli się za błądzących i odejść im każe. A każdy z nich osobno jeszcze się umartwia, poszcząc lub żyjąc w brudzie, albo też w inny sposób, jak mu zalecono. Tak oczekują przyjścia dnia, wyznaczonego przez biskupa. Wtedy to dopiero, jakby po spłaceniu długu, zostają uwolnieni od kary za grzech, jaki popełnili, i znowu stają się pełnoprawnymi członkami wspólnoty<sup>36</sup>.

Przypomnijmy jeszcze cytowane już poprzednio słowa Ambrożego! Na pewno nie są one wolne od retorycznej przesady, obecnie wszakże, gdy znamy już przyczyny i tło wydarzenia, lepiej je zrozumiemy i zabrzmią inaczej. Mówił więc biskup o człowieku, „który potrafi odrzucić wszystkie przysługujące mu insygnia władzy monarszej, aby publicznie opłakiwać swój grzech w kościele; a grzech ten popełnił raczej skutkiem podstępstwa ze strony innych osób. Jęcząc i zawodząc cesarz błagał o przebaczenie. Wcale nie wstydził się tego, czego się wstydzą ludzie zwykli, to jest jawnie odprawiać pokutę. I nie było potem ani jednego dnia, w którym by gorzko nie bolał nad tamtym swoim błędem”<sup>37</sup>. Zwróćmy przy sposobności uwagę, że biskup wyraźnie stara się odciążyć cesarza, dając do zrozumienia, że został on wprowadzony w błąd, oszukany. Przez kogo? Słuchacze szeptem wymieniali nazwisko jednego z najbliższych dostojników.

Teodozjusz więc odbył pokutę – a swój żal i skrucę wyrażał przede wszystkim tym sposobem, że srożył się przeciw pogaństwu.

## „Rygiel naszej ustawy”

Do Cejoniusa Albinusa, prefekta miasta Rzymu; odpis ustawy z dnia 24 lutego roku 391:

„Niech nikt się nie kała składaniem ofiar! Niech nikt nie zabija zwierzęcia niewinnego, niech nikt nie wchodzi do przybytków pogańskich, aby oglądać świątynie i patrzeć na podobizny ukształtowane ręką człowieka! Kto bowiem popełniłby te przestępstwa, ma wiedzieć, że ściągnie na siebie kary boże i ludzkie. Także dostojników niech obowiązuje ów przepis: jeśli którykolwiek z nich, oddany kultowi pogańskiemu, wejdzie do świątyni – czy to w czasie podróży, czy też w samym mieście – aby cześć okazać, musi natychmiast wpłacić 15 funtów złota. Także cały jego urząd, jeśli nie da wyrazu swemu sprzeciwowi i nie poświadczy tego bezzwłocznie i publicznie, ma złożyć na rzecz skarbu sumę w tejże wysokości”<sup>38</sup>.

Nieco tylko mniejsze, a więc stosunkowo również bardzo znaczne grzywny nakłada ustawa na wszystkich niższych rangą namiestników prowincji, gdyby dopuścili się czynu tak karygodnego. Przewiduje też podobną odpowiedzialność finansową tych urzędników, którzy nie przeszkodzą namiestnikom w oddawaniu hołdu „demonom” lub od razu nie doniosą, że popełniono zbrodnię straszliwą. Łatwo sobie wyobrazić, jak ponura atmosfera zaczęła ciążyć od momentu ogłoszenia ustawy nad pracą najważniejszych urzędów w samym Rzymie i w ośrodkach prowincjonalnych! Jak wzajem się podejrzewano i śledzono na każdym kroku, ile pojawiło się intryg, oszczerstw, donosów i kalumnii!

Sytuacja stała się tym bardziej przykra, że wśród wysokich dostojników wciąż jeszcze nie brakowało pogan szczerze wierzących i odważnie praktykujących. Do takich należał choćby

<sup>36</sup> Soz., H.k., VII 16.

<sup>37</sup> Ambroży, *De obitu Theodosii oratio*, 34.

<sup>38</sup> C Th XVI 10, 10.

adresat ustawy, prefekt Albinus, dobrze nam już znany. Ale żarliwymi poganami byli także obaj konsulowie roku 391, Tatian i Symmachus. Pierwszy z nich, prefekt Wschodu, ojciec Prokulusa, prefekta Konstantynopola, został również tu scharakteryzowany; obecnie osiągnął jako konsul szczyt swej kariery urzędniczej – i stał tylko o krok od całkowitej katastrofy życiowej. Symmachus natomiast, jeden z najwybitniejszych i najsympatyczniejszych przedstawicieli swego wieku, wymaga jeszcze bliższej prezentacji.

Pełne jego nazwisko brzmiało: Quintus Aurelius Symmachus Eusebius. Arystokrata posiadający dobra w Italii środkowej i południowej, na Sycylii, w Afryce, najchętniej przebywał w samym Rzymie, gdzie miał aż trzy pałace; mimo to uchodził za senatora zaledwie średnio zamożnego. Piastował honorowe godności kwestora i pretora, potem zarządzał jako namiestnik Lukanią i Brucjum w Italii, a następnie prowincjami Afryki północnej. Otrzymał godność komesa stopnia trzeciego. Był prefektem miasta Rzymu od lata roku 384 do początków roku 385. A więc tylko przez sześć miesięcy! Miało to swoją głębszą przyczynę, a mianowicie jego niezłomną wierność dla dawnych bogów i kultów. Walczył zresztą w ich obronie niejako z urzędu, nosił bowiem tytuł „pontifex maior”, czyli kapłan wyższy. Tytuł bowiem „pontifex maximus”, czyli kapłan najwyższy, przysługiwał jedynie cesarzom; i mieli go też kolejno wszyscy imperatorzy aż do Gracjana, który zrzekł się i nazwy, i związanych z nią funkcji w roku 375. Odtąd więc „pontifex maior” stał się faktycznie i formalnie głową pradawnych kolegiów kapłańskich, sięgających swymi początkami pierwszych wieków miasta nad Tybrem – lub może nawet jeszcze starszych. Był też przywódcą arystokracji pogańskiej w stolicy. A miał dość odwagi cywilnej, by jawnie dawać wyraz swoim przekonaniom i upominać się o prawa bogów nawet wobec władców. Właśnie jako prefekt zaczął toczyć walkę o przywrócenie do sali posiedzeń senatu ołtarza bogini Wiktorii. Cały przebieg tych starań, oczywiście daremnych, znamy dokładnie dzięki zespołowi odpowiednich pism urzędowych, tak zwanych relacji, jakie Symmachus zebrał i przygotował do wydania; na wieczną rzecz pamiątkę. Zachował się również obfity zbiór jego korespondencji prywatnej; daje on wcale interesujący wgląd w umysłowość i życie ówczesnej arystokracji rzymskiej. Co prawda pisany jest łaciną retoryczną. Taki jednak był smak tamtej epoki; stylistyka, w naszym odczuciu sztuczna, wydawała się właśnie wielkim osiągnięciem, godnym wszelkiego wysiłku. Ale poza tą kwestią, w której wina Symmachusa jest oczywiście tylko częściowa i względna, wypada uznać go, dzieląc opinię współczesnych, za człowieka bardzo wykształconego, o dużej kulturze literackiej, świadomie też tę kulturę krzewiącego. Pod wielu więc względami przypominał swego rówieśnika i przyjaciela Cejoniusa Albina.

Fakt, że konsulami roku 391 zostali właśnie dwaj poganie tak gorliwi i szeroko znani ze swych przekonań, zasługuje na baczną uwagę. Nie ulega wątpliwości, że Teodozjusz wyznaczył ich na to stanowisko właśnie w tym okresie, gdy jego stosunki z Ambrozym były bardziej napięte, a więc zapewne w lecie roku 390. Cesarz ostrzegał przez to posunięcie, by nie nadużywano jego cierpliwości, może bowiem w razie ostatecznym znaleźć wpływowych sojuszników w obozie wrogów Kościoła. Potem wprawdzie rokowania doprowadziły do zgody, cesarz nawet odbył pokutę, lecz nominacji raz już przyobiecanych nie dało się cofnąć. Zadbano wszakże o to, by obu konsulom roku 391 przysporzyć kłopotów, a nawet upokorzeń. Chyba właśnie to stanowiło jeden z celów ustawy z dnia 24 lutego. Przecież dokument, godzący swą treścią tak ostro w to, co Tatian i Symmachus ukochali i jawnie kulturowali, nosił w dacie właśnie ich nazwiska! Musieliby więc albo przyjąć twarde rozkazy i małodusznie zaprzeć się swej wiary, albo też cierpieć wstrętne dokuczliwości ze strony byle skryby, byle woźnego we własnych biurach i kancelariach. Jeśli uznamy, że ustawa stanowiła rodzaj prowokacji, nietrudno będzie wskazać w otoczeniu cesarza człowieka, zdolnego poprowadzić rzecz tak perfidnie. Był nim wspomniany już Rufin.

W gruncie rzeczy tylko powtórzeniem ustawy lutowej jest późniejsza, z dnia 16 czerwca, skierowana specjalnie do najwyższych dostojników w Egipcie, a mianowicie do prefekta Eu-



agriusza i komesa Romanusa; pierwszy z nich stał na czele administracji cywilnej, drugi zaś wojsk stacjonujących. Głosi ona:

„Nikomiu nie wolno składać bogom ofiar, chodzić po świątyniach, oglądać ich przybytków. Niech wiedzą wszyscy, że rygiel naszej ustawy zamyka dostęp do każdej sprawy pogańskiej. A kto by usiłował wbrew niniejszemu zakazowi czynić cokolwiek związanego z bogami i kultem, nie spotka się żadną pobłażliwością. Gdyby zaś urzędujący dostojnik, ufny w przywileje swej władzy, wszedł jako lekkomyślny bluźnierca do owych miejsc nieczystych, będzie musiał wnieść do skarbu naszego 15 funtów złota; tyleż samo wpłacą jego podwładni, jeśli nie przeszkodzą temu wspólnymi siłami”<sup>39</sup>.

Czy to represje administracyjne, zastosowane na mocy tej ustawy, doprowadziły w Aleksandrii do groźnych zaburzeń? A może właśnie skutkiem walk ulicznych, jakie się toczyły wiosną roku 391 na ulicach Egiptu, cesarz, aby ostatecznie rozprawić się z poganami, przypomniał ustawę sprzed kilku miesięcy? Z powodu braku dokładnych danych chronologicznych można argumentować i za tym, i za tamtym poglądem. Jedno wszakże jest całkowicie pewne: wydarzenia w Aleksandrii należały do najgwałtowniejszych i najbardziej znamienitych starć pomiędzy przedstawicielami obu religii w latach ostatniej olimpiady.

---

<sup>39</sup> C Th XVI 10, 11.

## ALEKSANDRIA

### Rozruchy w Aleksandrii – relacja pierwsza

Sięgnijmy w pierw po świadectwo stosunkowo obszerne i wczesne, choć pochodzące od człowieka, który chyba nigdy nie widział Aleksandrii, na pewno zaś nie był naocznym świadkiem tego, co się tam działo w roku 391; za to znał on osobiście przynajmniej dwóch uczestników wydarzeń, i to pogan. Mowa o historyku Kościoła Sokratesie; tradycyjnie daje się mu zaszczytny przydomek Scholastyka, czyli biegłego w prawie. Dzieło swe, bardzo wartościowe, jakkolwiek programowo stronnice, pisał w pierwszej połowie wieku V. Oto – z nieznanymi tylko skrótami – co ma on do powiedzenia w interesującej nas sprawie: Biskup miasta Teofil nalegał usilnie, by położyć kres kultowi dawnych bogów. Dało to wreszcie taki skutek, że cesarz rozkazał zburzyć świątynie pogańskie – i właśnie Teofilowi zlecił baczyć, by zadanie to wykonano. Biskup, wyposażony w tak szerokie pełnomocnictwa, pragnął pohańbić tamte kulty tajemne na wszelki sposób. Tak więc niektóre przybytki oczyścił i zamienił na kościoły, a inne zniszczył całkowicie. Pokazywał publicznie krwawe symbole misteriów Mitry, te zaś, które należały do bóstw innych, ośmieszył i wydrwił; z jego to mianowicie polecenia obnoszono fallosa przez sam środek rynku. Pogańscy mieszkańcy Aleksandrii, a wśród nich także ci, co podawali się za filozofów, nie potrafili stłumić bólu. Zmówili się i na dany znak uderzyli jednym impetem na chrześcijan, zabijając każdego, kto stanął im na drodze; toteż i atakowani musieli się bronić. Bitwa trwała tak długo, póki sam przesyt rozlanej krwi nie położył kresu dalszym nieszczęściom. Pogan zginęło w niej niewielu, chrześcijan wszakże mnóstwo; rannych zaś po obu stronach trudno by zliczyć. Przerazili się sprawcy; zdjął ich lęk przed gniewem cesarza. Pouciekali więc, a wielu z nich szukało schronienia w różnych miastach. Do tych należeli także dwaj profesorzy gramatyki, Helladios i Ammonios; słuchałem jeszcze ich wykładów w Konstantynopolu, będąc wtedy młodzikiem. A mówiono, że pierwszy z nich był kapłanem Zeusa, drugi zaś Małpy.

Po ostatecznym stłumieniu rozruchów prefekt i dowódca wojsk pomogli Teofilowi w niszczeniu świątyń. Budynki obracano w gruzy, a posągi rąbano lub przetapiano na sprzęt dla Kościoła aleksandryjskiego, cesarz bowiem darował je ubogim ku wspomżeniu. Biskup wszakże rozkazał zachować jeden posąg nietknięty, powiadając:

– Dzięki temu poganie nie będą mogli w przyszłości zaprzeczyć, że czcili właśnie takich bogów!

Wiem zaś z całą pewnością, że dopiero co wspomniany Ammonios ogromnie nad tym bolał i narzekał:

– Szkaluje się kulty helleńskie, bo tylko ten jeden posąg nie uległ zniszczeniu, lecz został umyślnie zachowany na pośmiewisko naszych wierzeń!

A co do Helladiosa, to ten znowu chwalił się, że w czasie walk ulicznych w Aleksandrii zabił własną ręką aż dziewięciu mężczyzn.

Gdy zaś rozbierano tamtejszą świątynię Sarapisa, stwierdzono ze zdumieniem, że na kamiennych płytach w jej wnętrzu widnieje hieroglif mający kształt krzyża. Inaczej jednak tłumaczyli ten znak chrześcijanie, inaczej zaś poganie. Ci pierwsi mniemali, że chodzi wprost o święte znamię męki Chrystusa, drudzy natomiast powiadali:

– Owszem, znak to pod względem swego wyglądu wspólny obu wierzeniom, lecz jego treść jest zupełnie odmienna!

Wreszcie znaleźli się dopiero co nawróceni chrześcijanie, jeszcze nieco zorientowani w zasadach i rozumieniu starego pisma egipskiego. Objaśnili oni, że ów hieroglif jest symbolem życia przyszłego. Wyznawcom Chrystusa spodobało się takie tłumaczenie. Powoływali się też na rzekomą przepowiednię; podobno głosiła ona, że świątynia Sarapisa ulegnie zniszczeniu wtedy, gdy na jej ścianach pojawi się zwyczajny znak krzyża.

Historyk dodaje: „Tego się dowiedziałem, słuchając opowieści o znalezieniu napisu” – i zaraz formułuje swe wątpliwości<sup>40</sup>.

Jakim to sposobem, jakim cudem, kapłani dawnego Egiptu mogliby już przed wielu wiekami, jeszcze przed przyjściem na świat Chrystusa, odgadnąć symbol jego męki? Ba, potrafili wyryć go w swym przybytku! Przecież to, że ma zjawić się kiedyś Zbawiciel, stanowiło najgłębszą tajemnicę mądrości bożej, nie znaną nawet szatanowi! Tym bardziej więc nie mieli, nie mogli mieć o tym pojęcia jego niscy słudzy, kapłani egipskich bożków i demonów. Czyżby więc sam Bóg kazał im wyryć ów niezwykły hieroglif, zapowiedź czegoś, co stać się ma w przyszłości?

## Hieroglif ank

Zarówno całość Sokratesowej relacji, jak i poszczególne jej punkty muszą nasuwać czytelnikowi dociekliwemu sporo pytań i wątpliwości. Chciałoby się mieć obraz pełniejszy i dokładniejsze informacje o przyczynach i rozwoju wydarzeń. Owszem, znajdują się jeszcze inne świadectwa, które pozwolą lepiej odtworzyć przynajmniej ogólny przebieg rozruchów aleksandryjskich. Nim jednak po nie sięgniemy, wypada wyjaśnić pewne kwestie wspomniane w opowiadaniu Sokratesa; sprawy to może uboczne, z różnych jednak względów interesujące.

Zacznijmy od tego, czym autor zamyka swe sprawozdanie, a co nawet jemu samemu wydało się dziwne, tajemnicze, niezbyt wiarygodne. Chodzi o ów znak krzyża, niespodziewanie i ku zdumieniu wszystkich odkryty w sercu pogańskiej świątyni. Otóż właśnie w tym przypadku możemy przedstawić tłumaczenie faktu – bo jednak faktem to było! – stosunkowo proste, a chyba przekonujące. Nie, wcale nie trzeba wyobrazać sobie, że to chrześcijanie podstępnie wkradli się do przybytku Sarapisa i wyryli tam godło swej wiary, by potem pokazywać je triumfująco jako niby to istniejące tam od dawna! Był to hieroglif prawdziwy, a więc dzieło samych pogan, znak wykuty lub wypisany rzeczywiście przed wiekami, a istotnie co do formy niemal identyczny z krzyżem. Tyle tylko, że zamiast górnego ramienia miał rodzaj niewielkiej, owalnej pętli. Stąd też i nazwa, nadana mu później przez łacinników na Zachodzie: „*crux ansata*”, czyli krzyż z uchwytem. W języku natomiast dawnych Egipcjan hieroglif ów zwał się ank (ściślej, lecz nieporęcznie: ankh). Występuje często w różnych napisach rytych lub malowanych jeszcze w epoce faraonów, czasem zaś nawet samoistnie, a więc w postaci ornamentu lub niemal przedmiotu kultowego. I nic dziwnego: zarówno sam wyraz ank, jak i jego symbol hieroglificzny oznaczał życie oraz pojęcia z tym związane; był więc po prostu w swej istocie szczęśny, dobrze wróżący. Jest pewne, że właśnie z tej racji musiał widnieć od samego początku również na ścianach świątyni Sarapisa; a zaczęto ją budować w Aleksandrii na długo przed powstaniem chrześcijaństwa, bo w wieku III p.n.e. Wielu przystępujących do nowej religii jeszcze wyznawało się nieco przynajmniej w elementach pisma hieroglificznego; ci neofici tłumaczyli swym współwyznawcom treść prastarego symbolu wcale poprawnie. I choć w zasadzie ank odnosił się do życia doczesnego, rozumienie szersze, a więc obejmujące również bytowanie pośmiertne, jest w pewnych przypadkach całkiem usprawiedliwione; w każdym zaś razie tak to pojmowali poganie w późnej starożytności.

Zapyta ktoś, i nie bez racji, czemu od razu właśnie w ten sposób nie wyjaśniono sprawy

---

<sup>40</sup> Sokr., H.k., V 16.

rzekomego krzyża? Przecież tysiące mieszkańców Aleksandrii nieraz widywało ank w różnych świątyniach i na wielu pomnikach dawnej religii! Odkrycie w świątyni Sarapisa nie powinno dziwić nikogo ze współczesnych. Pamiętajmy jednak, że mamy do czynienia z relacją wtórną; ułożył ją człowiek żyjący w Konstantynopolu w kilkadziesiąt lat po wydarzeniu, piszący na podstawie opowieści na pewno już ubarwionych i tendencyjnie zniekształconych. Poza Egiptem symbolika, a nawet wygląd znaku ank nie były szerzej znane. Propaganda zaś chrześcijańska wyzyskiwała różne sposobności, by doszukiwać się tajnych przepowiedni, proroctw i wróżb, potwierdzających prawdziwość i dziejowe posłannictwo nowej wiary. Doszukiwała się owych rzekomych wieszczb właśnie w pewnych formach kultu dawnych bogów, jako że głosy z obozu przeciwnika mają zawsze wymowę szczególną. Co więcej: hieroglif ank w pogańskiej świątyni musiano tłumaczyć jako godło chrześcijańskie, albowiem sami chrześcijanie egipscy przygarnęli go i stosowali już wcześniej w symbolice swego kultu po prostu jako odmianę krzyża. Mamy tego dowody niezbite, zachowały się bowiem w niektórych miejscowościach Egiptu starożytne sanktuaria chrześcijańskie, na których ścianach właśnie ank widnieje; a tradycję tę podtrzymywał jeszcze przez wieki Kościół koptyjski.

## Helladios i uniwersytet

Przejdźmy do kwestii dalszych, związanych z relacją Sokratesa. Sprawy to pozornie drobne, lecz przecież, jak się okaże, nader pouczające; nawet w perspektywie dziejowej. Przypatrzymy się dokładniej obu profesorom gramatyki (filologii, powiedzielibyśmy dzisiaj), u których nasz historyk, jak sam przyznaje, pobierał później nauki. Byli oni wszakże nie tylko biernymi świadkami, lecz i uczestnikami, a może nawet przywódcami zajęć aleksandryjskich. Obaj, Helladios i Ammonios, znani są też ze wzmianek w innych źródłach starożytnych, należeli bowiem w tamtym okresie do wcale wybitnych uczonych.

Co prawda o dorobku pierwszego z nich wiemy tylko dzięki przypadkowo cytowanym tytułom kilku traktatów różnej treści. Znajdował się wśród nich także retoryczny opis wspaniałych term w stolicy nad Bosforem; rozpoczął je budować jeszcze Konstantyn Wielki, założyciel miasta, prace wszakże, wciąż przerywane, trwały długo, prawie wiek; dobiegły końca dopiero w czasach Helladiosa, gdy panował cesarz Teodozjusz II. Uroczyste otwarcie odbyło się w dniu 3 października roku 427. Otóż Helladios uświetnił i upamiętnił to wydarzenie niejako z obowiązku, albowiem już od dwóch lat należał do grona profesorów tamtejszego uniwersytetu.

Formalnie utworzono tę uczelnię mocą specjalnej ustawy w lutym roku 425. Faktycznie jednak istniała ona i działała już znacznie wcześniej. Filolog aleksandryjski został nie tylko zaliczony w skład wykładowców, lecz już w miesiąc później otrzymał wraz z kilkoma kolegami tytuł (co prawda bez poborów) urzędnika wysokiej rangi; była to tak zwana „comitiva primi ordinis”. Czytamy w dekrete nominacyjnym piękne uzasadnienie; warto je przytoczyć przynajmniej w streszczeniu:

Niech również inni profesory wiedzą, że i oni dostąpią takiej samej godności, jeśli będą stale przez lat dwadzieścia spełniać swe obowiązki i pilnie wykonywać trud nauczycielski, prowadząc życie obyczajne, zasługujące na pochwałę; jeśli też dowiodą swej umiejętności kształcenia i przemawiania, a także bystrości w interpretowaniu i biegłości w wykładzie; i jeśli wreszcie prześwietne zgromadzenie uczelni osądzi to wszystko pozytywnie, uznając, że zaszczyt im się należy<sup>41</sup>.

To ciekawe i chyba wcale nie przypadkowe, że owa granica dwudziestu lat, po której należą się nauczycielowi pewne nagrody, powtarza się później w ustawodawstwie – także na-

---

<sup>41</sup> C Th VI 21, 1.

szym. Ale to sprawa stosunkowo drobna. Co innego prawdziwie zasługuje na baczną uwagę; ustawa Teodozjusza II nie przewiduje żadnych opinii i świadectw spoza uniwersytetu! A więc nie wymaga się wcale, by profesorzy należeli do Kościoła i przestrzegali prawowierności, choć są to już czasy pełnego triumfu chrześcijaństwa. Jak korzystnie, jak liberalnie rysuje się to zważanie na rozdział między nauką a wiarą na tle metod stosowanych w niejednym państwie późniejszym! A nie była to tylko teoria. Zasada obowiązywała również w praktyce, jakkolwiek z biegiem pokoleń i wieków pogan w gronie nauczających było coraz mniej, aż wreszcie chrześcijaństwo profesorów stała się czymś samo przez się zrozumiałym. Mimo to i wtedy uniwersytet oraz szkolnictwo niższe funkcjonowały jako instytucje organizacyjnie i w treści nauczania świeckie. Oddajmy tu głos znakomitemu historykowi wychowania, H.I. Marrou:

„Może się to wydać arcydziwne, a jednak prawdą jest, że była taka kraina, gdzie szkoła antyczna nie skończyła się właściwie mówiąc nigdy: na greckim Wschodzie wychowanie bizantyńskie jest nieprzerwanym przedłużeniem wychowania klasycznego”.

I dalej:

„Uniwersytet w Konstantynopolu (lata 425–1453) pozostał ośrodkiem owocodajnych badań i filarem klasycznej tradycji. Uniwersytet ten doznał, rzecz jasna, w ciągu tysiąclecia wielu klęsk i przemian, niejednego okresowego upadku; doznał nawet przejściowo przerwy w istnieniu, okupił to jednak zawsze powstając wspaniale na nowo ... Przekształcał się, co prawda, lecz wciąż dochowywał wierności myśli, która przeniknęła jego założenie za czasów Teodozjusza II. Nauczanie jego nie opuściło ram klasycznych: u podstaw – umiejętności wyzwolone; u szczytu – retoryka, filozofia i prawo. Społeczna jego rola nie zmienia się. Celem uczelni jest wychowywanie zespołu, z którego Cesarstwo będzie uzupełniać osobowy skład urzędów. Uniwersytet nigdy nie zaprowadzi u siebie nauk kościelnych”<sup>42</sup>.

Właśnie dlatego Kościół musiał tworzyć na Wschodzie własny system nauczania, przepojony całkowicie duchem chrześcijańskim; chodzi o tzw. szkołę monastyczną, a więc przyklasztorną. W samym Konstantynopolu, pragnąc przeciwstawić się świeckiemu uniwersytetowi, założono rodzaj akademii teologicznej, gdzie profesorów mianował patriarcha. „W stosunku do klasycznego humanizmu uniwersytetu, szkoła patriarsza zamierza stworzyć humanizm chrześcijański. Bywa on niejednokrotnie samodzielny i wysoce treściwy; mimo wszystko jednak wzoruje się wyraźnie na antyku”<sup>43</sup>.

Do utworzenia nowego uniwersytetu o charakterze tak otwartym i świeckim przyczynił się w jakimś stopniu na pewno sam ów fakt, że w Konstantynopolu pod koniec wieku IV osiadła garść uczonych aleksandryjskich, pogan, zasilając wydatnie tamtejsze środowisko intelektualistów. Nie ulega bowiem wątpliwości, że szukali schronienia w stolicy nad Bosforem nie tylko ci dwaj, Helladios i Ammonios, przypadkowo znani nam z imienia. Zaburzenia w roku 391 i lęk przed gwałtownie narastającą w Egipcie falą nienawiści religijnej, prześladowań i zniszczeń, kazały wielu profesorom, filozofom i nauczycielom opuścić miasto, które przez tyle wieków, bo od czasów pierwszych Ptolemeuszów, słusznie uchodziło za prawdziwy przybytek helleńskiej nauki. Ogólnie wspomina o tym wychodźstwie pogan Sokrates w już cytowanym świadectwie; a poznamy jeszcze z nazwiska filozofów, którzy również w tym czasie pożegnali się z Aleksandrią, co prawda nie nad Bosfor zmierzając. Sporo jednak wygnańców mniemało – i w tym się nie myliło! – że właśnie w Konstantynopolu może liczyć na więcej wyrozumiałości dla swych przekonań i na większą swobodę działania; sama obecność władcy, nawet chrześcijańskiego, i jego najwyższych urzędników zapewniała, że będzie się tu ściśle przestrzegać zasad praworządności. A tymczasem Aleksandrią już od dziesięcioleci faktycznie rządził biskup, dyszący nienawiścią do wszystkiego co pogańskie. Miał on na każ-

---

<sup>42</sup> H.I. Marrou, *Historia wychowania w starożytności*, przekł. z francuskiego S. Łosia, Warszawa 1969, s. 469.

<sup>43</sup> Tamże, 471.

de swe zawołanie zastępy ciemnych, fanatycznych mnichów; ci nieraz spieszyli władcy kościelnemu na pomoc, porzucając swe pustynne eremy i klasztory oraz rezygnując na czas jakiś z najcudacznějších praktyk ascetycznych. Znany nam zakaz przebywania mnichów w miastach obowiązywał dopiero od roku i miał zostać rychło odwołany; a czy był naprawdę przestrzegany?

Cóż to za przedziwny łańcuch wydarzeń! Można by wręcz myśleć i mówić o zemście lub opatrnościowym planie bogów; albo też, jeśli ktoś woli określenia bardziej bezosobowe, o ironii losu. Oto w latach ostatniej olimpiady gromi się pogan w wielkiej metropolii, burzy się świątynie, wygania i zmusza do ucieczki najświetlejsze elementy antychrześcijańskie. Co wszystko pośrednio sprzyja powstaniu nowego ośrodka kultury pogańskiej w innym mieście; i to takim, gdzie myśl antyczna, a więc w treści swej pogańska, mogła egzystować nieprzerwanie przez ponad dziesięć wieków. Czyli bez porównania dłużej niż mogłoby to się stać w samym Egipcie, gdzie najazd arabski w wieku VII tak czy owak położyć by musiał kres wszelkim niezależnym instytucjom myśli świeckiej – gdyby one jeszcze istniały.

## Theon i Hypatia

Księgę XXII swej *Historii* Ammian Marcellinus pisał w roku 390, a więc na kilka lub kilkanaście miesięcy przed zburzeniem świątyni Sarapisa w Aleksandrii. I właśnie w tej księdze, poświęconej w zasadzie wydarzeniom znacznie wcześniejszym, bo roku 363, wypadło mu wspomnieć szerzej o Egipcie oraz o największym tam mieście. Oczywiście historyk musiał uczcić sławę uczonych, którzy w dawnych wiekach żyli i działali w Aleksandrii; wymienia przykładowo kilkanaście nazwisk. Wszyscy oni, przedstawiciele różnych dyscyplin, wchodzili w skład Muzejonu, czyli związku ku czci Muz. Była to swobodna organizacja naukowa, powstała dzięki hojności Ptolemeusza; zapewniała byt i możliwość badań ludziom utalentowanym i pracowitym; formalnych tytułów i świadectw oczywiście nie wymagano. Na równi z Akademią platońską w Atenach Muzejon stanowi protoplastę, wzór i załóżek wszelkich uczonych stowarzyszeń oraz instytucji w naszym kręgu kulturowym. Głównym warsztatem studiów była Wielka Biblioteka, położona, podobnie jak budynek i ogród Muzejonu, w dzielnicy pałaców królewskich. Później ufundowano też mniejszą bibliotekę przy świątyni Sarapisa, a więc w dzielnicy zachodniej. W okresie największego rozkwitu, to jest u schyłku epoki ptolemejskiej, obie biblioteki łącznie mogły liczyć około 700 000 woluminów. Potem ten ogromny zasób ksiąg kurczył się skutkiem różnych kataklizmów dziejowych. Wprawdzie – wbrew późniejszej legendzie! – w trakcie walk Cezara w Aleksandrii, gdy oblegano go wraz z Kleopatrą w pałacu królewskim, owe skarby kultury chyba nie poniosły uszczerbku, natomiast ciężkie ciosy spadły z rąk cesarzy na całe miasto, a zwłaszcza na jego dzielnice najbogatsze, w wieku III. W roku 272 Aurelian rozkazał zniszczyć część budowli na terenach pałacowych; zapewne wtedy to legło w gruzach Muzejon i przepadła duża partia księgozbioru. Nietknięta natomiast pozostała owa mniejsza biblioteka przy świątyni Sarapisa, mająca niewiele ponad 40 000 tomów. Mimo to wcale nie jest wykluczone, że Muzejon, choć pozbawione swej siedziby, nadal istniało formalnie, przekazując z jednego pokolenia uczonych w drugie dziedzictwo więzi, nazwy, godności. W każdym razie Ammian Marcellinus wysoko ocenia we wspomnianej księdze XXII pozycję Aleksandrii jako wciąż żywego ośrodka wiedzy jeszcze w roku 390. Pisze:

„Nawet i obecnie nie umilkł w tym mieście głos różnych nauk. Jeszcze oddychają jakoś nauczyciele rozmaitych umiejętności, a cyrkiel geometry nadal odślania cokolwiek tai się ukryte; i jeszcze nie wyschła tam całkowicie znajomość muzyki, nie ucichła harmonia. Potrafią też niektórzy, co prawda tylko nieliczni, rozpatrywać ruchy świata i gwiazd, inni zaś uczeni są w sprawach liczb.

A ponadto jest garstka biegłych w tej wiedzy, co ukazuje drogi losów. Co zaś się tyczy medycyny – jakże często potrzebujemy jej pomocy w naszym życiu ani skromnym, ani też trzeźwym!, to studium jej rośnie z dnia na dzień tak bardzo, że jeśli lekarz jakiś pragnie potwierdzić powagę swej umiejętności (choć zaleca ją sama praktyka), wystarczy, gdy powie, iż kształcił się w Aleksandrii”<sup>44</sup>.

Możemy nawet wskazać imiennie człowieka, którego chyba miał na myśli Ammian pisząc o tych nielicznych, co potrafią rozpatrywać ruchy świata i gwiazd, uczeni są w sprawach liczb, a biegli również w wiedzy, ukazującej drogi losów. Zwał się on Theon, a łączył w swych badaniach wszystkie te nauki i umiejętności. To prawda, że nie odznaczył się jako myśliciel twórczy i oryginalny, położył jednak niemałe zasługi objaśniając dzieła astronomiczne Ptolemeusza i wydając na nowo traktaty Euklidesa; wśród nich także te o geometrii, jakże istotne dla nauczania matematyki aż do naszych czasów. A jak wielu sobie współczesnych, zajmował się również astrologią i wróżbiarstwem; pisał nawet o wieszczaniu z lotu ptaków i o głosie kruków. Rzecz godna uwagi: pewien słownikarz bizantyjski wyraźnie zaznacza, że należał on do Muzejonu! Czy to pomyłka i anachronizm (tj. zaliczanie każdego wybitnego uczonego z Aleksandrii do Muzejonu, nawet wtedy, gdy Muzejonu już nie było), czy też istotnie owa organizacja naukowa trwała jeszcze za Theona, a więc u schyłku wieku IV, w latach ostatniej olimpiady – trwała przynajmniej w stanie szczątkowym i choćby tylko z nazwy? W każdym razie Theon to ostatni człowiek, ostatni uczony starożytności, o którym można rzec z jakimś nikłym cieniem prawdopodobieństwa: był członkiem sławnego Muzejonu.

Jak się wydaje, nie opuścił on Aleksandrii po wydarzeniach roku 391. Zresztą na pewno błędne i przesadne byłoby twierdzenie, że pożegnali się z tym wielkim miastem wszyscy uczeni. Dokładnie to samo, co mówił Ammian Marcellinus o tamtejszym środowisku naukowym charakteryzując okres tuż przed rokiem 391, można by powiedzieć o nim biorąc pod uwagę następne lata, a nawet cały wiek V; z tym tylko, że w rzeczywistości poziom nauki i nauczania stale się obniżał. Ale jeszcze nie umilkł całkowicie głos różnych umiejętności, jeszcze nie zagasło światło wiedzy teoretycznej! Los wszakże tych pogan-intelektualistów, którzy mimo wszystko ośmielali się działać w Aleksandrii, mógł w pewnych okolicznościach rysować się przerażająco. Przykładem tragedia córki Theona.

Zwała się Hypatia. W czasie rozruchów roku 391 musiała być dziewczyną co najmniej kilkunastoletnią. Odziedziczyła po ojcu zainteresowania i uzdolnienia matematyczne, a także niezłomną wierność dawnym bogom. Zasłynęła szczególnie jako znawczyni poglądów różnych szkół filozoficznych; sama głosiła i wyznawała mistycyzujące nauki neoplatonizmu. Szanowano ją powszechnie ze względu na erudycję, podziwiano też szeroko odwagę i swobodę, z jaką broniła swych przekonań. Przyznają to nawet autorzy chrześcijańscy. Do uczniów jej należał sławny Synezjusz, rodem z Cyrenajki, czyli dziesięjszej Libii, stał się chrześcijaninem późno, i to już jako człowiek żonaty. Nie wyrzekł się nigdy niektórych swych poglądów – nawet wtedy, gdy go zmuszono, by przyjął wybór na biskupa miasta Ptolemais w kraju ojczystym; nie wyrzekł się zresztą i rodziny. Podtrzymywał uparcie i jawnie bardzo pogańską doktrynę, że świat jest wieczny, dusze zaś egzystują jeszcze przed wejściem w ciała. O tym, czym była dlań Hypatia, najlepiej świadczy list, jaki skierował do niej już poważnie chory: „Dyktuję ten list do Ciebie leżąc, Ty jednak obyś go otrzymała ciesząc się dobrym zdrowiem – moja matko, siostró, mistrzyni, dobrodziejko!”<sup>45</sup> Na szczęście dla siebie biskup-półpoganin zmarł na krótko przed rokiem 415, nie przeczuwając nawet, jak straszliwą śmierć zgotują jego współwyznawcy w Aleksandrii kobiecie, którą darzył uczuciem tak wzniostym.

Hypatia budziła nienawiść pewnych kół fanatycznego kleru swymi przekonaniami i samą

<sup>44</sup> Ammian Marcellinus, *Historia* (dalej cyt.: Amm. Marc., H.), 22, 16, 17.

<sup>45</sup> Synezjusz, *Listy*, 16.

postawą, umacniała bowiem opór resztek inteligencji pogańskiej. Ta czciła uczoną niewiastę prawdziwie jak boginię, czego wyrazem może być choćby wiersz tej treści „Kiedy Cię widzę i słyszę, padam na kolana, jakbym miał przed sobą gwiazdny dom Dziewicy [Astrei]. Albowiem niebios sięgają Twe sprawy, czcigodna Hypatio, mistrzyni słowa pięknego, przeczysta gwiazdo szkoły mądrości”<sup>46</sup>. Aby rozprawić się z niewygodną osobą, wyzyskano fakt, że stosunki między ówczesnym prefektem Orestesem (zresztą także chrześcijaninem!) a biskupem Cyrylem były mocno napięte; przypisano właśnie Hypatii przynajmniej część winy za ten stan rzeczy. Podburzony tłum, któremu przewodził lektor Piotr, dopadł ją, gdy wracała w lektyce do domu. Zawleczono bezbronną kobietę przed jeden z kościołów, zdarto z niej suknię, poroniono śmiertelnie ostrymi skorupami, a wreszcie w szale wściekłości rozszarpano zwłoki na kawałki i spalono je w ogniu – by ani ślad nie pozostał po tej, która bluźniła samą swoją mądrością.

Stało się to prawie w ćwierć wieku po czasach, którymi się zajmujemy. Gdyby przyjąć, że kronikarz bizantyjski, zaliczający Theona jeszcze do Muzejonu, mówi prawdę, mielibyśmy ciąg wydarzeń o sensie wręcz symbolicznym: oto w latach dogasania olimpiad antycznych ostatni znany nam członek Muzejonu pozostaje w mieście ojczystym mimo pogromu pogan w roku 391, mimo zniszczenia najświętszych przybytków; lecz tym samym pośrednio wydaje wyrok śmierci na córkę, która, gdy czas się dopełni, zginie z ręki motłochu.

## Helladios i Sarapis

Zabójcy Hypatii – a także ówczesny biskup i patriarcha Aleksandrii Cyryl, jako pośrednio odpowiedzialny za zbrodnię – spotkali się z różnymi zarzutami i ostrą krytyką nawet ze strony swych współbraci, w istocie wszakże nie stało się im nic złego, pozycja zaś samego Cyryla w mieście jeszcze uległa wzmocnieniu. O ile wiemy, nie spadły na morderców żadne kary – ani państwowe, ani kościelne. W gruncie rzeczy ograniczono się tylko do żałośliwych utyskiwań i pobożnych westchnień. I tak na przykład czytamy u Sokratesa (a ten już często tu powoływany historyk Kościoła był przecież współczesny wydarzeniom!): „Niemalą przygan ściągnęło to na Cyryla i Kościół aleksandryjski. Bo przecież zabójstwa, bitwy i tym podobne czyny są całkowicie obce ludziom żyjącym według wskazań Chrystusa!”<sup>47</sup> To wszystko.

Tym wszakże, którzy domagali się surowego ukarania zabójców Hypatii, chrześcijanie ze swej strony mogliby nie bez racji odpowiedzieć pytaniem:

– A jakaż to kara spotkała pogan-morderców? Tych, co to w czasie zaburzeń za konsulatu Tatiana i Symmachusa, w roku 391, zabijali pogan? Przecież gramatyk Helladios przechwala się publicznie dziś jeszcze, że własnoręcznie położył wtedy trupem dziewięciu mężczyzn i włos mu z głowy nie spadł! Przebywa spokojnie w samej stolicy, nikt go nawet nie pozywa przed trybunały, działa i zbiera laury!

Taki więc był posiew zła, fanatyzmu, nienawiści. Zarówno wyznawcy religii miłości, jak i czciciele dawnych bogów, mieli ręce skalane krwią. Pierwsze to załążki wojen religijnych – i właśnie w latach ostatniej olimpiady! Co się zaś tyczy Helladiosa, to rzeczywiście nie został on pociągnięty do żadnej odpowiedzialności. Jak gdyby nigdy nic nauczał młodzież w stolicy nad Bosforem, i to nawet młodzież chrześcijańską (bo właśnie Sokratesa), po latach zaś do czekać się miał profesury i świetnych przywilejów z rąk chrześcijańskiego cesarza! Skądże ta całkowita bezkarność jawnego zabójcy w państwie praworządnym i zdecydowanie, coraz bardziej wrogim pogaństwu? Otóż wyjaśnienie zagadki jest stosunkowo proste. Bezpośrednio po rozruchach w Aleksandrii Teodozjusz opublikował ustawę, puszczającą w niepamięć

---

<sup>46</sup> *Anthologia Palatina*, IX 400.

<sup>47</sup> Sokr., H.k., VII 15.



wszelkie przestępstwa popełnione w czasie walk ulicznych w tym mieście. A więc całkowita, bezwarunkowa amnestia dla stron obu! Będzie o tym jeszcze mowa. Oczywiście ów gest niebywałej pobłażliwości miał swoje przyczyny ważne i racjonalne. Po pierwsze, świeża jeszcze pamięć masakry w Tessalonice i związanej z tym upokorzenia osobistego, owej pokuty w mediolańskiej katedrze, kazały władcy postępować obecnie nader ostrożnie; obawiał się, by surowością nie wywołać zająć jeszcze groźniejszych w mieście liczącym wieleset tysięcy mieszkańców. Po drugie, winę za rozpętanie zaburzeń ponosili z całą oczywistością chrześcijanie, a zwłaszcza sam biskup Teofil; cesarz, rzecz prosta, nie mógł stwierdzić tego jasno to też za sprawców nieszczęścia formalnie uznał tylko pogan, faktycznie jednak oddał sprawiedliwości co się jej należało, obdarzając także ich amnestią.

Skoro zaś sam tok rozważań przywiódł nas znowu do Helladosa, przedstawiamy jeszcze jedną związaną z nim sprawę. Był on – stwierdza to Sokrates – kapłanem Zeusa. Dopowiedzieć wszakże należy: Zeusa Heliosa Sarapisa. Tak bowiem, a poświadczają to wcale liczne napisy z terenu Egiptu i z krain innych, zwano często owo bóstwo w czasach cesarstwa. Przydawano mu bowiem imiona i władzę zarówno helleńskiego pana Olimpu, jak też Słońca, czyli po grecku Heliosa, które tworzy, ożywia i widzi wszystko, odbierając cześć nad Nilem jako bóg Ra, w Iranie zaś jako Mitra. Tak więc Sarapis był dla swych wyznawców istotą najwyższą i wszechobecną, nosił wszakże w różnych krajach i epokach wiele nazwań odmiennych. I nic w tym dziwnego, tłumaczyli kapłani; przecież ogromna jest różnorodność języków, obyczajów, wierzeń! Skąd jednak wzięło się samo imię Sarapisa, gdzie źródło jego kultu?

W egipskim mieście Memfis – leżało ono niezbyt daleko od dzisiejszego Kairu, lecz po przeciwnej, zachodniej stronie rzeki – już od pradawnych i zamierzchłych czasów odbierał cześć święty byk Apis. W oczach wyznawców uchodził on za wcielenie boga Ptaha, po śmierci zaś stawał się, tak wierzono, jednością z bogiem Ozyrysem. Balsamowano więc troskliwie zwłoki zwierząt i składano je na wieczny spoczynek w kamiennych sarkofagach, które umieszczano w korytarzach podziemnego cmentarzyska na skraju pustyni, wypisując dokładnie, jak długie było ziemskie bytowanie bóstwa, za czyjego panowania ono się objawiło i kiedy odeszło. Groby najstarsze pochodzą przynajmniej z początków wieku XIV p.n.e. Nad nimi zbudowano później świątynię poświęconą Ozyrysowi Apisowi, a więc jakby wspólnej, boskiej istocie wszystkich owych świętych zwierząt. Przybytek cieszył się ogromną powagą i przez wiele wieków ściągał rzesze pielgrzymów. Nawet Hellenowie, kiedy opanowali Egipt dzięki podbojom Aleksandra Wielkiego, przejęli w pewnym stopniu kult dziwnego bóstwa. Nazwali je Osorapisem. Później jednak rozpowszechniła się krótsza forma tegoż imienia: Sarapis lub Serapis.

I oto król Ptolemeusz I, założyciel sławnej dynastii, która ustanowiła swoją stolicę w Aleksandrii, uznał, że właśnie Sarapis winien stać się wspólnym przedmiotem czci obu głównych ludów jego monarchii, to jest Hellenów i Egipcjan; przedmiotem czci jako symbol więzi religijnej i jedności państwa. Trudno dziś wyjaśnić, dlaczego wybór padł właśnie na tego boga. Już w starożytności krążyły o tym różne opowieści, na ogół mocno zabarwione fantazją, dzisiejsi zaś uczeni nie są zgodni w swych poglądach. Sam fakt wszakże, iż chodziło o decyzję oficjalną wprowadzenia nowego kultu, nie ulega wątpliwości.

Jeśli jednak Hellenowie mieli przyjąć i prawdziwie wielbić Sarapisa, musiał on poddać się pewnym przeobrażeniom. Przede wszystkim więc zatarto cechy, przypominające dawną łączność ze świętym bykiem Apisem. Zaczęto natomiast przedstawiać go jako poważnego, dostojnego mężczyznę w sile wieku; ma bujne włosy i kędzierzawą brodę, na głowie zaś rodzaj małego kosza; była to miara ziarna, czyli symbol urodzaju. W modłach, litaniach i przyzwaniach identyfikowano Sarapisa z najbardziej możliwymi i popularnymi bóstwami Hellenów. Był więc dla swych wyznawców jednocześnie: Zeusem, ojcem bogów i ludzi; Plutonem, panem podziemia i świata zmarłych; Asklepiosem, cudotwórcą i dobrym uzdrowicielem; Dionizosem, który zwycięża śmierć i daje radość życia; Heliose, czyli promiennym słońcem.

Poczynając od wieku III p.n.e. ośrodkiem kultu Sarapisa w tej nowej jego postaci stała się ogromna, wspaniała świątynia w Aleksandrii. Wzniesiono ją rozmyślnie w dzielnicy zachodniej, zwanej Rakotis, a zamieszkaną w znacznej mierze przez rodowitych Egipcjan. Cytowany już Ammian Marcellinus w swym opisie miasta właśnie ten przybytek wyróżnił spośród wszystkich, jakimi szczyliła się bogata stolica Egiptu: „Wybija się ponad inne świątynie Sarapeum. Niedostatek słów nie sprostą jego wielkości. Ma bardzo przestronne sale wsparte na kolumnach; ma posągi, które zdają się oddychać; zdobne zaś jest bezlikiem dzieł tak świetnych, że po Kapitolu, wiecznym pomniku Rzymu czcigodnego, cały świat nie ogląda niczego, co by tak było dumne”. Gdy Ammian pisał te słowa w roku 390, świątynia jeszcze stała, jeszcze ją zwiedzano i podziwiano, jeszcze składano w niej ofiary. Ale były to już ostatnie miesiące jej bytu.

Właśnie stąd, z Sarapeum w Aleksandrii, chwała boga promieniowała dzięki żeglarzom, kupcom, pielgrzymom i kapłanom na wszystkie krainy wokół Morza Śródziemnego. Do dziś świadczy o tym jakże wymownie wiele dowodów i śladów. Chodzi zarówno o wzmianki w piśmiennictwie antycznym, jak też – i to przede wszystkim! – o różne wyobrażenia figuralne oraz o dedykacyjne napisy greckie i łacińskie. Spotyka się je nawet w zachodnich i najdalej od Egiptu położonych prowincjach Imperium: w Brytanii, w Hiszpanii, nad Dunajem. Warto przypatrzeć się bliżej jednej z owych inskrypcji; pozwoli to wskazać kilka innych, interesujących zagadnień.

W roku 1912 odkryto w Rzymie, na terenie sławnych term Karakalli, a raczej pod częścią ich ruin, rodzaj krypty z przyległościami. Jak świadczył sam rodzaj budowli oraz pewne szczegóły, był to przybytek kultowy boga Mitry; zachowało się sporo podobnych i w samym Rzymie, i we wszystkich krainach cesarstwa. W przedsionku krypty stał niewielki, skromny i prosty jakby ołtarzyk kamienny, czy też cokół; obecnie znajduje się w rzymskim Muzeum Narodowym<sup>48</sup>. Wysokości ma ponad 30 cm, szerokości 20, grubości zaś tylko 18. Po obu jego stronach widnieją napisy greckie; przy czym kształt liter wskazuje, że wyryto je w początkach wieku III n.e., a więc za panowania cesarza Septimiusza Sewera lub jego syna Karakalli. Napis na stronie przedniej jest krótki i brzmi po grecku: „Heis Zeus Sarapis Helios kosmokrator aneiketos”. Co znaczy: Jeden Zeus Sarapis Helios, pan świata, niezwycięzony. Łatwo wszakże zauważyć, że imię Sarapis zostało wyskrobane jeszcze w starożytności, co prawda niezbyt dokładnie, a w to miejsce wyryto imię innego boga – Mitry. A więc czciciele tego ostatniego po prostu przywłaszczyli sobie ołtarzyk ofiarowany bóstwu niejako konkurencyjnemu. Co wskazuje, że istniała rywalizacja, a może nawet wrogość pomiędzy obu tymi kultami, irańskim i egipskim. Wynikała ona zresztą z przesłanek chyba nie tyle teologicznych, ile organizacyjnych. Spory przebiegały bezkrwawo, a objawiały się głównie takimi posunięciami, jak zagarnianie przedmiotów związanych z kultem lub przeciąganie na swoją stronę wyznawców i członków gminy przeciwnej. Wszystko to stanowiło tylko słaby przedsmak wielkich konfliktów religijnych pomiędzy poganami a chrześcijanami; tych, które przeradzać się miały w rzeczywiste bitwy, połączone z niszczeniem świątyń – jak choćby w Aleksandrii w roku 391. W danym przypadku zajęcie ołtarzyka dokonało się chyba wnet po śmierci Karakalli, bo ten sprzyjał właśnie Sarapisowi. Mitra okazał się potężniejszy, ponieważ liczył w Rzymie bez porównania więcej wyznawców.

A napis na stronie drugiej? I ten zastanawia. Jest nieco dłuższy, podaje bowiem kilka tytułów liturgicznych, czy też przyzwań boga. W tłumaczeniu brzmią one: Zeusowi Heliosowi wielkiemu Sarapisowi, zbawicielowi, dawcy bogactw, wysłuchującemu próśb dobroczyńcy, niezwyciężonemu. Potem następują jeszcze dwa wyrazy. Po grecku: „Mithra cháristerion”. Tekst potwierdza ponad wszelką wątpliwość, że ołtarzyk należał pierwotnie do Sarapisa. Lecz jak rozumieć słowa ostatnie? Pozornie są oczywiste: „cháristerion” oznacza po grecku dar

---

<sup>48</sup> L. Moretti, *Inscriptiones Graecae Urbis Romae*, Roma 1968, nr 194.

dziękczynny. Trudność wszakże tkwi w imieniu Mithra. Czy tak się nazywał ofiarodawca (a więc: Sarapisowi etc. Mithra dar dziękczynny – domyślne: składa), czy też chodzi o jeszcze jeden tytuł Sarapisa w całej litanii (w tym przypadku po polsku tłumaczyć by należało: Mitrze)? Grecka pisownia napisu dopuszcza w zasadzie obie interpretacje.

Powróćmy jeszcze do owych kilku słów na stronie przedniej! Choć są one tak zwięzłe, historyk religii wydobędzie z nich dużo treści. Mamy tu przecież wymowną ilustrację zjawiska zwanego w nauce synkretyzmem; rozumie się pod tym określeniem proces łączenia się i upodabniania kultów oraz postaci bóstw pierwotnie całkowicie odrębnych, występujący silnie w życiu religijnym cesarstwa rzymskiego. Dalej, inskrypcja jest pięknym świadectwem ewolucji ówczesnych wierzeń w kierunku monoteizmu: jeden jest tylko bóg, choć różne jego imiona. I wreszcie nie bez znaczenia jest fakt, że napis znaleziony w Rzymie mówi do nas językiem Hellenów. Dowodzi to mianowicie, że wyznawcy boga orientalnego nawet tu, na Zachodzie, w samej stolicy Imperium, rekrutowali się w dużej mierze z ludności pochodzenia greckiego, należeli więc raczej do niższych warstw społecznych; byli to głównie niewolnicy i wyzwolenicy, rzemieślnicy i kupcy, nauczyciele i urzędnicy. Podobnie przedstawiała się sytuacja niektórych innych kultów przybyłych ze Wschodu; chrześcijaństwa nie wyłączając.

Tyle o napisie i wnioskach, jakie zeń wynikają. Wspomnijmy jeszcze, że Sarapis nawet w snach się objawiał swym wiernym wyznawcom. Artemidor z Daldis tak o tym mówi w cytowanym już *Senniku*:

„Jeśli widzi się śniąc Sarapisa (albo też niektóre inne bóstwa egipskie, jako to Izydę, Anubisa, Harpokratesa) we własnej jego postaci, czy też jego posąg lub obrządki tajemne, zapowiada to zamieszanie, niebezpieczeństwa, groźby, sytuację krytyczną; on wszakże ześle ratunek wbrew wszelkiemu oczekiwaniu. Sarapis bowiem oraz owe inne bóstwa egipskie uchodzą zawsze za zbawców takich osób, które się znalazły w biedzie ostatecznej”<sup>49</sup>.

## Ostatnia kolumna

A co przetrwało aż do dni naszych z głównego ośrodka kultu niegdyś tak żywotnego i sięgającego swymi wpływami aż po krańce Imperium? Co pozostało z aleksandryjskiej świątyni Sarapisa? Tej, którą zachwycono się w starożytności przez tyle pokoleń i wieków – od czasu pierwszych królów Ptolemeusza aż po lata ostatniej olimpiady za cesarza Teodozjusza? Odpowiedź jest zarazem i prosta, i smutna: nic – lub prawie nic.

Tam, gdzie niegdyś rozciągał się przybytek ogromny i pyszny, stoi obecnie tylko jedna, samotna kolumna. Owszem, jest wyniosła i okazała. Sam jej trzon z czerwonego, pięknie gładzonego granitu, ma 22 m wysokości; głowica natomiast i baza są roboty znacznie gorszej i późniejszej. Zwie się obecnie i już od dawna kolumną Pompejusza; co mogłoby oznaczać, że jest jakąś pamiątką czasów lub śmierci Pompejusza, owego wielkiego wodza i przeciwnika Cezara. W rzeczywistości jednak grecki napis na bazie mówi, że ustawiono ją ku czci cesarza Dioklecjana, a więc dopiero pod koniec wieku III. Imię prefekta, który tego dokonał, jest w środku zatarte, widoczne są jednak jeszcze litery początkowe „Po” i końcowe „os”; zapewne więc uzupełniano i odczytywano całość jako „Pompejos” błędnie, bo prefekta Egiptu tego nazwiska w owym okresie nie było. Wtedy też wykonano bazę i głowicę; na górze stanął z pewnością posąg samego cesarza; zachowały się jeszcze otwory, w które wpuszczano czopy, podtrzymujące figurę. Trzon jednak, kamieniarsko obrobiony doskonale, jest o wiele wcześniejszy. Z całą pewnością wzięto go, by ułatwić sobie pracę, z całego lasu podobnych kolumn, jakie zdobiły Sarapeum, podpierając stropy jego portyków i sal ogromnych. Pisarz arabski, żyjący już w średniowieczu, przekazał informację, opartą na podaniu lokalnym, że

---

<sup>49</sup> Artemidor, *Onirocrition*, II 37.

niegdyś było ich tam aż 400! Zupełnie możliwe. Zapewne wliczano też kolumny, znajdujące się w pobliskim budynku biblioteki; tej mniejszej, mającej nieco ponad 40 000 woluminów.

Prace wykopaliskowe prowadzono tu w wieku XIX i po wojnie ostatniej. Już w toku tamtych pierwszych kampanii odkryto wiele ciekawych zabytków architektury, rzeźby, wystroju. Także sporo resztek kolumn z czerwonego granitu, co by potwierdzało słowa arabskiego pisarza. Znalezione również małe popiersie Sarapisa z czarnego granitu oraz niewielkie piramidki z tegoż kamienia; wypisane są na nich imiona boga oraz cesarza Hadriana. Dwa sfinksy z czerwonego granitu, obecnie stojące obok kolumny, wydobyto z gruzu w roku 1906; niegdyś zapewne strzegły jednego z wejść do świętego obwodu. Natrafiono na podziemne korytarze; w ich ścianach znajdują się nisze, w których kładziono urny z popiołami zmarłych wyznawców boga. Rufin, chrześcijanin rodem z Akwilei, płodny pisarz i tłumacz dzieł greckich na łacinę, przebywał w Aleksandrii, jak się wydaje, w czasie rozruchów 391 roku; przekazał on sporo informacji o wyglądzie Sarapeum, a między innymi i to, że w podziemiach są sklepione krypty oraz długie korytarze i pewne pomieszczenia, w których odprawowano tajne obrządki i ceremonie; co znalazło swe materialne potwierdzenie dzięki wykopaliskom. Wszystko to jednak za mało, by móc pokusić się choćby tylko o przybliżoną rekonstrukcję całej budowli w czasach jej świetności.

Zarówno pewne sformułowania w relacjach antycznych, jak też oparte na nich niektóre opracowania nowożytne, każą wierzyć czytelnikom, że nowi panowie Sarapeum, chrześcijanie, zburzyli je całkowicie i do gruntu, pustka więc i gruzu, jakie roztaczają się obecnie wokół samotnej kolumny, są ich dziełem. Lecz rozebranie tak ogromnych budynków byłoby ze względów choćby tylko technicznych czymś właściwie niemożliwym, nieopłacalnym. Owszem, na pewno ogołoco przybytek z przedmiotów wartościowych lub uchodzących za naczynia i wyobrażenia złych demonów. Może i zniszczono którąś salę świątynną, skażoną, zdaniem zdobywców, ceremoniami nieczystymi. W zasadzie jednak mury Sarapeum pozostały nietknięte. Część pomieszczeń chrześcijanie przystosowali do własnych celów, czyniąc z nich kościół i cele dla mnichów, resztę zaś pozostawiono bez żadnej opieki i na łasce losu. Czas, a potem zdobywcy arabscy, dokonali swego.

Natomiast najcenniejszy klejnot Sarapeum, olbrzymi posąg boga, został rzeczywiście zniszczony świadomie, całkowicie i przykładowo; a stało się to chyba jeszcze w tym samym dniu, w którym ostatni obrońcy opuścili to miejsce tak dla nich święte.

## Posąg Sarapisa

W roku 393, a więc w dwa lata po wydarzeniach aleksandryjskich, urodził się w Antiochii, stolicy Syrii, chłopiec imieniem Teodoret. Jako trzydziestoletni mężczyzna miał zostać biskupem miasteczka Cyrus w tejże prowincji. Wsławił swe imię jako teolog, pisarz, autor *Historii Kościoła*. W owym okresie, rzecz to charakterystyczna, powstawało sporo dzieł tej treści; zwycięski ruch religijny z dumą patrzył na swą przeszłość, bieżące zaś sprawy, czyli dobijanie dogorywającego pogaństwa oraz spory dogmatyczne w łonie samego Kościoła, wydawały się również godne uwiecznienia. Wszystkie owe „Historie” – te, o których już wspomnieliśmy, i które wypadnie jeszcze wskazać – nawiązywały treściowo i formalnie do monumentalnej pracy Euzebiusza z Cezarei, biskupa i pisarza współczesnego Konstantynowi Wielkiemu. Zwróćmy jeszcze uwagę, że on i jego następcy są w istocie rzeczy twórcami zupełnie nowego działu historiografii; a mianowicie za przedmiot swych badań obierają oni nie dzieje jakiegoś państwa, kraju, miasta, dynastii, lecz kształtowanie się pewnego ruchu i jego form organizacyjnych. Z tej przyczyny muszą o nich pamiętać nawet ci historycy, którzy poświęcają swe prace przeszłości wszelkich innych ruchów, prądów i organizacji; nawet tych pryncypialnie wrogich chrześcijaństwu.

Pięć ksiąg *Historii* pióra Teodoretą obejmuje głównie wiek IV oraz początki V, aż do roku 428. Nie jest to jego rzecz najlepsza – ani pisarsko, ani treściowo. Zawiera wszakże sporo ważnych informacji i dokumentów, skądinąd nieznanych. I choć oczywiście nie wszystkie one są w pełni wiarygodne, wszystkie przecież dobrze odzwierciedlają mentalność, fanatyzm i wojowniczego ducha ówczesnych chrześcijan. O wypadkach roku 391 w Aleksandrii autor napomyka krótko, rozwodzi się natomiast nad pewnym – drugorzędnym w istocie – ich fragmentem, a mianowicie nad zniszczeniem posągu Sarapisa. Oto treść relacji:

Biskup Teofil nie tylko zrównał z ziemią przybytki pogańskie, uwalniając w ten sposób miasto od błędów bałwochwalstwa, ale zarazem odsłonił oszukiwanym różne sztuczki, za których pomocą kapłani ich zwodzili. A mianowicie wykonywali oni posągi z metalu lub z drewna w ten sposób, że wewnątrz były puste, wydrążone; następnie przytwierdzali je plecami do murów właśnie tam, gdzie znajdowały się tajne przejścia w ścianach. Mogli więc przechodzić przez część świątyni niedostępną dla profanów i sadowali się w owych pustych wnętrzach bałwanów; wydawali stamtąd rozkazy głosem, który uchodził za słowa samych bogów. Toteż słuchający pokornie wykonywali wszystko, co im przykazywano. Takie to więc sprawy biskup wyjawiał wówczas ludowi, mamionemu od dawna, kładąc w ten sposób raz za zawsze kres wszelkiemu kuglarstwu.

Stało się, że Teofil mógł wreszcie wkroczyć do świątyni Sarapisa; a zdaniem bardzo wielu był to jeden z największych i najokazalszych przybytków w całym świecie. Ujrzał tam kolosalny posąg boga; tak wielki, że wprawiał w zdumienie i budził lęk samym swoim ogromem. A to pierwsze wrażenie wzrokowe potęgowało się jeszcze skutkiem kłamliwej legendy, krążącej i przekazywanej od wieków; groziła ona, że jeśli ktoś podejrze do posągu w zamiarze wrogim, ziemia natychmiast zdrzy i zniszczeniu ulegnie wszystko, co na niej się znajduje i żyje. Lecz biskup dobrze wiedział, że to tylko bzdurne gadanie starych, zapijaczonych kobiet! Nie przejmował go strachem nawet ogrom posągu. Rozkazał komuś ze swego otoczenia, by śmiało uderzył w kolosa siekierą. Przy pierwszym ciosie z ust osób obecnych wydarł się okrzyk przerażenia. Ale nic się nie stało. Posąg Sarapisa – teraz rozumiał to i widział każdy – był tylko martwym drewnem. Kiedy zaś odjęto mu głowę, wyskoczyła ze środka cała chmara myszy. Całość porąbano następnie na kawałki i spalono w ogniu. Głowę natomiast wleczono przez ulice całej Aleksandrii, aby wszyscy czciciele Sarapisa mogli dobrze przypatrzeć się tej poniewierce i przekonać naocznie, jak zupełnie bezsilny jest ów bożek, w którego moc nieograniczoną tak gorąco wierzyli<sup>50</sup>.

Trudno w tym miejscu nie przypomnieć, że napisy – jak właśnie ten omówiony obszernie poprzednio – często przydawały Sarapisowi określenia: pan świata, niezwyciężony. Chrześcijanie aleksandryjscy wciąż jeszcze mieli mnóstwo tego rodzaju inskrypcji przed oczyma w swym mieście, toteż otwierało się przed nimi piękne pole do drwin i wołań:

– Królujże nam teraz, niezwyciężony panie całego świata!

Opowieść przekazana przez Teodoretą zasługuje na uwagę przynajmniej z dwóch powodów. A mianowicie:

Po pierwsze, dobrze ilustruje nasilenie fanatyzmu religijnego. Jakże zaciekle niszczone najświetniejsze zabytki sztuki, poczytując to sobie za wielką zasługę! Wskazać przy tym wypada, że w łonie ówczesnego chrześcijaństwa kult posągów i obrazów dopiero kiełkował; nowa religia upatrywała swą wyższość nad dawnymi wierzeniami także w tym, że nie adorowała żadnych wyobrażeń – oczywiście poza pewnymi znakami i symbolami. Władze świeckie patrzyły na coraz szerszą dewastację wszystkiego, co się wiązało z kultami pogańskimi, w zasadzie obojętnie. W praktyce wiele zależało od nastawienia wyższych urzędników po miastach i prowincjach, ci zaś, nawet jeśli byli w sercach swych wierni religii ojców, nie ośmielali się występować jawnie w obronie rzeźb świątynnych, aby nie ściągnąć na siebie nienawiści kleru lokalnego i niełaski dworu.

---

<sup>50</sup> Teodoret, H.k., V 22.

Kolosalny posąg Sarapisa, porąbany i spalony na rozkaz biskupa Teofila, należał z pewnością do najcenniejszych dzieł sztuki w Aleksandrii. Już choćby tylko ze względu na swój wiek; liczył przecież w chwili zniszczenia prawie siedemset lat. Uchodził za dzieło sławnego mistrza rzeźby Bryaksisa; tak twierdziła zgodnie tradycja starożytna, a daje temu wiarę wielu uczonych nowożytnych. Wygląd jego znany dzięki kopiom i częściowo opisom. Bóg siedział na tronie niby Zeus, ojciec bogów i ludzi; rękę prawą trzymał na łbie psa Cerbera, co oznaczało symbolicznie, że władza również światem zmarłych, lewą zaś obejmował wysokie berło królewskie. Poważny, dostojny i łaskawy, patrzył wprost na tych, co wkraczali w progi świątyni. Ogromna figura imponowała nie tylko rozmiarami, lecz także poziomem i kunsztem wykonania oraz kosztownością różnych materiałów. Drewniany szkielet pokrywała złociona blacha, zdobiona mnóstwem osadzonych w niej kamieni szlachetnych; zapewne układały się one w jakieś wzory. Można jednak podejrzewać, że wszystko, co było drogocenne, padło już stosunkowo wcześniej ofiarą zwykłych i oficjalnych grabieży; dokonywano ich w Sarapeum za czasów rzymskich chyba wcale często.

A drugi powód, dla którego trzeba zapamiętać opowieść Teodoretową? Ten znowu można tak ująć:

Jest ona elementem i chyba nawet jednym ze źródeł anegdot bardzo popularnych w swoim czasie; ba, powtarzanych chyba aż do dni naszych. Owe anegdoty przedstawiają w sposób mniej lub więcej barwny, jakimi to sztuczki zwodzili pogańscy kapłani lud prosty i naiwny. A więc jakieś tajne przejścia; dziwne i grozę budzące głosy z wnętrza wydrążonych posągów; automaty wprawiające w ruch ręce, nogi, głowy i oczy bałwanów; efekty nagłego oświetlenia i równie raptownej ciemności; odgrywanie w mroku przybytków całych dramatów, niby w naszych widowiskach typu „dźwięku i światła”. Może i jest w tym wszystkim nieco prawdy. Może istotnie w niektórych ośrodkach świątynnych stosowano te lub tym podobne sposoby, by działać na wyobraźnię maluczkich, choć w głównym nurcie pogańskich kultów i obrządków były to zjawiska uboczne, nieważne, poniekąd przypadkowe. Lecz uporczywa i konsekwentna propaganda chrześcijańska wyolbrzymiła, rozděła i wydrwiła drobiazgi bez znaczenia; czyniła tak z pobudek oczywistych. Toteż obecnie trudno nie postawić pytania, kto był lub jest bardziej naiwny w tej sprawie: owi prostoduszni poganie, rzekomo dający się zwodzić w ciągu długich wieków perfidnym kapłanom, czy też ci, co chyba bezmyślnie powtarzają aż po nasze czasy historyjki tak jawnie tendencyjne i sami jeszcze je ubarwiają? Nie mówiąc już o innym aspekcie tych zagadnień, a mianowicie o przedziwnej ironii losu (istnieje bowiem, istnieje naprawdę Nemezis, nieubłagana bogini pomsty dziejowej!): oto właśnie ta broń, którą dawni chrześcijanie zwalczali pogańskich bałwochwalców, obróciła się w pewnym momencie historii, gdy czas już dojrzał, przeciw nim samym! Złośliwe anegdoty i gromkie pomstowania godzące niegdyś w czcicieli posągów, posłużyły za gotowy materiał najpierw bojownikom o reformę Kościoła, potem zaś różnego autoramentu wrogom wszelkich religii tradycyjnych. Usprawiedliwiając zaś kult obrazów i posągów apologeti chrześcijańscy, zwłaszcza katolicy, zaczęli wysuwać dokładnie te same argumenty, jakimi niegdyś poganie tłumaczyli adorację podobizn swoich bogów i bogiń. Temat do różnych refleksji!

I jeszcze jedna uwaga; dotyczy ona kwestii kulturowo istotnej, a wiąże się pośrednio z losem posągu Sarapisa. Zaciekle niszczenie, rąbanie, przetapianie i palenie figur bogów i bożków odbywało się głównie na Wschodzie. To zrozumiałe: tam w ciągu wieków nagromadziło się ich najwięcej, tam sztuka osiągnęła poziom najwyższy, tam wreszcie Kościół czuł się najpotężniejszy, a nasilenie uczuć i sporów religijnych przejawiało się najjaskrawiej: przecież zarówno wszystkie wielkie herezje, jak też ideały życia ascetycznego i pustelniczego wzięły swój początek właśnie w greckich, wschodnich prowincjach Imperium. Wszelkiego rodzaju „bałwany” uznano w owych krainach za przeklęte i groźne z samej ich istoty i z samego wyglądu, usuwano je z całą bezwzględnością. Tym właśnie tłumaczy się fakt znany powszechnie-

nie, rzadko jednak rozpatrywany w swej genezie: w kościołach wschodnich dopuszczono w ciągu wieków kult obrazów, czyli ikon (choć i tak zdarzały się nawroty gwałtownego obrazoburstwa), nigdy wszakże i pod żadnym pozorem nie zgadzano się na ustawianie jakichkolwiek rzeźb lub płaskorzeźb. Mało kto zdaje sobie sprawę, jak dalekosiężne i zgubne miało to skutki dla ogromnej dziedziny twórczości artystycznej. Wschód grecki, który przez tyle wieków, przez całą starożytność przewodził sztuce rzeźbiarskiej, dając arcydzieła prawdziwie nieśmiertelne, stał się pod tym względem całkowicie martwy – i jest takim aż po dni nasze. Inaczej potoczyły się owe sprawy na Zachodzie. Tu rzadziej dochodziło do scen tak spektakularnych, jaką było obalenie Sarapisowego posągu, nie powstał więc, by tak rzec, żaden kompleks nadmiernych uczuleń i uprzedzeń w stosunku do wyobrażeń figuralnych. Z biegiem czasu dopuszczono w pełni ich kultową obecność w kościołach; podobnie zresztą, jak już od dawna, bo od okresu katakumbowego, przyzwyczajano się do malowideł ściennych w miejscach modlitwy.

Spotyka się w każdej epoce garstkę osób, które pragną samodzielnie prześledzić i uchwycić sens meandrów kapryśnej rzeki, zwanej umownie procesem dziejowym, a płynącej od gór mrocznych i niezbadanych ku nieznanemu oceanowi w mglistej dali. Dla tej garstki refleksja nad istotą zjawisk, o których była tu mowa, musi stać się źródłem pewnej pociechy wewnętrznej – z różnych względów.

## Ammonios i Małpa

Nie damy więc w pełni wiary relacji Teodoretowej o posągach bogów, bo dyktowała ją chęć zdyskredytowania wszystkiego, co pogańskie. Wypada wszakże postępować nader ostrożnie, gdy mowa o tamtej epoce konfliktu dwu religii. Materiał źródłowy zawiera wiele obustronnych nieporozumień, a nie zawsze wynikały one ze złej woli piszących. Łatwo więc odrzucić jako fałsz lub wymysł twierdzenie, w którym jednak kryje się nieco prawdy. Przypomnijmy na przykład owego kolegę Helladiosa, gramatyka imieniem Ammonios! I on uciekł po roku 391 z Aleksandrii, i on osiedlił się później na stałe w Konstantynopolu jako nauczyciel. Co prawda nie dosłużył się lub nie doczekał profesury, ale i tak ma swoje miejsce w dziejach nauk filologicznych. Pozostawił mianowicie dziełko wcale wartościowe, a zawsze użyteczne: słownik synonimów, czyli wyrazów jednoznacznych, języka greckiego. Rzecz to chyba niezbyt oryginalna, stanowi bowiem w dużej mierze kompilację prac poprzedników, daje wszakże sporo materiału językowego i dobrze świadczy przynajmniej o odczuciu i pilności autora. Dla nas jednak najbardziej interesująca jest sprawa jego kapłaństwa: przypomnijmy, że według Sokratesa miał on służyć bogu Małpie, tak jak Helladios był kapłanem Zeusa!

Chciałoby się z miejsca odsunąć to twierdzenie, przekazane przez chrześcijanina i historyka Kościoła, jako zwykłe oszczerstwo. Czy to nie oczywiste – powie ktoś – że zmyślono je, aby wykpić i ośmieszyć przeciwnika? Lecz takie ujęcie kwestii byłoby w tym przypadku z gruntu mylne! Małpa, a ściślej mówiąc pawian (Grecy zwali go kynokefalos, czyli psiogłowiec, oczywiście ze względu na charakterystyczny kształt pyska), odgrywała dużą rolę w pradawnych, rodzimych kultach egipskich. W epoce najwcześniejszej stanowiła nawet bóstwo samoistne. Potem z kolei zaliczono ją do zwierząt świętych, a może nawet do personifikacji boga Thota, jego zaś następnie Hellenowie utożsamili ze swoim Hermesem. Był więc Thot przedstawiany zarówno w postaci ptaka ibisa, jak też niekiedy pawiana. Ten siedzi z miną poważną, trzyma ręce (czy też raczej łapy) na kolanach, a na głowie ma tarczę słoneczną. Jako pan wiedzy wszelakiej ów Thot-pawian patronował szczególnie ludziom piszącym, uczonym i urzędnikom. I jemu to właśnie, Thotowi mędrcom, którego symbolem jest małpa, służył nauczyciel Ammonios! Było więc trochę i prawdy, i niezrozumienia w tym, co później

z takim zgorszeniem opowiadano w Konstantynopolu o jego śmiesznym kapłaństwie. Łatwo też pojąć skargi Ammoniosa nad tym, że biskup Teofil niszcząc wszystkie inne posągi rozkazał zachować tylko i jedynie podobiznę małpy, pragnął bowiem, aby przyszłe pokolenia przekonały się naocznie, co naprawdę czcili poganie.

A tymczasem wyznawcy bogów – a przynajmniej ci spośród nich najświatlejsi – patrzyli na obalanie figur, symbolów i przedmiotów kultu wprawdzie z bólem najgłębszym, zachowywali jednak dumne przeświadczenie, że to, co rzeczywiście adorowali w wyobrażeniach materialnych, jest całkowicie niezniszczalne, żadnej więc profanacji ulec nie może. O przeświadczeniu tym poucza nas piękna opowieść. Zasługuje ona na wiarę tym bardziej, że przekazał ją autor chrześcijański. Zwał się Sozomenos. Młodszy o lat kilkanaście od Sokratesa, powoływano go na kartach tej książki już wielokrotnie, należał chyba do rówieśników Teodoreta. Rodem był z Palestyny, z okolic Gazy, ale po wielu podróżach osiadł na stałe w Konstantynopolu. Z zawodu prawnik, adwokat, za przedmiot swych studiów i dzieła pisarskiego obrał historię Kościoła w ciągu ostatnich lat stu; dokładnie od roku 323 do 425. Wyzyskał obficie pracę Sokratesa, opublikowaną nieco wcześniej, w pewnych wszakże punktach nieco ją rozszerzał; zdarzało się bowiem, że dla pewnych spraw miał własne materiały.

## **Rozruchy w Aleksandrii – relacja druga**

Opowiada więc Sozomenos w księdze VII swej *Historii*, że po owym krwawym ataku na chrześcijan i po stoczeniu walk ulicznych poganie wycofali się do pięknej i ogromnej świątyni Sarapisa, położonej na małym wzgórku; tam się umocnili. Stamtąd też dokonywali nagłych wypadów na miasto, niby z warownego zamku. Niespodziewanie chwyтали swych przeciwników i przymuszali ich, stosując różne tortury, by składali ofiary bogom. Tych, co się wzbranieli, przybijali do krzyżów, łamali im nogi, zamęczali na wszelkie sposoby. Taki stan rzeczy trwał dość długo. Wreszcie najwyżsi urzędnicy cesarscy w Egipcie, a mianowicie dowódca wojsk Romanus i prefekt Euagriusz, zwrócili się osobiście do opornych. Obaj dostojnicy powołali się na ustawy i zażądali kategorycznie, by poniechali walki i opuścili świątynię. Skutku to nie odniosło i odnieść nie mogło. Zamkniętych bowiem w Sarapeum pobudzała do wytrwałości sama świadomość zbrodni, jakich się dopuścili; podtrzymywał ich na duchu także pewien filozof imieniem Olimpos, wraz z nimi stale tam przebywający. Radził on, zachęcał i zaklinał, aby pod żadnym warunkiem nie pozwolili poniewierać świętościami, które czcili ich ojcowie. Wołał, że w razie ostateczności nawet śmierć trzeba ponieść w ich obronie! Widział on jednak z bólem, że obalanie posągów zachwiało wiarę współwyznawców w obecność bogów i słusność ich sprawy; przecież żadna kara nie spadła na tych, co je niszczyli! Napominał więc gorąco, by z przyczyny tak nieistotnej nie odchodzili od świętych przedmiotów kultu. Tłumaczył:

– Czymże są posągi i wszelkie podobizny duchów nieśmiertelnych? To tylko materia, zwyczajna i dająca się w nicość obrócić. Owszem, mieszkają w owych wyobrażeniach bożych jakieś moce przedziwne, ale te natychmiast i w porę ulatują ku niebu, gdy ich ziemskim przybytkom grozi niebezpieczeństwo!

Tymczasem o zajściach w Aleksandrii dowiedział się cesarz. Wystosował odpowiednie pismo do władz i mieszkańców miasta. Obwieścił w nim, że ci chrześcijanie, którzy zginęli w walkach są błogosławieni (makarioi, beati), dostąpili bowiem zasługi i chwały męczeństwa, wiarę swoją przedkładając nad życie. Rozkazał wszakże, by zabójcom darowano ich zbrodnie; a uczynił tak spodziewając się, że będą oni masowo i chętnie przechodzić na stronę nowej religii, gdy się im okaże łaskę wyrozumiałości. Rozkazał także zrównać z ziemią świątynię aleksandryjską, one to bowiem stały się przyczyną i kolebką rozruchów.

Kiedy odczytywano publicznie przed tłumem mieszkańców pismo cesarskie, chrześcijanie



od razu podnieśli krzyk ogromny. Oto już w pierwszych słowach swej odezwy cesarz stwierdził wyraźnie, że to poganie, a nie oni, są sprawcami wszystkich nieszczęść, jakie ostatnio spadły na miasto. Wtedy też dopiero ci, co dotychczas tak niezłomnie strzegli Sarapeum, przerazili się naprawdę; porzucili je, rozpierzchli się i pouciekali w różne strony.

Relację swą kończy Sozomenos, krótkim stwierdzeniem, że chrześcijanie zajmąwszy świątynię zamienili ją na kościół. Wiemy też skądinąd, że w kompleksie budynków osiedlili się również mnisi. Zniszczenie więc olbrzymich budowli następowało bardzo powoli, w pełni dokonało się głównie w czasach arabskich, skutkiem stopniowego rozbierania materiału. Ostatecznie, jak już mówiliśmy, pozostała na miejscu tylko jedna, samotna kolumna.

W toku rozdziału, poświęconego upadkowi Sarapeum, przytacza historyk Kościoła krótką, lecz znamiennej opowieść:

Dowiedziałem się zaś od pewnych osób, że głuchą nocą, poprzedzającą ów dzień krytyczny (tj. dzień wtargnięcia tam chrześcijan), filozof Olimpos usłyszał jakieś głosy śpiewające w Sarapisowym przybytku *Alleluja*. Brama były szczelnie zamknięte, wszyscy pogrążeni w śnie głębokim, lecz on słyszał ów śpiew wyraźnie. Zrozumiał i pojął, co to oznacza. Chyłkiem opuścił świątynię, znalazł w porcie jakiś statek i odpłynął do Italii<sup>51</sup>.

Obraz, trzeba to przyznać, skomponowany wręcz po mistrzowsku!

## Kanopos

Czy to chrześcijanie ułożyli opowieść o zwycięskim *Alleluja*, co rozbrzmiało głuchą nocą wewnątrz obłązonej świątyni pogańskiej, a zarazem tylko w sercu najwierniejszego Sarapisowi filozofa? Odpowiedź na takie pytanie wydaje się łatwa i oczywista: naturalnie, chrześcijanom należy przypisać autorstwo; któż inny mógłby to uczynić, komu innemu byłaby taka fikcja przydatna? A jednak źródła jej można doszukiwać się wbrew pozorom właśnie w obozie przeciwnym! Przecież wcale nie jest wykluczone, że to sam Olimpos wymyślił i rozgłaszał, jakie to miał przeżycie owej nocy krytycznej; pragnął w ten sposób usprawiedliwić swą tchórzliwą ucieczkę z Sarapeum, powołując się na znak ostrzegawczy, rzekomo zesłany przez moce tajemne w chwili ostatniej. Równie możliwe, że opowieść powstała w pewnych kręgach pogan niejako samorzutnie, niezależnie od takich czy innych relacji Olimposa. Fakt to mianowicie zaskakujący: właśnie w tym okresie wyznawcy dawnych bogów wcale chętnie rozprzestrzeniaли wieści o różnych przepowiedniach niepomysłnych dla ich sprawy, złowróżbnych. Postępowali więc tak, jak gdyby znajdowali w tym samopogębieniu się i ponurym krakaniu dziwną rozkosz. A może chcieli po prostu uwolnić się od poczucia odpowiedzialności, wyjaśnić sobie samym i innym, dlaczego zachowują taką bierność wobec coraz agresywniejszych poczynań zwycięskiej religii? Lub też wmówić współczesnym, że posiadają jakąś tajemnicę wyższego rzędu? To przeświadczenie, czy też tę tajemnicę, można by tak sformułować:

– Owszem bogowie odchodzą. Opuszczają ziemię niewdzięczną, porzucają piękne przybytki, posągi, ołtarze – dziedzictwo tylu wieków czci i kultu. Żegnając się jednak z obecnym pokoleniem, dają o tym znać najwierniejszym i umiłowanym; tym, co jeszcze potrafią głos ich pojąć. Bogowie więc pozornie rezygnują z walki, ale zarazem składają dowód, że nawet usuwając się istnieją rzeczywistości. Powrócą tu jeszcze w triumfalnym pochodzie, w to wątpić nie wolno! Przyjdą kiedyś, choćby w dalekiej przyszłości, gdy koło wiecznych przemian, krążące powoli, lecz nieubłaganie, znowu powoła do bytu to, co już było!

Taki właśnie dar odgadywania mowy i zamiarów bóstw odchodzących posiadać miał filozof i mistyk imieniem Antonin, przez wiele lat osiadły w Kanopos, niezbyt daleko od

---

<sup>51</sup> Soz. H.k., VII 15.

wschodnich bram Aleksandrii. Znamy jego postać i związane z nią legendy dzięki słowom Eunapiosa. A ponieważ nieraz jeszcze przyjdzie tu korzystać z informacji tego pisarza, wypada go obecnie przedstawić; tym bardziej iż jest to osobowość bardzo charakterystyczna dla swej epoki, czyli dla panowania cesarza Teodozjusza.

Eunapios urodził się w zachodniej Azji Mniejszej, w mieście Sardes, około roku 345; gorąco miłował język grecki i całe dziedzictwo helleńskiej kultury. Należał – by przypomnieć sławnych i wielokrotnie tu już powoływanych pisarzy łacińskich – do rówieśników Ambrozego i Hieronima, natomiast był o kilkanaście lat młodszy od Ammiana Marcellina, o kilka zaś starszy od Augustyna. Łączy wszakże wszystkich wymienionych to, że znaczna część ich działalności pisarskiej przypada właśnie na czasy Teodozjusza; jeśli zaś wziąć pod uwagę jeszcze innych twórców, którzy wystąpią tu w swoim miejscu, trzeba przyznać, że była to epoka szczególnie ważna i płodna w dziejach literatury antycznej w obu jej językach. W przeciwieństwie wszakże do wyżej wymienionych (Ammian Marcellinus był religijnie raczej indyferentny) Eunapios zaliczał się do pogan nieprzejejdanych. Dał świadectwo swoim przekonaniom przede wszystkim w dużym dziele historycznym, traktującym głównie o czasach współczesnych. Najpiękniejsze karty wzniosłego uwielbienia poświęcił w nim cesarzowi Julianowi Apostacie; mógł widzieć go na własne oczy jeszcze jako młody człowiek, świetne zaś materiały do nakreślenia jego postaci i czynów zyskał dzięki relacjom swego przyjaciela, a przybocznego lekarza Julianowego. Lecz dzieło to, tak cenne, nie zachowało się do naszych czasów; chyba właśnie ze względu na swój zdecydowanie antychrześcijański charakter; wydaje się, że wyznawcy nowej religii woleli je niszczyć niż przepisywać. Znamy więc tylko z fragmentów i streszczeń księgi, które stanowić by mogły poniekąd odpowiednik i przeciwwagę owych *Historii Kościoła*, tak modnych wówczas i wciąż na nowo opracowywanych. Przetwała natomiast inna rzecz Eunapiosa, niewielka wprawdzie rozmiarami, a niezmiernie interesująca ze względu na treść i tendencję. Nosi tytuł *Żywoty sofistów*; tak nazywano wtedy nauczycieli mądrości, zazwyczaj jednocześnie filozofów i retorów, a często też i mistyków. Wielu z owych pogańskich mistrzów myśli i słowa wieku IV Eunapios znał osobiście lub z opowiadań ich uczniów bezpośrednich. Mamy więc przed sobą obraz świata greckich intelektualistów z czasów, gdy usiłowali oni jeszcze odpierać napór zwycięskiego chrześcijaństwa; dokument jedyny w swoim rodzaju, jeśli odczytać go wnikliwie. Cel, jaki postawił sobie autor, jest zupełnie jasny: pragnie przeciwstawić żywotom chrześcijańskich świętych i męczenników poczet pogańskich koryfeuszy ducha. Wskażemy wreszcie – bo i to ma swoją wymowę i swoje szczególne dla nas znaczenie! – że Eunapios pisał to dziełko w latach ostatniej olimpiady, zakończył zaś pracę wnet po roku 395, w kilka lub kilkanaście miesięcy po gonicie Teodozjusza.

Otóż wśród świetlanych postaci owych mędrców pogańskich Eunapios wymienia również Antonina, poniekąd swego krajana. I on bowiem rodem był z zachodniej Azji Mniejszej, osiadł jednak na stałe w egipskim Kanopos, w tamtejszym przybytku Sarapisa. Zmarł na krótko przed rokiem 391, przepowiedział wszakże przed swą śmiercią – zważmy, przekazuje tę informację Eunapios, poganin! – że kiedy zamknie oczy, zagłada spotka umiłowaną świątynię. Co też wnet się ziściło, równocześnie i w bezpośrednim związku z upadkiem Sarapeum Aleksandryjskiego; fakt zrozumiały, skoro z jednej świątyni do drugiej można było przejść wcale się nie spiesząc w ciągu dnia jednego.

Kanopos leżało dokładnie tam, gdzie dziś miasteczko Abukir, a więc o jakieś dwadzieścia kilka kilometrów na wschód od Aleksandrii, nad zatoką morską, do której uchodziło zachodnie, tak zwane kanopijskie ramię Nilu. Droga była łatwa, przyjemna: czy to się szło wzdłuż wybrzeża, czy też żeglowało samym morzem, czy wreszcie płynęło kanałem śródlądowym. Jakże się dziwić, że wszystko, co się działo w ogromnej metropolii, natychmiast znajdowało tu swoje echo?

Geograf i historyk Strabon zwiedzał Aleksandrię oraz jej okolice w czasach cesarza Augusta, a więc na przelomie ery nowej i starej. Jego opis Kanopos jest krótki, ale ewokuje obrazy barwne:

Miasteczko odległe jest od Aleksandrii o 125 stadionów, jeśli obrać drogę pieszo. Znajduje

się tam świątynia Sarapisa, otoczona czcią najgłębszą, miejsce, gdzie zdarzają się uzdrowienia. Wierzą w to nawet ludzie najznakomitsi; jeśli sami nie mogą przyjechać, wysyłają umyślnie innych, aby się tam kładli i spali w ich imieniu. Są też tacy, co spisują owe cudowne uzdrowienia oraz trafne przepowiednie. Ale widowiskiem prawdziwie nieporównywalnym jest ogromny tłum tych, co udają się tam w czasie świąt. Dniem i nocą pełno jest ludzi, mężczyzn i kobiet. Jedni pływają po kanale na łodziach, śpiewając i tańcząc w sposób najbardziej wyuzdany; inni znowu mają w samym Kanopos domy zajezdne, ciągnące się wzdłuż kanału, a bardzo odpowiednie do tego rodzaju rozwiązłości i zabaw<sup>52</sup>.

Niewiele pozostało zabytków architektury ze starożytnego Kanopos, choć prowadzono tam wykopaliska już w pierwszej połowie wieku XIX; znaczna część rzeźb i drobnych znalezisk znajduje się obecnie w muzeum w Aleksandrii. Samo Abukir zyskało sławę w historii głównie dzięki bitwie morskiej, jaką stoczył w zatoce w dniu 1 sierpnia roku 1798 admirał Nelson, niszcząc flotę francuską, oraz bitwie lądowej w roku następnym, kiedy to Bonaparte rozgromił armię turecką, zresztą znacznie liczniejszą od swojej. Archeologowi natomiast Kanopos kojarzy się z nazwą bardzo charakterystycznych naczyń glinianych, często znajdowanych w grobach egipskich. Owe kanopy to rodzaj dzbana o pokrywach w kształcie głowy człowieka, szakala, pawiana, sokoła. Przechowywano w nich wnętrzości wyjęte z mumifikowanego ciała i ustawiano, zawsze po cztery, przy sarkofagach. Miano kanop dali im archeolodzy nowożytni, błędnie interpretując pewną uwagę w dziele Rufina o historii Kościoła. Choć imię tego pisarza nie jest dziś szerzej znane, zasługuje ono na pamięć. Rufin żył w latach 345–410; pochodził z północnej Italii, z okolic Akwilei. Po roku 370 co najmniej przez lat 15 przebywał jako pobożny pielgrzym w Egipcie i w Palestynie, zwiedzając zarówno miejsca święte, jak też oddając cześć ascetom oraz studiując przebogata literaturę teologiczną w języku greckim. Był świadkiem, jeśli nie naocznym, to w każdym razie bliskim tego, co działo się w Aleksandrii podczas walk o świątynię Sarapisa. Powróciwszy w strony rodzinne poświęcił się głównie tłumaczeniu na język łaciński najcelniejszych dzieł pisarzy chrześcijańskich Wschodu; zadanie szczególnie ważne w okresie, kiedy znajomość mowy Hellenów stopniowo gasła w krajach zachodnich. Trudno dziś nawet ocenić, ile wieki późniejsze zawdzięczają trudom Rufina także w zakresie wiedzy filozoficznej i kształtowania odpowiedniej terminologii. Otóż w swej *Historii kościelnej* – jest ona w gruncie rzeczy rozszerzoną parafrazą dzieła Euzebiusza – wspomina również o Kanopos i tamtejszych kultach pogańskich, boga zaś, patrona i imiennika miasta, tak przedstawia: postać ma ludzką, ale nogi nikłe, brzuch okrągły i wydatny niby dzban na wodę, plecy podobne, szyję zaś bardzo krótką. Jak się przypuszcza obecnie, było to w istocie naczynie, w którym przechowywano świętą wodę nilową, emanację ducha Ozyrysa. Właśnie ze względu na podobieństwo opisanego wyobrażenia Kanoposa do naczyń na wnętrzości mumii, dano tym ostatnim nazwę kanop.

A wracając do samej miejscowości: przetrwała tam aż po nasze czasy pewna tradycja, może nawet wywodząca się wprost ze starożytności; tradycja wielu małych, lecz miłych restauracji i lokali, gdzie bawić się można swobodnie.

## Proroctwo Antonina

Tak więc Kanopos miało w czasach antycznych renomę swoistą. Uciechy tej miejscowości były znane szeroko, sama zaś nazwa stała się synonimem rozwiązłości. Czego echo znajdziemy choćby w pewnym powiedzeniu Seneki:

– Mędrzec szukając spokojnego odosobnienia nigdy nie wybierze Kanopos; lecz z drugiej strony Kanopos nikomu nie zabroni żyć rozsądnie!

---

<sup>52</sup> Strabon, *Geographica*, XVII 1, 17.

Przykładem i dowodem trafności owej sentencji, sformułowanej przez pisarza z czasów Nerona, stał się, jeśli wierzyć Eunapiosowi, właśnie pobożny poganin Antonin w latach ostatnich olimpiad. A jeśliby brać dosłownie opowieść Eunapiosa, przybywały doń procesje innego rodzaju niż te, które tak wyraziście scharakteryzował Strabon. Powiada bowiem autor *Żywotów sofistów*, zapewne z niemałą przesadą w niektórych sformułowaniach, lecz tę przecież łatwo uchwycić:

Antonin przyjechał do Aleksandrii zza morza. Kiedy zaś ujrzał kanopijskie ujście Nilu, taki ogarnął go zachwyty, że poświęcił się i oddał całkowicie tamtejszym bogom i misteriom. Czynił szybkie postępy w zbliżaniu się ku boskości. Nie dbał o swe ciało, uwolnił się zupełnie od wszelkich przyjemności z nim związanych, uprawiał tylko mądrość pospółstwu nieznaną. O tym wypada rzec nieco więcej.

Otóż Antonin nie skłaniał się ku czynieniu znaków cudownych i odbiegających od tego, co zwykle w sferze zmysłów; może zachowywał się tak powściągliwie dlatego, że rozumiał, ku czemu zmierzają zarządzenia cesarskie? Natomiast wszyscy podziwiali jego hart, nieugiętość, stałość poglądów. Toteż odwiedzali go ci, co bawili wówczas w Aleksandrii dla studiów. A było to miasto stanowiące dzięki świątyni Sarapisa świątynię świata całego; ściągало tam bowiem zewsząd tylu pielgrzymów, że liczbą dorównywali stałym mieszkańcom. I oni to, kiedy tylko cześć oddali bogu, wybierali się w drogę do Antonina; ci, którym zależało na pośpiechu, łodem, inni natomiast zadowalali się łodziami rzecznyymi – wygodnie podążając ku poważnym studiom. Dostąpiwszy spotkania, jedni przedkładali jakiś problem logiczny – i natychmiast sycili się bogactwem mądrości platońskiej. Inni wszakże wysuwali pytania dotyczące wprost spraw boskich – i ci stali jakby przed posągiem. Nie odpowiadał ni słowem, tylko oczy trzymał utkwione w niebie nieruchomo. Tak trwał w milczeniu, nieprzystępny; nigdy nie stwierdzono, by wdawał się w rozmowę o takich zagadnieniach z jakimkolwiek człowiekiem.

Napływała do Antonina młodzież zdrowa na duszy i spragniona filozofii, toteż wypełniali świątynię młodzi kapłani. On zaś, wydając się jeszcze człowiekiem i wciąż obcując z ludźmi, często zapowiadał swym towarzyszom:

Po śmierci mojej świątynia ta istnieć już nie będzie. Ale również wielki i święty przybytek Sarapisa w Aleksandrii odejdzie w ciemność bezkształtną, dozna przemiany. Jakiś mrok nieogarniony, niby w owych dawnych mitach, zapanuje nad tym co nasza ziemia ma najpiękniejszego!

I okazało się wkrótce, że było w nim rzeczywiście coś boskiego. Zaledwie bowiem odszedł ze świata ludzi, kres położono służbie bożej w świątyniach Aleksandrii i w Sarapeum. I nie tylko służbie bożej, ale i samym budowłom. Wszystko więc stało się tak, jak w owych mitach poetyckich, opowiadających o zwycięstwie Gigantów, co wrodzy są bogom. Taki sam los spotkał też świątynię w Kanopos<sup>53</sup>.

## Żal i gniew poganina

Również dalszy ciąg opowieści Eunapiosa trzeba tu przytoczyć koniecznie. I warto słowa te przeczytać uważnie, choć nie brzmią zbyt sympatycznie. Warto dlatego, że mówią o wydarzeniach, które już znamy dzięki relacjom trzech pisarzy chrześcijańskich: Sokratesa, Sozomenosa, Teodoretą. To prawda: wypowiedź Eunapiosa nie wnosi żadnych nowych danych o znaczeniu istotnym, jest ogólnikowa i wręcz retoryczna. Zważmy jednak, że w tym przypadku słyszymy głos strony przeciwnej, tej pokonanej, głos poganina, urażonego w swych uczuciach najświętszych. Jest to więc już w samym swym tonie, w samym doborze wyrazów i sposobie patrzenia dokument niezwykle, a zachowany chyba cudem. I nieodparcie nasuwa się pytanie:

---

<sup>53</sup> Eunapios, *Żywoty sofistów*, 471–472.

co sprawiło, że w czasach średniowiecza przepisywano gdzieś w Bizancjum rzecz zionącą tak jawną nienawiścią do wszystkiego, co chrześcijańskie? Może przepisywali ją kryptopoganie, wegetujący na marnych posadkach nauczycielskich, w zaciszu bibliotek i archiwów, lub nawet w samych klasztorach? Nic nie jest wykluczone, bo też nikt nie może określić autorytatywnie, kiedy naprawdę odeszli ostatni czciciele bogów i kult ich zgasł całkowicie; żar tlił się pod popiołami przez wieki i tysiąclecia.

Już pierwsze zdanie w tym rozdziale dziełka, niemal pierwsze słowa, pełne pasji i jadu, wskazują dostatecznie jasno stanowisko autora:

„Panował wtedy cesarz Teodozjusz, a Teofil przewodził przeklętym; człowiek ten był niby ów Eurymedont, co to według *Odysei* królował niegdyś nad butnymi Gigantami. Władzę cywilną sprawował Euagrios, a dowództwo wojsk w Egipcie powierzono Romanusowi. Oni to wzajem się umacniali w swej nienawiści do świątyń, a nawet do samych kamieni i gładów ciosanych; ba, wzajem ze sobą w tym współzawodniczyli. Dlatego to zniszczyli Sarapeum i wydali wojnę darom świątynnym; a przecież do uszów ich nie doszła nawet pogłoska o jakichś wrogich zamiarach strony tamtej! Odnieśli więc zwycięstwo nie mając przeciwnika i wygrali bitwę nie musząc staczać walki. A jeśli chodzi o posagi i dary świątynne, to rozprawili się z nimi tak dzielnie, że nie tylko je pokonali, ale nawet pokradli; ich bowiem taktyka bitewna nakazywała osłaniać każdego, kto zechciał coś sobie przywłaszczyć. W Sarapeum zaś zostawili tylko posadzkę, a to z powodu ciężaru gładów; niełatwo byłoby je ruszyć.

Kiedy zaś owi panowie tak dzielni i szlachetni porozwalali już i w perzynę obrócili wszystko, podnosili swe ręce ku górze; prawda, ręce nieskrwawione, ale też i niezbyt czyste, bo chciwością skalane. Wołali, że są zwycięzcami bogów, a grabież świątyń i bluźnierstwa poczytywali sobie za tytuł chwały.

Następnie sprowadzili do owych miejsc świętych tak zwanych mnichów. Z wyglądu są to ludzie, żyją jednak jak wieprze, w sposób jawny pozwalając czynić i sami czyniąc mnóstwo rzeczy podłych i wręcz nie do opowiedzenia. Lecz właśnie to uchodziło za dowód pobożności: okazywać wzdargę wszystkiemu, co boskie. Władzę tyrańską miał wtedy każdy człowiek noszący odzież czarną i zachowujący się publicznie po prostu niegodnie. Aż do takich wyżyn cnoty wzbil się rodzaj ludzki!

Otóż mnisi ci osiedlili się także w Kanopos. Zamiast czci bogów prawdziwych wprowadzili oni kult niewolników. Żeby to jeszcze przynajmniej uczciwych niewolników! Gromadzili zewsząd kości i czaszki tych, co schwytani jako zbrodniarze skazani zostali wyrokiem trybunału sądowego. Głosili, że właśnie oni, ci skazańcy, są bogami. Tarzali się przed ich pomnikami i smarowali się błotem przy ich grobach. Nazywali tamtych męczennikami, sługami, posłańcami, co przenoszą prośby ludzkie. A byli to przecież tylko niewolnicy, którzy służyli haniebnie, skończyli pod razami biczów, a blizny swej podłości noszą nawet na podobiznach. Oto jakich bogów rodzi ta ziemia!”

Tak więc Antonin prawdziwie obwieszczał wszystkim, że świątynie staną się grobami. Dało to wielką sławę jego umiejętności przewidywania. Zmarł łagodnie, doszedłszy do późnej starości bez chorób. Ci, co potrafią myśleć, znacznie boleśniej odczuwali przepowiedziany przezeń kres świątyń<sup>54</sup>.

## Z zagadnień demonologii

Wieści o tym, jak trafnie przepowiedział Antonin zniszczenie świątyń Sarapisa, wieści na pewno coraz barwniejsze i fantastyczniejsze, krążyły szeroko po całym ówczesnym świecie. Nabrały dużego rozgłosu i znaczenia nie tylko wśród pogan, lecz także chrześcijan. Dla tych

---

<sup>54</sup> Tamże, 472–473.

ostatnich niezmiernie kłopotliwy był sam fakt, że wieszczba filozofa pogańskiego, a więc pochodząca – jakże w to wątpić? – z natchnienia wszelakich duchów nieczystych, siedzących w bałwanach, spełniła się tak rychło i tak dokładnie. Powstał więc w mniemaniu sporej liczby chrześcijan bardzo istotny problem natury filozoficznej i teologicznej. Zasadniczy tok ich rozumowania można odtworzyć mniej więcej tak:

Kim są owi dawni bogowie? To w rzeczy samej demony złe, perfidne, kłamliwe, służą szatana. Wiodą tych, co im zawierzyli, ku zgubie straszliwej. Nienawidzą wszelkiej prawdy i nawet cienia prawdy, podobnie jak mrok lęka się każdego promienia słońca. Jakim więc sposobem, jaką drogą i za pomocą jakiego podstępu duchy nieczyste mogłyby kiedykolwiek poznać, przewidzieć i odsłonić swym wyznawcom choćby cząstkę tego, co stać się ma rzeczywiście? Przecież pokazując przyszłość umacniają one zarazem wiarę pogan w swoją moc niezwykłą! Dlaczego więc Pan dopuszcza, by działo się w naszych czasach i na naszych oczach coś tak niebezpiecznego dla zbawienia tylu dusz ludzkich?

Zagadnieniami tymi zajmowano się poważnie i gruntownie. Toczone liczne dyskusje, a wypowiedane w ich toku opinie nie zawsze wydawały się ortodoksyjne. Sprawa urosła wreszcie do takich wymiarów, że uznał za konieczne zająć się nią jeden z najtęższych umysłów teologicznych tamtej, a może i nie tylko tamtej epoki; nie kto inny, lecz sam biskup Hippony, Augustyn. Poświęcił on właśnie temu problemowi osobny traktat. Rzecz to wprawdzie niezbyt obszerna, lecz ze względu na swą treść interesująca i znamienita. Tytuł łaciński brzmi *De divinatione daemonum*, czyli *O przepowiadaniu przyszłości przez demony*. Za punkt wyjścia do rozważań posłużyła autorowi właśnie kwestia zniszczenia Sarapeum. Pisze mianowicie w słowach wstępnych:

„Rankiem pewnego dnia zebrało się u mnie wielu naszych świeckich braci chrześcijan. Usiedliśmy w miejscu zwykłym, a potem zaczęła się rozmowa o tym, jaki jest stosunek religii Chrystusowej do pełnej uprzedzeń zarozumiałości pogan oraz do ich wiedzy; a rzekomo jest ona zadziwiająca i ogromna. Zapamiętałem tę dyskusję i potem ją uzupełniłem; uznałem również, że godna jest, by ją utrwalić na piśmie. Nie wymieniam wszakże z nazwiska tych osób, które zajmowały w niej stanowisko przeciwne mojemu; byli to zresztą chrześcijanie, a wyrażali takie poglądy chyba tylko w tym celu, aby wreszcie dojść, co należy odpowiadać poganom.

Wytoczono więc kwestię przepowiedni, które pochodzą od demonów. Gdy przypomniano, że ktoś tam wyróżył zburzenie świątyni Sarapisa, co istotnie się stało w Aleksandrii, rzekłem:

– Czemu się dziwić, że demony mogły znać z góry i potrafiły prawdziwie obwieszczać zniszczenie zagrażające tamtej świątyni oraz jej posągowi? Są one w stanie tak samo przewidywać i przepowiadać wiele innych wydarzeń. Oczywiście tylko w tych granicach, w jakich zezwolono im wprawdzie ujrzeć przyszłe fakty i podać je ludziom do wiadomości!

Odpowiedziano mi:

– A więc w takim razie przepowiednie demonów nie są złe i niemiłe Bogu! Gdyby bowiem tak było, on sam, sprawiedliwy i wszechmocny, nie pozwoliłby przecież, aby się działy rzeczy złe i niesprawiedliwe!”

Taki był początek dysputy. Jak łatwo odgadnąć, nie zabrakło Augustynowi argumentów. Warto przy sposobności zauważyć, że na równi chyba z wszystkimi współczesnymi wierzył on głęboko w istnienie demonów jako bytów rzeczywistych, całkowicie konkretnych, posiadających odrębną osobowość fizyczną. Swe poglądy opierał na różnych doktrynach platońskich i neoplatońskich, ale także na wierzeniach ludowych i na wypowiedziach w *Ewangeli*. W świecie pogańskim demony uchodziły za byty pośrednie pomiędzy ludźmi a bogami, zazwyczaj (choć nie zawsze), w swej istocie dobre, przyjazne, pomocne; wystarczy powołać jako przykład choćby tego demona, ducha opiekuńczego, o którym tyle opowiadał Sokrates. Lecz według Augustyna sprawy te przedstawiały się zgoła inaczej:

Owszem, przyznawał on, demony przewyższają ludzi pod wielu względami. Są przede wszystkim nieśmiertelne, a ciała ich mają delikatną i ruchliwą naturę powietrza, przenikają więc wszędzie, nawet do wnętrza naszych jestestw. Lecz to tylko upadłe anioły, duchy zła, nieprzejednani, bezwzględni i podstępni wrogowie szczęścia całego rodzaju ludzkiego i każdego człowieka z osobna! Niby ptaki drapieżne, cudownie chyże i niezrównanie spostrzegawcze, krążą w dolnych warstwach powietrza, poniżej sfery księżycowej. Jak sępy rzucają się na to wszystko w naszym świecie, co wydaje się im łatwą zdobyczą. One to wywołują bardzo wiele snów, zwidów i koszmarów. One potrafią mieć zmysły i nawet objawiać częściowo prawdy przyszłe; a to dlatego, że wznosząc się wysoko i mając zmysły swoiste, doskonalsze, widzą znacznie więcej, dalej i bystrzej niż my tutaj na niskościach ziemi. One wreszcie zdołały wpoić masom śmiertelników zgubną wiarę w istnienie rzekomych bogów. Ale cóż to za bogowie? To przecież istoty z gruntu niemoralne, krwiożercze, kłótlive, nieodpowiedzialne, w niczym się nie różniące od samych demonów! Nic dziwnego, skoro są zarazem i częścią ich świata i poniekąd tworem. I oni to, fałszywi bogowie, mieliby przesłonić nam słońce mocy prawdziwej i najwyższej?

Takie i tym podobne poglądy na rozmaite zagadnienia demonologiczne rozwijał Augustyn zwłaszcza w swym wielkim dziele *O państwie bożym*. Powraca do nich także w rozmaitych listach. Natomiast w traktacie tu omawianym zakłada niejako milcząc, że demony są istotami właśnie tego rodzaju i że jest to rzecz wszystkim wiadoma, nie ma więc potrzeby traktować o niej szerzej.

Spośród dość licznych tekstów ewangelicznych, które mówią o demonach, zawsze szczególną uwagę czytelników i komentatorów cieszył się ów o opętanym w kraju Gerazeńczyków. Jezus wypędził z nieszczęsnego całą chmurę biesów, a te wstąpiły w pasące się obok wieprze, które ruszyły pędem po stromym stoku w dół do jeziora i tam się samobójczo potopiły. Materia pozornie odległa i dziwaczna, można jednak i na nią spojrzeć okiem świeżym, a zaskakujących skojarzeń nie braknie! Tak uczynił ów poeta, któremu tamten świat wydaje się nie dalszy niż wczoraj choć inne widzimy dziś twarze cesarów na monetach. Podobnie też, powiada dalej, rzesza ludzka jest chwiejna i chciwa cudów, obyczaje zaś różnią się tylko pozornie. Działają również demony, podobnie jak wtedy. Lecz w czasach starożytnych, w przeciwieństwie do naszych, biesowaci, czyli opętani przez demony, „nie mieli pism ani ekranów, rzadko tykając sztuki i literatury”; bo też „drgawki, na ustach piana, zgrzytanie zębami, nie uchodziły wtedy za znamię talentów”. Pozostaje wszakże w mocy, twierdzi poeta, przypowieść ewangeliczna: duch bowiem władający biesowatymi może wstąpić w wieprze, a te, „zdesperowane nagłym zderzeniem dwóch natur, swojej własnej i lucyferycznej, skaczą w wodę i toną”.

I tak każdy wiek ma swoich opętanych i swoich „młodych gniewnych”, a również swoją demonologię, czyli poglądy na przyczyny oraz istotę biesowatości. Wyznaje też odpowiednie, a rzekomo jedynie skuteczne metody zwalczania opętania. Można by dokonać przeglądu owych metod w ciągu epok i wieków. Były więc niegdyś zaklęcia i egzorcyci, są obecnie środki uspokajające i psychiatrzy. Choć i o egzorcystach mówi się dziś sporo; mówią wszakże pisarze i reżyserzy, czyli reprezentanci właśnie tych gałęzi sztuki, w których, jeśli wierzyć pocie, nader często grasują biesowaci.

## Gdy Rzym zdobywano

Tyle o demonologii w związku z traktatem Augustyna. Interesujący jest wszakże nie tylko powód i przebieg zrelacjonowanej tam dyskusji, lecz również pewne okoliczności niejako zewnętrzne powstania dziełka *De divinatione daemonum*. Otóż zostało ono napisane około roku 410, a więc mniej więcej w 20 lat po zniszczeniu Sarapeum. Dowodzi to w sposób szczególnie dobitny, jak żywe i wciąż pamiętne byty tamte wydarzenia nawet w krainach od-

ległych od Aleksandrii. Niemal równocześnie z upadkiem ośrodków kultu Sarapisa zamarły też igrzyska w Olimpi; tego wszakże prawie nikt ze współczesnych nie zauważył. Nie podniósł się żaden głos żalu i sprzeciwu, a jeśli nawet był jakiś, to taki nikły i słaby, że nie dotarło do nas choćby tylko jego echo. Oczywiście maleńka osada w ubogiej krainie Peloponezu to nie ogromna metropolia światowa, jaką stanowiła ówczesna Aleksandria. Z drugiej wszakże strony wszystkie wspaniałości architektury i rzeźby Sarapeum nie dorównywały symbolicznemu znaczeniu olimpiad.

Gdy Augustyn opracowywał traktat *De divinatione daemonum*, samemu Rzymowi, stolicy Imperium, groził najazd Gotów pod wodzą Alaryka; a może nawet już się dokonał. Była mowa o tym pamiętnym roku i doniosłym wydarzeniu w innym związku; chodziło mianowicie o pobyt Melanii i Woluzjana w prowincjach afrykańskich. My skłonni bylibyśmy mniemać, że wobec grozy tego, co się działo w Italii, cały ówczesny świat zamarł w przerażeniu, a myśli i rozmowy wszystkich krążyły tylko wokół tego jednego i jedynego tematu. Naprawdę wszakże było inaczej. W prowincjach odległych i jeszcze bezpiecznych ludzie nie tylko żyli sobie najzwyczajniej, lecz nawet znajdowali dość czasu, spokoju i ochoty, by zajmować się rozpatrywaniem zagadnień raczej abstrakcyjnych; jak to na przykład, czy demony mówią prawdę. Albo też innymi, podobnie oderwanymi od rzeczywistości. Oto bowiem przykład inny, wzięty z tejże samej prowincji i z lat tych samych, ale z kręgów niechrześcijańskich:

Dopiero co wspomniany Woluzjan, poganin, pisząc w roku 412 list do Augustyna informuje go o tematyce pewnej rozmowy, jaką toczył niedawno w gronie swych przyjaciół, również pogan. Otóż najpierw przedyskutowali wspólnie wybrane kwestie retoryki. Potem poruszyli tajniki sztuki poetyckiej, a zwłaszcza kompozycji utworów, wdzięku metafor, wzniosłości porównań. Następnie, idąc coraz wyżej, wzięto pod rozwagę doktryny różnych szkół filozoficznych, poczynając od starożytności odległej, bo od Akademii platońskiej i Liceum Arystotelesa, aż wreszcie ktoś nie nazwany (lecz pewnie chodziło o wątpliwości samego Woluzjana!) zaczął się zastanawiać nad kwestiami drażliwymi, a zawsze ekscytującymi pogan: w jaki to sposób Pan świata mógł przebywać tak długo w żywocie Dziewicy Niepokalanej, a później jeszcze znosić przykre utrapienia i dolegliwości, nieuchronnie związane z każdym bytowaniem ziemskim, nawet istot nieśmiertelnych<sup>55</sup>.

Czy fakt, że toczono tego rodzaju dyskusje właśnie w takim momencie dziejowym, i to zarówno wśród chrześcijan, jak i pogan, ma jakąś wymowę? Można oczywiście poprzestać na wyjaśnieniu banalnym, że to tylko przypadek; ale można też widzieć w tym przejaw głębszych, niemal podświadomych procesów psychicznych w łonie wielkich społeczności. Kto wie, czy nie chodziło o ucieczkę od rzeczywistości zbyt okrutnej i brutalnej, ucieczkę w rejony spekulacji wzniosłych i całkowicie abstrakcyjnych. Zjawiska podobne powtarzają się wcale często we wszystkich epokach, i to właśnie wtedy, gdy dotychczasowemu porządkowi grozi katastrofa. A może był to rodzaj ślepoty i kompletnego niezrozumienia grozy sytuacji? Lub też odwrotnie, dowód swoistej wielkości ducha, a nade wszystko intuicyjnego przejrzenia prawdy tak prostej i oczywistej, że niekiedy wręcz niedostrzeganej lub wzgardliwie niedocenianej przez mężów skądinąd najuczciwszych? Prawda ta brzmi: w życiu każdej społeczności liczą się, jeśli chodzi o jej trwanie jako grupy odrębnej, fakty nie polityczne i nie gospodarcze, lecz te, które stanowią o poczuciu ciągłości kulturowej; a ciągłość tę podtrzymuje się także przez dyskusje na tematy pozornie zupełnie obce aktualnej rzeczywistości – tak obce, jak kwestia metafor poetyckich i problem, czy demony mogą wieszczyć prawdę. Co prawda w tym ostatnim przypadku już sam fakt, że dawni bogowie zostali uznani za demony, i to złe, nienawistne, mogłyby świadczyć o przerywaniu się pewnej ciągłości w sferze życia religijnego; w dużym jednak stopniu sprowadzało się to do przestawienia nazw i ocen wartościujących.

---

<sup>55</sup> Augustyn, *Listy*, 135.



## Proroctwo pogańskie

„Przyjdzie kiedyś czas, który okaże, jak daremną była pobożna wiara Egipcjan i ofiarna dla niej służba całego tego ludu. Upadnie tu i w nicość się obróci święta cześć bogów, a oni sami odejdą stąd ku niebiosom, opuszczą ziemię egipską na zawsze. Kraj więc, co był przez tyle wieków kolebką, ostoją i przybytkiem prawdziwej religii, zostanie wyzuty z boskiej obecności, osierocony, pusty. Cudzoziemcy zajmą jego pola uprawne. I nie tylko lekceważyć się będzie świętą wiarę, lecz nawet – jakże to bolesne! – ukaże się niby ustawa, która pod groźbą kar najsurowszych zabroni przestrzegania zasad religii, pobożności, kultu.

Tę ziemię najczcigodniejszą, siedzibę bożych ołtarzy, wypełniać będą odtąd tylko grobowce i trupy. O Egipcie mój, Egipcie ukochany! Jedynie mity i opowieści pozostaną w przyszłych wiekach jako świadectwo twoich wierzeń, lecz potomności i tak wydadzą się one zwykłymi baśniami. Jedynie słowa wyryte na kamieniu będą trwać jako ślady i dowody twoich czynów pobożnych. Scyta albo Indus, lub też ktoś im podobny, barbarzyńca z krain pogranicznych, zasiedli całą tę ziemię. Mrok miłować się wtedy będzie bardziej niż światło, a śmierć przedkładać się będzie nad życie. Wierz mi, dojdzie wreszcie do tego, że ustanowi się karę śmierci dla tych wszystkich, którzy by ośmielili się wyznawać Rozum boski. I takim to sposobem dokona się bolesne rozłączenie bogów od ludzi. Tu pozostaną tylko anioły zła. Pozostaną zaś po to, aby popychać nieszczęsnych ku najgorszym zbrodniom pychy: ku wojnom, gwałtom, grabieżom, oszustwom. A więc ku temu wszystkiemu, co przeciwne prawdziwej naturze naszej duszy”<sup>56</sup>.

Nie, tych słów nie wypowiedział żaden filozof-poganin, świadek wydarzeń aleksandryjskich z roku 391 lub przeczuwający, że nadejść one muszą. Nie Helladios ich autorem, profesor gramatyki i kapłan Zeusa Heliosa Sarapisa. Nie Ammonios, kapłan Hermesa Thota, czyli Małpy. I nie Olimpos, wierny stróż przybytku Sarapisowego aż do końca, aż do owej nocy ostatniej, kiedy to rzekomo usłyszał śpiew *Alleluja*. Ani nie Antonin, ozdoba świątyni w Kanopos, wróż, mędrzec, nauczyciel. Nikt też z ich bliskich, ani nawet im współczesnych. Przytoczone zdania są parafrazą wypowiedzi zawartych w łacińskim traktacie pod tytułem *Asclepius*. Zachował się on w zbiorze pism wielkiego prozaika łacińskiego Apulejusza, żyjącego w wieku II n.e.; lecz traktat ten na pewno nie wyszedł spod jego pióra. Jest nieco późniejszy, pochodzi ze schyłku wieku II. Lecz i tak powstać musiał – doprawdy, trudno w to uwierzyć! – co najmniej sto lat przed czasami Teodozjusza, co najmniej wiek przed okresem ostatniej olimpiady, kiedy to zniszczono lub zamknięto w Egipcie świątynie dawnych bogów i zakazano składania ofiar. Czytamy więc słowa proroctwa pogańskiego, które spełniło się co do joty. I nie tylko w Egipcie. Mówiąc bowiem słowami proroctwa i myśląc kategoriami ostatnich pogan, można by rzec, że mrok ogarniał cały świat zamieszkały; także Helladę, gdzie Olimp, dom bogów, gdzie Ateny, ich wielka świątynia, i gdzie Olimpia, miejsce igrzysk ku ich czci. Tylko w Rzymie, właśnie w Rzymie, rzecz przedstawiała się nieco inaczej, tylko tam przejawiał się bardziej zdecydowany opór pewnych grup i kręgów – w różny sposób.

---

<sup>56</sup> Pseudo-Apulejusz, *Asclepius*, 25.

# RZYM

## List

„I Tobie zazdroszczę, że w Rzymie jesteś, i Rzymowi, że ma Ciebie. Ty bowiem przebywasz w mieście, z którym nie może się równać żadne inne w całym świecie, ono zaś z kolei gości kogoś, kto zgoła nie ustępuje własnym jego obywatelom – a wielu z nich zalicza do swych przodków nawet bogów samych! Dla Ciebie ogromnym byłoby zaszczytem, gdybyś mógł zamieszkiwać w takim grodzie wcale nie zabierając głosu i tylko przysłuchując się mowom, jakie wygłaszają tam inni; a w Rzymie wielu jest retorów, którzy godnie idą w ślady swoich ojców. Lecz oto zdołaliśmy dowiedzieć się od osób, które stamtąd przyjeżdżają do nas, że wzięłeś już osobiście czynny udział w deklamacjach publicznych i jeszcze będziesz występował! Nic w tym dziwnego: dzieło Twoje liczy przecież ksiąg sporo, a ta część, która już zasłużyła na pochwały, jakby przyzywa księgi następne. Słyszę też, iż Rzym samorzutnie przyznaje zwycięski wieniec owocowi Twej pracy, a głos opinii publicznej twierdzi, że od jednych pisarzy jesteś po prostu lepszy, od innych zaś wcale nie pośledniejszy. Chwała tego rodzaju zdobi nie tylko samego twórcę, lecz i nas wszystkich, pośród których on wyrósł.

Nie ustawaj więc w pracy, nie ukrywaj swego dzieła w zaciszu domowym, lecz zabieraj je z sobą i przedstawiaj na spotkaniach ogólnych! I niech Cię nie nuży to, że stałeś się przedmiotem podziwu. Sława Twoja niechaj rośnie coraz świetniej, nam także przypadając w udziale. Tak to bowiem bywa z obywatelem, który zdobył sobie nazwisko, że opromienia nim również swoje miasto rodzinne.

Twoje więc sprawy tak się przedstawiają. A nasze? Pograżeni jesteśmy w bólu. I nie wiem doprawdy, jak go zniesiemy, jeśli bóg jakiś nie przyjdzie nam z pomocą. Syn mój, jedynak, chłopiec niezły i z matki zacnej, choć nie będącej stanu wolnego, odszedł, zmarł, został wśród też pogrzebany. Stał się ofiarą czyjś postępowania aroganckiego. Dowiedz się od innych, proszę, co to za ludzie okazali mu taką wzgardę; bo jeśli o nas chodzi, to szanujemy ich nawet cierpiąc. To nieszczęście było jeszcze całkiem świeże, gdy nagła śmierć wyrwała Kallioposa spośród jego ksiązek i wprost od pracy. Tak więc rana nakłada się na ranę, a każde nowe wydarzenie wydaje się gorsze od poprzedniego<sup>57</sup>.

## Libaniusz

Dziwny to list. W swej części pierwszej i głównej wydaje się czystą retoryką, przemieszaną z przesadnymi i zdawkowymi formułkami grzecznościowymi; dopiero pod koniec, a więc właściwie w dopisku, odzywa się głos prosty i ludzki.

Wysłano ów list z Antiochii syryjskiej do Rzymu w roku 392. Jego autorem był Libaniusz. Starzec już, liczący lat 78, mógłby z prawdziwą dumą patrzeć na dzieło swego życia. Wychował całe pokolenia uczniów w umiłowaniu piękna klasycznej literatury helleńskiej, wykształcił setki młodych ludzi w umiejętnościach artystycznej stylistyki i popisowego krasomówstwa. Pozostawił po sobie ogrom ksiąg: mowy, deklamacje, eseje, listy. Stanowiły one

---

<sup>57</sup> Libaniusz, *Listy*, 1063.

niedościgły wzór sztuki kompozycji i poprawności języka literackiego dla wielu generacji w ciągu wieków późniejszych, także w czasach bizantyjskich. Co prawda przyznać trzeba, że pisarstwo Libaniuszowe razi nas sztucznością wysłowienia, afektowaną archaizacją, chłodem retoryki; może jednak brak nam zrozumienia lub po prostu przygotowania, by móc się rozkoszować w pełni urokami tak wyczelowanej ornamentyki stylistycznej?

Libaniusz cieszył się ogromnym szacunkiem najwybitniejszych wówczas osobistości z kręgów nie tylko intelektualistów, lecz i polityków. Miał uczniów i przyjaciół zarówno wśród chrześcijan, jak i pogan. Wrogów mu oczywiście nie brakowało, ale w tych granicach, w jakich nie brakuje ich nikomu, kto się wzbija ponad przeciętność i może poszczycić się pewnymi sukcesami. A mimo to wypowiedzi wielkiego pisarza z ostatnich lat jego życia wskazują wyraźnie, że odchodził on ze świata jako człowiek złamany ciężkimi doświadczeniami, głęboko rozgoryczony, z poczuciem dotkliwej klęski. I nie było to tylko wynikiem zmian psychofizycznych, tak częstych u ludzi starszych; Libaniusz miał obiektywne powody, by surowo oceniać świat sobie współczesny i skutki swoich wysiłków.

Był przecież świadkiem naocznym, a bezsilnym, jak ginie pod brutalnymi i bezlitosnymi ciosami wszystko to, co ukochał serdecznie i czemu poświęcał wszystkie dni swego życia od lat niemal chłopięcych: wspaniałe dziedzictwo helleńskiej kultury. Zakazano składania ofiar na ołtarzach bogów. Zamykano, a nawet niszczone i burzone ich świątynie. Obalano, rąbano, przetapiano i wyrzucano precz wśród ohydnych szyderstw ich posągi, dzieła najświetniejszych artystów wieków minionych. Próżne okazały się najusilniejsze błagania, prośby i perswazje, a nawet petycje składane u stóp cesarza. Nieuchronnie więc nasuwać się musiało człowiekowi bystremu i patrzącemu daleko w przyszłość pytanie tej treści:

Chrześcijanie rozprawiają się obecnie z posągami konsekwentnie i bezwzględnie, powołując się wszakże na pewne przykazania i doktryny swej wiary. Są więc głęboko przekonani, że owe obrzydłe bałwany to podstępne dzieła złych demonów, pragnących w ten sposób odciągnąć serca ludzkie od czci jednego i jedyne Boga, niewidzialnego i niewyobrażalnego. Skoro wszakże twory sztuki już wydano na pohańbienie w ręce motłochu, któż zaręczy, czy w swoim czasie nie przyjdzie kolej na równie bezlitosną rozprawę z księgami poetów, pisarzy, filozofów? Przecież to właśnie one są najgroźniejsze dla nowej religii, sławią bowiem, i to jakże wymownie, jak pięknie, bogów i herosów (czyli demony), urodę ciała ludzkiego, słodkie ziemskiej miłości, radość życia i zabawy! Nawet najsurowsi myśliciele pogańscy nie zdobywają się na prawdziwie zasadnicze i stanowcze potępienie tego, co ziemskie. Może więc przyjść czas, kiedy zaczną się niszczyć nie tylko przedmioty kultu i wyobrażenia bogów, lecz także stare księgi!

Takie lub tym podobne przewidywania sprawdziły się tylko w pewnym stopniu. Akcje świadomego i celowego palenia dorobku antycznej literatury były raczej rzadkie i sporadyczne; więcej szkody sprawiło to, że po prostu nie przepisywano starych ksiąg pogańskich, pozostawiając papirusy i pergaminy ich losowi. Toteż piśmiennictwo starożytne przedstawia się nam dzisiaj niewiele lepiej niż dziedzina zabytków kultury materialnej z tamtej epoki; jedno i drugie to pola ruin. Ocalały tylko resztki. Na Wschodzie dlatego, że w Bizancjum szkolnictwo pozostało przez wszystkie wieki i do samego końca w zasadzie świeckie (o czym była mowa); a także dlatego, że utrzymywała się tam dość długo garstka kryptopogan. Na Zachodzie przetrwało tylko to, co ostatecznie uznano za godne zachowania ze względów informacyjnych i czysto użytkowych (m.in. jako wzory stylistyczne). No i oczywiście to, co uniknęło zagłady przez przypadek lub dzięki szczęsnemu niedopatrzaniu odpowiednich czynników. Można więc rzec bez żadnej przesady, że poczynając od wieku IV i właśnie za życia Libaniusza zaczynała okazywać swoją groźną moc w krainach Imperium prawdziwa rewolucja w zakresie kultury; chyba największa i najdotkliwsza w swych skutkach ze wszystkich tego rodzaju zjawisk, jakie znają dotychczasowe dzieje ludzkości. Lecz co przyniesie przyszłość?

Owszem, był ktoś, z kim Libaniusz łączył wielkie i poniekąd realne nadzieje, wierząc, że

zdoła on powstrzymać siły zniszczenia i odrodzić pogodny, barwny świat helleńskich kultów. Lecz cesarz Julian Apostata zginął młodo, tragicznie; dzieło jego zostało przerwane, nim jeszcze zaczęło rozwijać się naprawdę. A potem niemal każdy kolejny władca stosował wobec pogan politykę ucisku coraz twardszego i perfidniejszego; także Teodozjusz, choć do samego Libaniasza odnosił się bardzo poprawnie.

I wreszcie ów cios osobisty, śmierć jedynego syna! Zwał się Kimon Arabios, zmarł w roku 391, a więc zapewne na kilka miesięcy przed napisaniem przez osieroconego ojca owego listu do Rzymu. Libaniasz oczywiście przesadza twierdząc, że przyczyną zgonu było wzgardliwe potraktowanie, jakiego doznał młody człowiek ze strony jakiejś osoby bardzo wpływowej. Owszem, Kimona spotkała w Konstantynopolu wielka przykrość, wręcz obraza. Starał się tam o wyższy urząd i nawet już uzyskał pisemną nominację na stanowisko namiestnika Cypru, ale dokument ten wyrwano mu dosłownie z rąk. Chodziło widocznie o to, że ktoś inny, zabiegający o tenże urząd, znalazł możniejszego protektora. Rozgoryczony tą sprawą Kimon wracał do rodzinnej Antiochii drogą lądową przez Azję Mniejszą. Będąc już w Cylicji wypadł z powozu i złamał, czy też ranił nogę. Leczył się dość długo w mieście Tarsus, otoczony troskliwą opieką przez tamtejszych przyjaciół ojca; powrócił wreszcie do Antiochii, ale tylko po to, by umrzeć w kilka dni po przyjeździe. W jakiś czas potem odszedł wychowanek Libaniasza i nauczyciel w prowadzonej przez niego szkole, Kalliopos.

Wielki pisarz niedługo przeżył syna; zgasł, udręczony chorobami i żalem, prawdopodobnie już w roku 393. A więc właśnie wtedy, gdy odbyły się – lub odbyć miały – ostatnie igrzyska w Olimpii. Doprawdy trudno i w tym nie dopatrywać się symbolicznej zbieżności wydarzeń: ostatni rzeczywiście wybitny mistrz słowa greckiego i zarazem niezłomny poganin odszedł równocześnie z igrzyskami, które przez prawie dwanaście wieków stanowiły widomy znak kulturowej łączności wszystkich Hellenów!

A kim był adresat listu, tak wychwalany przez autora? I to wychwalany nawet z tego powodu, że ma szczęście przebywać właśnie w Rzymie!

## Historyk i jego dzieło

Człowiek, który z początkiem roku 392 odczytywał w Rzymie tak dla siebie pochlebne słowa listu Libaniaszowego, jest nam już znany, bo wypowiedzi jego były tu cytowane; zwał się Ammian Marcellinus.

Jako zawodowy oficer przemierzał niegdyś wiele krain Imperium w Europie i Azji, walcząc u jego granic z różnymi wrogami; porzuciwszy jednak przed kilkunastu laty służbę wojskową zamieszkał w Rzymie na stałe. List tak sławnego antiocheńczyka, swego rodaka, musiał przyjąć z prawdziwą dumą. Przecież owe komplementy, wyrazy uznania i wręcz podziwu wyszły z ust czcigodnego starca, któremu nawet przeciwnicy nie mogli odmówić czołowego miejsca wśród ówczesnych pisarzy helleńskich! Ammian co prawda nie zaliczał się do jego uczniów bezpośrednich, będąc jednak młodszy o lat przynajmniej 15 darzył go z pewnością szacunkiem i traktował jako mistrza. Znał zresztą Libaniasza nie tylko ze słyszenia i z lektury jego pism, lecz także z kontaktów osobistych. Obaj przecież urodzili się w tym samym mieście, w Antiochii, i w pewnych okresach obaj jednocześnie tam przebywali. Należeli do warstwy średnio zamożnych Hellenów, żywo interesujących się sprawami kultury, pozostali też wierni religii przodków. Co prawda, jeśli chodzi o ten punkt ostatni, to stwierdzić trzeba, że Libaniasz bronił dawnego dziedzictwa konsekwentnie i z odwagą niemal desperacką, Ammian natomiast przyjmował w swych wypowiedziach postawę biernego obserwatora. Owszem, wcale nie ukrywa poglądów pogańskich, tu i ówdzie pozwala sobie nawet na uszczypliwe uwagi pod adresem pewnych przedstawicieli Kościoła i ich posunięć; nigdzie jednak nie krytykuje wprost ani samego chrześcijaństwa, ani jego instytucji – przeciwnie, o

zasadach nowej religii wyraża się wręcz z uznaniem. Podobnie jak Libaniusz, również i on należał do zdeklarowanych wielbicieli cesarza Juliana, dając przy każdej sposobności wyraz swemu podziwowi dla jego osoby i polityki. Ale kiedy władca ten wydał ustawę, zabraniającą nauczycielom chrześcijańskim kształcenia młodzieży, Ammian zdobył się na słowa ostrej krytyki: „Bezłitosne to i zasługujące na całkowite przemilczenie!” Może to nieco zaskakujące, ale właśnie były officer jest w swym dziele rzecznikiem prawdziwej tolerancji.

Cytowaliśmy już fragmenty Ammianowego dzieła, a mianowicie krótkie urywki z księgi XXII. Mowa w nich była o Aleksandrii jako wciąż żywym ośrodku naukowym oraz o Sarepeum, które swą świetnością niemal dorównuje rzymskiemu Kapitolowi. Ammian mógł tak pisać oczywiście tylko przed zniszczeniem przybytku, a więc najpóźniej w roku 390. Ważna to wskazówka, pomocna przy ustalaniu, kiedy i w jakim porządku czasowym powstawały księgi wielkiej *Historii*. List Libaniasza poucza, że autor publikował je stopniowo, najpierw sam odczytując pewne partie przed wybranymi słuchaczami; było to w starożytności praktyką często stosowaną, poczynając od samego zarania literatury aż po jej schyłek. W przypadku zaś Ammiana taka prezentacja miała szczególne znaczenie: chodziło przecież o bezpośrednie stwierdzenie, czy jego sposób traktowania dziejów Rzymu może liczyć na zrozumienie i życzliwe przyjęcie w samej stolicy Imperium. Autor miał prawo żywić pewien niepokój, i to co najmniej z trzech przyczyn istotnych.

Po pierwsze, jego zamiar już w samym swym założeniu zdradzał ambicję niemałą; złośliwi i zawistni – a takich właśnie w Rzymie nigdy nie brakowało! – mogliby nawet rzec, że ambicje to nadmierne. Oto Ammian pragnął kontynuować ni mniej ni więcej tylko dzieło największego historyka rzymskiego sprzed trzech stuleci, Korneliusza Tacyta! Ponieważ tamten zamknął swoje księgi na roku 96, kiedy to władzę obejmował Nerwa, wypadło Ammianowi rozpocząć dokładnie od tego momentu; co też uczynił. Poprowadził następnie swoją opowieść pracowicie i konsekwentnie aż do czasów najnowszych, znanych jemu i jego czytelnikom z doświadczeń osobistych. Za datę końcową przyjął rok 378, kiedy cesarz Walens poniósł klęskę i zginął w bitwie z Wizygotami pod Adrianopolem. Akcent końcowy, trzeba to przyznać, bardzo dramatyczny i rzeczowo usprawiedliwiony; ze względu na swe skutki bitwa istotnie ma ogromne znaczenie w dziejach Europy. Wyznaczając więc właśnie w tym punkcie czasowym kres swej narracji Ammian postąpił umiejętnie i słusznie; i jako pisarz, i jako historyk. Podkreślmy przy tym, że wyboru dokonał świadomie, nie oderwała go od pracy, co przecież często się zdarza, konieczność zewnętrzna, śmierć lub choroba. Wystarczy, by się o tym przekonać, przytoczyć zdanie ostatnie:

„Ja, niegdyś żołnierz i Grek, przedstawiłem te wydarzenia w miarę swych sił, zaczynając od panowania cesarza Nerwy aż po śmierć Walensa. Nigdzie, jak mniemam, nie zniekształciłem dzieła, które za cel postawiło sobie prawdę, świadomie coś przemilczając lub kłamiąc. O tym zaś, co działo się później, niech piszą inni, kwitnący wiekiem i wiedzą. A jeśli zechcą podjąć się takiej pracy, doradzam im, by wznioślejszym przemówili stylem!”<sup>58</sup>

Jak wynika z tych słów, a co potwierdzają też inne wskazówki pośrednie, Ammian kończąc *Historię* był człowiekiem w wieku raczej podeszłym; liczył lat ponad 60. Wydaje się również, że zmarł stosunkowo rychło po opublikowaniu księgi XXXI, chyba jeszcze za panowania Teodozjusza lub wnet po jego zgonie; w każdym razie niewiele przeżył Libaniasza, choć był znacznie odeń młodszy. To jednak, kiedy śmierć nastąpiła, w niczym nie zmienia istoty sprawy, o której tu mowa: autor doczekał tej szczęsnej chwili, że ujrzał materialny i pełny kształt ogromnego dzieła; a poświęcił mu tyle lat, tyle trudu!

Lecz właśnie sam ogrom tej konstrukcji dziejopisarskiej musiał też stanowić przyczynę niepokoju dla twórcy. Czy podołał pod każdym względem wymogom zadania, jakie sam sobie postawił? Czy ujął w sposób właściwy wszystko, co było historycznie ważne w ciągu bez

---

<sup>58</sup> Amm. Marc., H., 31, 16, 9.

mała trzech stuleci, tak bogatych w naprawdę epokowe wydarzenia? Czy dobrze rzecz rozpląnował? Odpowiedź właśnie na to ostatnie pytanie wcale nie była prosta. Mianowicie od roku 96 do 378 upłynęło dokładnie lat 282. Tymczasem pierwszych ksiąg 13 (obecnie zaginionych) omawiało wydarzenia aż do roku 353 włącznie, a więc lat 257, przeszło dwa i pół wieku; mógł to być tylko skrótowy, schematyczny zarys, dokonany na podstawie cudzych opracowań. Natomiast pozostałych ksiąg 18 od XIV w górę, miało za przedmiot lat tylko 25, zaledwie ćwierć wieku! Proporcja została w dziele bardzo poważnie zachwiana na korzyść czasów współczesnych. W jaki sposób broniłby autor takiej zasady konstrukcyjnej? Łatwo to odgadnąć:

– Czasy dawniejsze przedstawili już liczni inni historycy greccy i łacīńscy, zapewne udaciej. Pragnąłem dać tylko rodzaj wstępu i wprowadzenia do dziejów najnowszych, jeszcze nie opracowanych. O tych zaś sprawach jestem nieźle poinformowany, częściowo jako świadek naoczny. Również dla większości słuchaczy i czytelników kwestie to najbardziej interesujące.

To prawda. Lecz zarazem jak łatwo urazić osoby żyjące traktując o wydarzeniach wciąż jeszcze bliskich i aktualnych! Jeszcze działali, jeszcze mieli wpływy niemałe różni aktorzy tamtych dramatów sprzed roku 378; tym bardziej ich krewni oraz osoby z nimi związane. W tej sytuacji każde słowo i sformułowanie w księgach, przeznaczonych dla potomności, a także oczywiście każde pominięcie jakiejś postaci lub zasługi, musiało mieć swoją wagę – i swoje skutki dla oceny dzieła przez współczesnych.

Po trzecie wreszcie, stały przed Ammianem trudności natury formalnej, lecz nader istotne, bo językowe. Uznał on mianowicie, przystępując do pracy, że winien pisać nie w swej mowie ojczystej, nie po grecku, lecz właśnie po łacinie! Jakie przyczyny decyzji tak zastanawiającej? Czy kult rzymskości, wcale zrozumiały w przypadku kogoś, kto prawdziwie własną pierśią bronił granic Imperium? A może lęk, że pisząc po grecku nie sprostą wysokim wymagom artystycznym, jakie stawiali pisarstwu ówczesni retorzy helleńscy, wśród nich przede wszystkim sam Libaniusz? W każdym razie zamiar swój wykonał konsekwentnie. Chyba jednak nie był zadowolony z rezultatów pracy; stąd też w cytowanej wypowiedzi, w jej zdaniu ostatnim – a zarazem w ostatnim zdaniu całej *Historii*. – zachęta i rada pod adresem przyszłych dziejopisów, by przemawiali stylem wznioślejszym. A nam stylistyczna maniera Ammiana wydaje się aż nazbyt wzniosła, miejscami zaś tak sztuczna, że aż wyrafinowana, co uniemożliwia właściwe rozumienie tekstu. Bardzo chciałoby się wiedzieć, jak przyjmowali, jak oceniali tę łacinę rodowici Rzymianie. Jakie padały sądy w trakcie pierwszych odczytów i dyskusji? Czy tylko pochwalne? Nie brakło przecież wśród słuchaczy dobrych pisarzy, znających świetnie dawną literaturę i normy poprawności językowej, wyczulonych na smaki wysłowienia. Jedno z pewnością działało na korzyść Ammiana: panował wówczas manieryzm retoryczny, przypominający pod wielu względami późniejszy barok. Może więc podziwiano wysłowienie Ammiana jako szczególny okaz oratorskiego kunsztu? Może to, co wynikało z pewnej nieporadności i borykania się z obcością języka, oceniano jako nowe i zaskakujące rozwiązania formalne?

A gdyby zapytał ktoś, czemu poświęcamy tyle uwagi Ammianowi i jego dziełu, odpowiedź może być krótka i chyba wystarczająca. Jest to ostatni w starożytności wielki i samodzielny historyk Rzymu, a znaczną część swych ksiąg napisał i opublikował właśnie w latach ostatniej olimpiady.

## Rzym lat ostatniej olimpiady

Tak więc przybysz z Antiochii mieszkał długo w mieście nad Tybrem; zapewne też i prochy jego spoczęły w grobowcu przy którejś z dróg stamtąd wybiegających. Ale czy naprawdę żołnierz i historyk Imperium czuł się w jego stolicy tak, jak każe nam wierzyć retoryczny list Libaniasza? Czy istotnie spotykał się tam tylko z pochwałami i otoczony był powszechnym

podziwem? Czy jego pozycja w rzymskim środowisku rzeczywiście wydawała się tylko godna zawiści? Odpowiedzi na te pytania udzieli słowa samego Ammiana; spotkać je można wertując różne księgi *Historii*.

Żył on uwielbienie niemal religijne dla Rzymu jako kolebki i wciąż jeszcze formalnej stolicy państwa, które objęło wszystkie znane ówczesnie cywilizowane kraje i ludy. Czemu daje wyraz swym stylem patetycznym:

„Kiedy wśród pierwszych wróżb pomyślnych wyrastać zaczął ku blaskowi świata ów Rzym, co żył będzie tak długo, jak sama ludzkość, wtedy to Los i Męstwo, zazwyczaj sobie przeciwne, zawarły przymierze pokoju na wieki, pragnąc zapewnić mu rozwój świetny; gdyby bowiem zabrakło tej lub tamtej strony, Rzym nigdy nie osiągnąłby wielkości tak doskonałej”<sup>59</sup>.

Znamienne to wyznanie wiary w wieczność i niezniszczalność Imperium, które tak niedawno poniosło straszliwą klęskę pod Adrianopolem! Znamienne tym bardziej, że już za lat mniej więcej 20 – licząc od napisania owych słów, rzekomo proroczych – sama Roma aeterna miała ujrzeć w swych murach zdobywców barbarzyńskich, a jej świątynie i pałace miały paść ofiarą ich buty i grabieży. Ale zarazem jest to wyznanie niezmiernie pouczające dla wszystkich pokoleń późniejszych; także dla nas. Owszem, my wiemy, ale to my dopiero, że wtedy, w latach ostatniej olimpiady, kończyła się politycznie i kulturowo wielka epoka dziejowa. Współcześni wszakże – była o tym już mowa – raczej nie zdawali sobie sprawy ze znaczenia, ogromu i doniosłości przemian. Trwali w niezachwianym przekonaniu, że ustanowiony przez Rzym porządek jest nie do obalenia. Jego ruina wydawała się im równoznaczna z końcem świata ludzkiego; byłaby przecież równoznaczna z zagładą podstaw życia społecznego, wszelkiej organizacji, całego dorobku wieków minionych! Mieli rację, lecz tylko częściowo. Na szczęście bowiem byt i rozwój kultury wcale nie są zależne od istnienia wielkich mocarstw. Ważne jest coś innego; muszą znaleźć się ludzie, którzy wbrew wszystkiemu i w najmniej sprzyjających okolicznościach będą utrzymywać poczucie ciągłości, przekazując z pokolenia w pokolenie wiarę w sens pewnych wartości.

Podręczniki różnego typu często zaliczają wiek IV do okresu schyłku i upadku cesarstwa rzymskiego. Taki schemat periodyzacyjny jest może i dogodny ze względów czysto dydaktycznych, ale z prawdą historyczną niewiele ma wspólnego. Jest nawet wręcz niebezpieczny, same bowiem nazwy „schyłek” i „upadek” prowadzić muszą do skojarzeń w tym przypadku nie w pełni usprawiedliwionych. Tak zresztą bywa zwykle z wszelkimi próbami dzielenia nieprzerwanego biegu dziejów na dokładnie znaczone odcinki o nazwaniach skrótowych i umownych. Owszem, nikt nie przeczy, że zachodnia część cesarstwa miała już za lat kilkadziesiąt załamać się pod naporem brutalnej, fizycznej przewagi ludów barbarzyńskich; jest również faktem, że w ciągu samego wieku IV Imperium poniosło sporo dotkliwych klęsk militarnych. Z drugiej wszakże strony mówiąc właśnie i tylko o wieku IV nie wolno pod żadnym warunkiem ulegać sugestii naszej obecnej wiedzy o tym, co dopiero stać się miało! Nie wolno rzutować wstecz pewnych układów i ocen! Należy też stale pamiętać o sprawach najważniejszych:

W ciągu całego stulecia, u którego początku stoi Dioklecjan, a które zamyka Teodozjusz Wielki, Imperium stanowiło wciąż jeszcze potęgę ogromną. Armia jego, liczna, dobrze wyćwiczona i dowodzona, choć złożona w znacznym stopniu z ludzi obcego pochodzenia, potrafiła prowadzić skuteczne działania nie tylko obronne, lecz i zaczepne. Gospodarka wcale się nie załamywała, choć okresami przeżywała duże trudności, głównie skutkiem nadmiernego, a zarazem nieuniknionego wysiłku zbrojeniowego; lecz tak przecież dzieje się często, nie tylko w starożytności. Administracja działała sprawnie, z wyjątkiem oczywiście pewnych terenów pogranicznych w Europie, stopniowo ewakuowanych. Kultura, zwłaszcza w zakresie pi-

---

<sup>59</sup> Amm. Marc., H., 14, 6, l.

śmiennictwa, i to zarówno chrześcijańskiego, jak i pogańskiego, cechowała się bujnością oraz bogactwem formy i myśli. Szkoły różnego typu, uniwersytetów nie wyłączając, rozwijały się doskonale, gromadząc prawdziwe rzesze uczniów. Wszystkie większe miasta stały nienaruszone, pyszniąc się swymi wspaniałymi budowlami i tętniąc życiem. Nowa stolica, ta nad Bosforem, rosła nieustannie, dawna zaś jeszcze niczego nie straciła ze swego blasku, stroju i majestatu, niczego nie uрониła z mnogości pomników i zabytków. Trwały w całej swej okazałości rzymskie fora, bazyliki, świątynie, pałace, termy, teatry, akwedukty, zdobne bezlikiem rzeźb, marmurów, mozaik, obelisków, malowideł. Powstawały też pierwsze okazałe kościoły zwycięskiej religii. Nawet przybysze z największych i najwspanialszych miast Wschodu nie mogli ukryć swego olśnienia Rzymem. O tym, jakie wrażenie wywierało jeszcze wtedy to miasto na każdym, kto widział je po raz pierwszy, świadczą dobitnie słowa Ammiana, odmalowujące pobyt cesarza Konstancjusza w Rzymie wiosną roku 357. Pozornie mówią one tylko o pełnej entuzjazmu reakcji władcy, który dotychczas nigdy w stolicy swego państwa nie był, znał ją tylko z opisów, w istocie jednak są również wyrazem tego, co odczuwał sam autor:

„Wkroczył więc do Rzymu, owej świątyni całego Imperium i cnót wszelkich. Kiedy zaś znalazł się przy mównicy, która jest najznamienitszą trybuną dawnej potęgi, stanął wręcz oniemiały z zachwytu. I w którą tylko stronę zwracał oczy, zewsząd olśniewała go mnogość rzeczy cudownych”<sup>60</sup>.

Następnie historyk wymienia najważniejsze z owych wspaniałych zabytków, które wtedy oglądał cesarz, w pośpiechu i pobieżnie, a które później on sam podziwiał i kontemlował spokojnie, mieszkając tu lat tyle – nim jeszcze zniszczyły tę „głowę Imperium” rabunki barbarzyńców, ogólne zubożenie państwa i obywateli, niechęć i pogarda chrześcijan dla świątyń „demonów”. Oto budowle, w tej kolejności, w jakiej Ammian je wylicza, i z tymi opisami, jakie im przydaje:

Przybytek Jowisza na Kapitolu. Łaźnie, obszarem swym dorównujące całym prowincjom. Ogromny amfiteatr, czyli Koloseum, zbudowany z potężnych głazów, a wysokości takiej, że wzrok zaledwie sięga górnego obrzeża. Panteon, stanowiący sam dla siebie jakby dzielnicę kolistą, zwieńczony kopułą kształtną i wyniosłą. Strzeliste kolumny; na ich górne platformy, gdzie stoją posągi dawnych cesarzy, wspiąć się można po schodach. Forum Pokoju. Teatr Pompejusza. Odeon. Stadion Domicjana. Forum Trajana.

Ten ostatni zespół budowli był z pewnością ulubionym miejscem Ammiana w nadtybrzańskie stolicy, bo tak o nim pisze:

„Gdy cesarz przyszedł na Forum Trajana – a jest to budowla nie mająca sobie równej pod całym niebem; jak mniemam, nawet bogowie uznają, że godna ona podziwu! – stanął jak rażony. Uważnie tocząc wzrokiem wokół oglądał obwód gigantycznej konstrukcji. Opisać się jej słowami nie da i nigdy już śmiertelni nie będą mogli wznieść czegoś podobnego”<sup>61</sup>.

Co pozostało do naszych czasów z owych wszystkich budowli? Zarys fundamentów świątyni Jowisza. Resztki niektórych łaźni. Część Koloseum. Przebudowany Panteon. Dwie kolumny, Marka Aurelego i Trajana, ale bez posągów. Plac na miejscu stadionu Domicjana. Szczątki i fragmenty Forum Trajana; te pozwalają wprowadzić plan ogólny, nie dają jednak żadnego wyobrażenia o wspaniałościach zespołu budowli, które wzbudzały powszechny zachwyt jeszcze w drugiej połowie wieku IV, uchodząc za prawdziwy klejnot architektury światowej, i to w oczach ludzi tak dobrze znających ogromne metropolie Wschodu, jakimi byli i Konstancjusz, i Ammian.

Pobyt Konstancjusza w Rzymie historyk opisał dokładnie, korzysta jednak przy tym z cudzych relacji ustnych i pisanych. On sam świadkiem tego wydarzenia nie był i być nie mógł; służył przecież wówczas w wojsku. Natomiast z całą pewnością osobiście i uważnie śledził wszystkie etapy rzymskiej wizyty cesarza Teodozjusza. Ten przebywał w stolicy od dnia 13

<sup>60</sup> Amm. Marc., H., 16, 10, 13.

<sup>61</sup> Amm. Marc., H., 16, 10, 15.



czerwca do 30 sierpnia roku 389, Ammian zaś osiadł tu już od dawna. Całe miasto przez prawie trzy miesiące żyło tylko sprawą obecności władcy. I to już od momentu triumfalnego jego wjazdu wraz z zaledwie kilkuletnim synem młodszym, Honoriuszem; został on celowo i pospiesznie sprowadzony aż z Konstantynopola, Teodozjusz bowiem chciał wyraźnie pokazać swym poddanym, kto będzie w przyszłości ich panem. Któż zdawał sobie wówczas sprawę, patrząc na małego chłopca w ciężkich, złocistych i purpurowych szatach, że stanie się on władcą Zachodu już za lat sześć? Któż mógł przewidzieć, że to on właśnie rozpocznie ciąg odrębny jego cesarzy, aż po tak już bliski kres samodzielnego bytu politycznego tej części Imperium? Przecież to zaledwie za lat 87 miał zostać złożony z tronu ostatni jego następca, co potomność uznała za kres świata antycznego. W roku 389 witano Teodozjusza i jego synka entuzjastycznie. Podziwiano przepych dworu, oręż i postawę oddziałów przybocznych, patrzono z dumą na pochód, symbolizujący potęgę Imperium. A przecież ogromna większość widzów miała za lat 21 przeżyć już pod rządami Honoriusza grozę najazdu Gotów na stolicę cesarstwa!

Ammian nie wspomina ni słowem o wjeździe i pobycie Teodozjusza, albowiem wykraçało to poza ramy chronologiczne, jakie sobie w swym dziele zakreślił; przedstawiał przecież historię Imperium tylko do roku 378. Ale kto wie, może pewne elementy i sceny tej wizyty cesarskiej, którą sam obserwował, zużytkował później przy opisie tamtej, której znać nie mógł? A dla nas tak ważna, tak interesująca byłaby szersza i wiarogodna relacja o tym, co czynił tu i jakie wrażenia odniósł właśnie Teodozjusz! Tymczasem skazani jesteśmy na informacje fragmentaryczne i pośrednie.

Wydaje się, że Teodozjusz, podobnie jak przedtem Konstancjusz, nigdy dotychczas stolicy Imperium nie widział; na pewno zaś nigdy w niej nie był jako cesarz. Chyba i on, zawsze pełen serca i pietyzmu dla wielkiego dziedzictwa przeszłości Imperium, uległ olśnieniu, oglądając zabytki. Wyczytać to można pośrednio z pewnej ustawy, jaką wydał w kilka miesięcy później. Nazywa w niej Rzym z widocznym szacunkiem „Urbs aeterna”, miastem wiecznym, i zaleca bardzo sensownie, by raczej restaurować tam dawne budowle, a nie wznosić na koszt państwa nowych i zbytecznych; jeśli zaś któryś z urzędników zaczął budować bez wiedzy i zgody cesarza, zużywając na to środki skarbowe, będzie musiał zwrócić wszystkie koszty oraz zapłacić tytułem grzywny 10 funtów złota<sup>62</sup>. Wiadomo również, że Teodozjusz – podobnie jak niegdyś Konstancjusz – zachował się nader pojednawczo w stosunku do starych, pogańskich rodów arystokratycznych. Odwiedzał wielkich panów w ich pałacach. W senacie mowę na jego cześć wygłosił w imieniu prowincji galijskich poganin Pakatus i wkrótce potem objął namiestnictwo Afryki. Znany nam już żarliwy poganin Cejoniusz Albinus właśnie w czerwcu otrzymał urząd prefekta miasta, który miał piastować aż do lutego roku 391. Wszystkie te fakty są nader wymowne.

Była to nie tylko pierwsza, ale i ostatnia wizyta cesarza Teodozjusza w Rzymie. Wprawdzie niektóre źródła starożytne wspominają o jakiejś krótkiej jego bytności w tym mieście jesienią roku 394, wydaje się wszakże z różnych względów, że to pomyłka. Skoro zaś w tej książce przykładamy pewną wagę do wskazywania i uwypuklania różnych związków symbolicznych, przypomnijmy i to: latem roku 389, kiedy ostatni cesarz rzymski, władający Imperium niepodzielonym, zwiedzał Rzym po raz jedyny za swego panowania, w Olimpii nad Alfejosem odbywały się igrzyska, liczone jako 292; otwierały one zarazem okres ostatniej olimpiady świata starożytnego.

Dla Konstancjusza i dla Teodozjusza, podobnie jak i dla Ammiana oraz wszystkich myślących ludzi tamtej epoki, Rzym był czymś znacznie więcej niż zespołem zabytków, choćby i najświetniejszych; stanowił mianowicie widomy symbol i ośrodek wielkiej, spełnionej, zwycięskiej misji dziejowej. Roma – tak określa to historyk – ugięła niegdyś pyszne karki dzikich

---

<sup>62</sup> C Th XV 1, 27

ludów i ustanowiła prawa, ów fundament i wieczną gwarancję wolności. Potem przekazała całe dziedzictwo cesarzom, niby matka synom. Ale i tak jeszcze – Ammian powiada to z nieukrywaną dumą i satysfakcją – uznaje się po wszystkich krajach i ziemiach, że ona jest panią i królową; wszędzie też otacza się szacunkiem autorytet i siwiznę senatorów, samo zaś imię ludu rzymskiego budzi cześć głęboką<sup>63</sup>.

Jednakże obok tych wypowiedzi pełnych uwielbienia, niemal egzaltowanych, znajdziemy też w księgach Ammianowych znacznie częstsze wyrazy potępienia; co prawda nie samego miasta, lecz jakiejś bliżej nie określonej garstki jego mieszkańców. Rzekomo tylko garstki; w istocie wszakże krytyka, i to ostra, wręcz bezlitosna, obejmuje wszystkie warstwy i stany ówczesnych rzymian.

## Rzymianie lat ostatniej olimpiady

„Wspaniały jest blask społeczności, obraża go wszakże nieokiełzana lekkomyślność nie licznych jednostek. Są bowiem tacy, co nie zważając wcale, gdzie się urodzili, staczają się ku błędom i rozpuciu, jakby grzechom dano tu pełną swobodę”.

Po tym wstępnym, surowym osądzie, godnym ust każdego kaznodziei chrześcijańskiego, daje Ammian długi katalog wszelkich przywar, występków i zbyteków obywateli Rzymu; okazuje się, że obserwator to bystry, lecz niezycliwy swym współmieszkańcom. Warto przełądnąć choćby tylko pobieżnie, choćby skrótowo ów przedziwny rejestr! Nie znajdziemy przecie¿ nigdzie, u ¿adnego autora staro¿ytnego, tak pełnego, tak barwnego, jakkolwiek i jawnie złośliwego oraz przesadnie ponurego obrazu ¿ycia w stolicy Imperium u schyłku wieku IV, w latach ostatnich olimpiad.

Jedni s¿ przekonani – powiada nasz autor – ¿e przejd¿ do wiecznoœci, jeœli otrzymaj¿ po-s¿¿; tote¿ usilnie zabiegaj¿ o ten zaszczyt. Inni ca¿¿ swoj¿ chwa¿¿ upatruj¿ w powozach, wy¿szych ni¿ zwykle, oraz w szatach bardzo kosztownych, nak¿adanych jedna na drug¿, spi¿tych pod szyj¿, haftowanych w r¿óżnobarwne wzory. Jeszcze inni wci¿¿ sumuj¿, cho¿ nikt o to nie pyta, roczne dochody ze swych maj¿tków, kt¿re ci¿gn¿ si¿ od krain zachodnich po wschodnie. A co rzec o ¿ar¿oczoœci przy ucztach i o pon¿tach przer¿o¿nych rozkoszy!

A oto scena odmalowana wprost z ¿ycia:

„Niek¿t¿rzy lubuj¿ si¿ w przeja¿d¿kach po brukowanych ulicach rozleg¿ego miasta. P¿d¿¿ przed siebie nie zwa¿¿¿ na nic i jeszcze bod¿ rumaki ognistymi, jak si¿ to mówi, stopami, niby je¿d¿cy poczty paŃstwowej. Za sob¿¿ ci¿gn¿ ca¿¿ zast¿py s¿¿¿by jakby rozb¿jnicze bandy, nie pozostawiaj¿ w domu nikogo. Naœladuj¿ ich niekt¿re panie. Te ka¿¿ si¿ obnosi¿ po wszystkich dzielnicach miasta. Sied¿¿ z zakrytymi twarzami w zas¿loni¿tych lektykach, a prze¿o¿eni nad ich s¿¿¿b¿¿¿, ¿atwi do rozpoznania dzieki r¿¿zgom, kt¿re dzier¿¿ w prawicach, komenderuj¿ d¿ugimi orszakami. Najpierw kroczy ca¿¿ warsztat przed¿alniczy. Za nim kucharczyki. Potem reszta s¿¿¿by, przemieszana z pr¿¿zniaczym posp¿łstwem z s¿siedztwa. Wreszcie rzesza eunuchów, poczynaj¿ od starców, a koŃcz¿¿ na ch¿łopcach; a s¿¿ to istoty blade i niekszta¿lne skutkiem zdeformowania postawy. Patr¿¿¿ na zast¿py kalek musi si¿ przeklina¿ imi¿ staro¿ytniej kr¿ólowej Semiramidy; ona to bowiem wprowadzi¿¿ kastrowanie m¿łodych ludzi”.

Ka¿dy, kto czyta te s¿łowa, domyœli si¿ ¿atwo, ¿e ostrze ich skierowane jest przeciw warstwom najmo¿niejszemu, w tym tak¿e przeciw stanowi senatorskiemu. Ka¿dy te¿ czytelnik odgadnie bez trudu, jakich to kompleksów nabawi¿ si¿ autor w trakcie swego pobytu w Rzymie. Nie m¿g¿ ani marzy¿ – on, dzielny oficer i zas¿¿¿ony pisarz! – by przyznano mu nagrod¿ w postaci wzniesienia na koszt publiczny i ustawienia w miejscu honorowym pos¿gu z pi¿knie brzmi¿¿ym napisem. Nie mia¿ ani powozu, ani szat kosztownych, ani te¿ wielkich posiad¿loœci

<sup>63</sup> Amm. Marc., H., 14, 6, 5–6.

i roju służby, nie wydawał wspaniałych przyjęć; a to przede wszystkim – lub nawet może tylko to – liczyło się tutaj. Natomiast narażony był, jako człowiek chyba zaledwie średnio zamożny, na wszelakie upokorzenia. Poczynając od tego, że trzeba było przezornie usuwać się na bok, kiedy pędził po ulicy zaprzęg wielkiego pana lub niesiono lektykę damy, otoczoną rojem służby i gawiedzi. Nie dość na tym! Spotykały Ammiana jeszcze inne nieprzyjemności, prawdziwie godzące w jego dumę osobistą. Można się tego domyślać napotykJąc takie słowa:

„Jeśli ty, zacny cudzoziemcze, odwiedzisz po raz pierwszy kogoś bogatego i z tej racji nadętego, zostaniesz przyjęty z otwartymi ramionami. Gospodarz będzie cię wypytywał o wszystko, do kłamstwa nawet zmusi. Sam będziesz się dziwił, dlaczego to ciebie właśnie, dotychczas zupełnie tu nieznanego, z taką rewerencją podejmuje ktoś tak znakomity. Ba, wspomnisz sam sobie, żeś nie przyjechał do Rzymu już przed dziesięciu laty! Ale jeśli zaufasz tej przystępności i przyjdiesz do tegoż domu nazajutrz, utkwisz w kącie nie poznany przez nikogo, jak zwykły natręt. Gospodarz, który jeszcze wczoraj zachęcał cię do częstych wizyt, będzie długo się zastanawiał, ktoś ty zasz i skąd właściwie się tu wziąłeś. Założmy jednak, że ponownie uzna cię za przyjaciela! Otóż gdybyś przez trzy lata nieprzerwanie składał tam codzienne wizyty, potem zaś przestał bywać przez takiż sam okres, nikt się nawet nie zainteresuje, nikt nie zapyta, jeśli zjawisz się ponownie, co to działo się z tobą przez czas tak długi.

Niekiedy ktoś przygotowuje przyjęcia, długie i szkodliwe dla zdrowia, albo też rozdawnictwo paczek z podarunkami. Najpierw więc rozważa troskliwie, czy wypada zaprosić kogoś obcego – oczywiście prócz tych osób, którym należy się wzajemność. Jeśli po gruntownym przemyśleniu sprawy uzna to za wskazane, kogóż wybierze? Człowieka, co sypia przed domami woźniców cyrkowych; szulera, który posiadał arkana gry w kości; kuglarza, udającego, że zna tajniki magii. Natomiast ludzi wykształconych i rozumnych unika się jako bezużytecznych i przynoszących nieszczęście”.

Wydaje się, że w sposób szczególnie bolesny zapisał się w pamięci Ammiana rok 384, kiedy to, jak relacjonuje historyk, doszło do niebywałego skandalu. „Postanowiono mianowicie usunąć z miasta ludność napływową, zaczęły się bowiem poważne trudności z zaopatrzeniem w żywność. Wypędzono więc, i to bezzwłocznie, przedstawiciele nauk wyzwolonych, choć było ich niewielu, garstka zaledwie. Pozwolono natomiast pozostać osobom towarzyszącym aktorom scenicznym; i to zarówno należącym do obsługi, jak też tylko podającym się czasowo za takie. Tak więc mogły przebywać tu nadal tancerki w liczbie aż trzech tysięcy wraz ze swymi chórami i nauczycielami; nikt ich więcej nie zaczepił. Toteż gdzie tylko oczy zwrócisz, widzisz tutaj kobiety w wysokich fryzurach z lokami, aż do obrzydzenia wycierające posadzkę stopami, gdy szybko zataczają koła; usiłują bowiem ruchami wyrazić niezliczone sceny, zmyślone w sztukach scenicznych. A ileż to z owych niewiast mogłoby, gdyby za mąż wyszły, mieć już po troje dzieci!”

Czy również i Ammiana usunięto na czas jakiś ze stolicy wtedy, gdy głód jej groził? Takie przypuszczenia wysuwają dziś niektórzy badacze, uważając pasję, jaka przebija z cytowanej wypowiedzi, za oczywisty tego dowód. Może jednak represje administracyjne dotknęły nie jego osobiście, lecz przyjaciół i bliskich? Tak czy inaczej, trudno nie wyczuć głębokiego żalu w dalszych słowach:

„Niegdyś, gdy Rzym był rzeczywiście przybytkiem cnót wszelkich, wielu spośród znakomych panów tutejszych zatrzymywało przy sobie więzami różnych uprzejmości wolno urodzonych przybyszów – jak owi homerowi Lotofagowie czynili to samo słodyczą owoców. Obecnie wszakże nadęta pycha niektórych osób uważa za godne tylko pogardy wszystko, co się zrodziło poza granicami miasta. Chyba że chodzi o ludzi bezdietych lub nieżonatych. Rzecz to bowiem wprost niewiarogodna, jak zabiega się w Rzymie o względy tych, co potomstwa nie mają!”<sup>64</sup>

---

<sup>64</sup> Amm. Marc., H., 14, 6–21 (wyjątki).

Wszystkie przytoczone dotychczas wypowiedzi pochodzą z księgi XIV *Historii*, powstałej wkrótce właśnie po roku 384. Może więc chodzi o upust chwilowej niechęci, wyrosłej gwałtownie pod wpływem niewątpliwie przykrego doznania, jakim była sama obserwacja polityki władz miejskich wobec przybyszów? Lecz nie! Ammian powraca do tejże tematyki „anty-rzymskiej” również w księdze XXVIII, napisanej przecież w kilkanaście lat później. Daje znowu wyraz swej wręcz obsesyjnej antypatii do mieszkańców stolicy, zwłaszcza do tych z warstw najbogatszych. I znowu kreśli ostrym, jadowitym piórem satyryka cały szereg scen obyczajowych i obrazków wziętych wprost z życia – z ulicy, z term i pałaców.

Oto wielmoża, odziany w lśniące szaty jedwabne, kroczy otoczony tłumem służby, wśród hałasu i zamieszania. Kiedy tylko znajdzie się w sklepionych salach łaźni, zaczyna pokrzykiwać groźnie: A gdzież to podzieli się moi?! – choć ma przy sobie pięćdziesięciu ludzi. Lecz oto gruchnęła wieść, że zjawiła się jakaś nie znana tu dotychczas prostytutka lub dziewczka, co przyjechała z miasteczka, gdzie mógł ją mieć każdy. Dostojni panowie biegną ku niej na wyścigi, wdzięczą się i wynoszą pod niebiosa szpetnymi pochlebstwami starą ladacnicę – niby dawni mieszkańcy Wschodu swoją Semiramidę, niby Egipcjanie Kleopatę lub Palmireńczycy Zenobię. A postępują tak ludzie, których przodków cenzor piętnował, jeśli się ośmielili w obecności córki ucałować własną żonę!

Jakże zaś wyglądają sceny wzajemnych powitań? Gdy spotka się dwóch piersią w pierś, całują się, odwracają jednak przy tym głowy niby byki, co bodą. Pochlebcom dają do ucałowania kolana lub ręce, uważając to za zaszczyt i pełnię szczęścia dla wyróżnionego. Są też przekonani, że aż nazbyt uprzejmie traktują cudzoziemca, jeśli zapytają, z jakich to korzysta łaźni lub wód i w jakim zatrzymał się domu.

Często nawiedzają ich pałace próżniacy gadatliwi, pochlebczo przyklaskując każdemu słowu możnego pana, na wzór i podobieństwo owych pieczeniarzy, tak wyśmiewanych w dawnych komediach. Zachwycają się strzelistością kolumn podtrzymujących wyniosłe fasady oraz ścianami, co błyszczą wykładziną z kamieni o starannie dobranych kolorach. W trakcie zaś uczt wciąż wołają, by przyniesiono wagę; badają bowiem starannie, jaki to ciężar mają najokazalsze z serwowanych ryb i ptaków, nieustannie pokrzykując, że to coś niezwykłego, nigdy dotąd niespotykanego; a cały zastęp sekretarzy wszystko to skrzętnie notuje. Lecz jeśli niewolnik poda wodę gorącą nie w porę, otrzyma batów trzysta. Co prawda, jeśliby zabił kogoś z rozmysłem i zewsząd podnosiły się głosy, żądające, by śmiercią za to zapłacił, jego pan odpowie: A cóż ma robić ten nicpoń, znany ze swej podłości? Niech no tylko odważy się raz jeszcze na coś podobnego, wtedy go ukarzymy!

Szlachetni panowie niechętnie opuszczają miasto. Jeśli wyjadą nieco dalej, by oglądnąć swe ziemie lub zapolować – ale przy polowaniach oczywiście nie oni się trudzą! – wystarczy to, by uważali, że dorównali wyprawom Aleksandra Wielkiego lub Juliusza Cezara. Jeśli zaś odbędą przejażdżkę ozdobnie malowanymi łodziami z jeziora Avernus do Puteoli, mniemają, że to prawdziwie żegluga po złote runo; zwłaszcza jeśli odważyli się na podróż w upalnej porze roku. Ileż to narzekań i biadań, że się nie urodziło gdzieś na dalekiej północy, kiedy jakaś muszka mimo złocistych frędzli wachlarza usiadzie na szacie jedwabnej lub kiedy promyczek słońca przedrze się przez szparkę ocieniającej zasłony! Lecz oto ktoś inny wychodzi z łaźni lub z kąpieli zdrowotnej. Zaledwie się wynurzy, sięga po najdelikatniejsze ręczniki lniane i nimi się wyciera. Potem otwiera skrzynie i przepatruje uważnie szaty, co błyszczą zmiennym blaskiem; nosi się owe szaty wszystkie naraz, a wystarczyłoby ich dla odziania jedenastu ludzi. Gdy wreszcie wybierze jakieś i nimi się obwinie, nakłada pierścienie (oddał je przedtem słudze, by nie zniszczyła ich woda) i odchodzi krokiem jakby mierzonym.

Główne zainteresowania ludzi tej warstwy, główne zajęcia? Polowanie na spadki. Gra w kości. Studium astrologii. A jest wśród nich wielu, co przeczą istnieniu mocy wyższych w niebie; ale ci sami nie odważą się wyjść z domu, zjeść śniadania lub wziąć kąpieli, póki nie przejrzą dokładnie kalendarza astrologicznego i nie stwierdzą, gdzie w danej chwili znak

Merkurego albo też jaką część Koziorożca zajmuje księżyc w swej wędrówce sferycznej<sup>65</sup>.

Albowiem – to znowu cytat z księgi XIV – „nieliczne domy, niegdyś tak sławne z kultuwowania poważnych zainteresowań, obecnie nurzają się w igraszkach otepiałego lenistwa; rozbrzmiewają tylko śpiewami i pobrękiwaniem gitar. Miejsce filozofa zajął piosenkarz, retora zaś zastąpił nauczyciel sztuczek zabawnych. Biblioteki zamyka się na wieki niby grobowce. Sporządza się za to organy wodne, liry wielkości wozów, flety, wszelaki sprzęt aktorski”<sup>66</sup>.

Lecz bezwarunkowo pierwsze miejsce w sercach, umysłach i rozmowach rzymian zajmowały cyrkowe wyścigi rydwanów; pasjonowały one zarówno senatorów, jak i lud prosty.

## Plebs i widowiska

Jak żyło i czym się zajmowało rzymskie pospólstwo? Odpowiedź, jakiej na to pytanie udziela Ammian, jest równie barwna, lecz zarazem złośliwie przesadna, jak portret warstwy senatorskiej.

„Jeśli chodzi o ciżbę ubogich najpośledniejszą, to niektórzy z nich nocują po tawernach, gdzie wino się sprzedaje. Inni kryją się w cieniu zasłon rozciąganych nad widownią teatrów. Albo też dzielnie się spierają grając w kości, przy czym wydają wstętne odgłosy, wciągają bowiem chrapliwie oddech przez nozdrza. Albo wreszcie – i to jest przedmiotem najwyższej pasji ich wszystkich – od brzasku dnia aż po sam wieczór męczą się w upale lub deszczu, szczegółowo roztrząsając zalety i wady woźniców oraz koni. Wielce to zdumiewające: patrzeć na nieprzejrzone masy ludzi, których umysły ogarnął jakiś szal, gdy oczekują w napięciu wyniku wyścigu rydwanów”<sup>67</sup>.

To z księgi XIV. A w księdze XXVIII autor raz jeszcze porusza ten sam temat:

„Zajmijmy się obecnie plebem próżniaczym i leniwym! Błyszczą wśród niego jako posiadacze pięknych nazwisk tacy, co butów nie mają. Wszyscy oni całe swe życie poświęcają winu, grom, spelunkom, przyjemnościom i widowiskom. A świątynią dla nich, domem, miejscem zgromadzeń, nadzieją wszystkich marzeń, jest Cyrk Wielki. Można więc ujrzeć na forach, na skrzyżowaniach, na ulicach i placach liczne gromadki ludzi skłóconych i w sprzeczkach wzajem się wyzywających, każdy bowiem, jak to zwykle bywa, broni innego zdania; ci zaś spośród nich co żyli do przesyty, mając obecnie autorytet długowieczności, krzyczą i zaklinają się na swe siwe włosy, że państwo musi runąć, jeśli ten a ten zawodnik w czasie przyszłych zawodów nie ruszy z miejsca jako pierwszy i nie zatoczy ostrego łuku swymi przeklętymi końmi. Panuje w tym mieście zgnilizna nieróbstwa, lecz gdy tylko zaświta upragniony dzień igrzysk i nim jeszcze pokaże się czysta tarcza słoneczna, wszyscy tłumnie spieszą na łeb na szyję, tak że chyżością swoją wyprzedziliby nawet owe rydwany, co mają stanąć do wyścigów. A większość z nich spędza przedtem noce bezsenne, trwożąc się o wyniki zawodów i niepewna swych nadziei.

Kiedy zaś stamtąd udadzą się na kiepskie przedstawienia teatralne, aktor sceniczny, który nie zjedna sobie pieniędzmi marnego pospólstwa, zostanie wypędzony gwizdami. A jeśli nawet nie ma takiego hałasu, podniosą się krzyki, że wszystkich obcych trzeba precz wygnać. Ohydne te głosy i głupie, boć przecie tylko i właśnie dzięki obcym oni sami stali i stoją. Jakże to dalekie od tego, czym się pasjonował i w jaki sposób wolę swoją objawiał plebs starożytny; tradycja przekazała nam jego powiedzenia liczne i dowcipne! Pragnąc dać wyraz szczególnie mocny głośnym pochwałam wynaleziono ostatnio coś zupełnie nowego. Oto w trakcie każde-

<sup>65</sup> Amm. Marc., H., 28, 4, 8 – 19 (wyjątki).

<sup>66</sup> Amm. Marc., H., 14, 6, 18.

<sup>67</sup> Amm. Marc., H., 14, 6, 25–26.

go widowiska ludzie wyznaczeni do oklaskiwania wznoszą ustawicznie okrzyki na cześć nie tylko pogromcy zwierząt, woźnicy, aktorów wszelkiego rodzaju, lecz także urzędników stopni wyższych i niższych; ba, matron nawet. Okrzyk zaś jest taki: Niech tamci uczą się od ciebie! Co prawda nikt nie potrafi powiedzieć, czego to należy się uczyć<sup>68</sup>.

## Młyny i lupanary

Złośliwy to obraz życia w Rzymie u schyłku wieku IV, zniekształcony wręcz karykaturalnie! A przecież, jeśli się zastanowić, nawet i on wzbudzić może przekonanie, że stali mieszkańcy stolicy, choć tak niesympatyczni i wprost odpychający w swym zachowaniu i w obyczajowości, mieli w gruncie rzeczy idealne warunki beztrudnego bytowania. I to zarówno ci najbogatsi, jak i najubożsi. Spędzali wszystkie dni w mieście pięknym i pełnym wszelkich udogodnień, leniwie i próżniaczo, nie interesując się ani polityką, ani gospodarką, ani też nauką lub sztuką; jedyne, co zajmowało ich naprawdę, to igrzyska, teatry, winiarnie, gry hazardowe. Pracować – to zdaje się wynikać jasno ze słów Ammiana – nikt tam ani nie chciał, ani nie musiał.

Tak dobrze wszakże nie było i być nie mogło. To prawda: stolica Imperium nie stanowiła żadnego wielkiego ośrodka produkcyjnego, nawet w zakresie wytwórczości rzemieślniczej (czym bardzo się różniła, jak o tym będzie jeszcze mowa, od Aleksandrii); Rzym nastawiony był głównie konsumpcyjnie. Ale przecież i tutaj ktoś musiał wykonywać uciążliwe prace usługowe, niezbędne dla egzystencji każdej dużej zbiorowości ludzkiej. Trzeba było obracać koła młyńskie (napędu wodnego nie znano), wypiekać chleb, rozwozić towary, ogrzewać i oczyszczać łaźnie, dbać o wodociągi, restaurować mury i domy, ulepszać drogi. Najniższe z tych czynności spychano częściowo na niewolników i wyzwolenców, częściowo zaś na skazańców. Ale i tak nieustannie brakowało rąk do pracy, zwłaszcza do tej najgorszej; brakowało w mieście tak ludnym i bogatym! Właśnie z tej przyczyny groziły tu obcym i niedoświadczonym przybyszom przeróżne niebezpieczeństwa. Pouczająco i barwnie opowiada o tym tylekroć już wspominany Sokrates, historyk Kościoła. W związku mianowicie z rzymską wizytą cesarza Teodozjusza w roku 389 – była o niej mowa – wzmiankuje o dwóch plagach, jakie dręczyły wówczas miasto, a zostały usunięte rzekomo przez tego władcę<sup>69</sup>.

Istniały w Rzymie ogromne młyny i piekarnie, umieszczano je wszakże skrycie w dolnych podziemnych kondygnacjach budynków; przy ulicy natomiast znajdowały się gospody, w których przesiadywały prostytutki. Toteż zaglądało do gospód wielu, a zwłaszcza nieświadomi rzeczy cudzoziemcy; jedni, by coś kupić, drudzy zaś by się wesoło zabawić. Lecz w środku czyhała groźna zasadzka; tajemne urządzenie sprawiało, że niejeden z gości wpadał wprost do suterenu, gdzie zapędzano go do ciężkiej i ustawicznej pracy przy młynie. I zwykle nie mógł już opuścić miejsca swej karni aż do późnej starości; a tymczasem rodzina dawno go oplakała i zapomniała, uznając za zmarłego, za zaginionego bez wieści! Otóż właśnie podczas pobytu Teodozjusza taka przygoda spotkała któregoś z jego żołnierzy. Ten wszakże miał przy sobie sztylet, był silny i zręczny; zdołał się uwolnić i wydostać na górę, kładąc po drodze trupem kilku napastników. Wszystko więc rozegrało się jak we współczesnym romansie lub filmie awanturnym! Rzecz oczywiście nabrała rozgłosu. Kolegium piekarzy cesarz obłożył grzywną, a owe pełne pułapek budynki rozkazał zburzyć do fundamentów.

Nie trzeba udowadniać, że w tej formie relacja nie zasługuje na całkowite zaufanie. Przypadki łowienia ludzi, choć na pewno zdarzały się tu i ówdzie (lecz przecież nie tylko w samym Rzymie, i nie wyłącznie w starożytności!) miały charakter sporadyczny; w każdym zaś razie nie dałoby się uprawiać podobnego procederu dłużej w tym samym rejonie jednego mia-

<sup>68</sup> Amm. Marc., H., 28, 4, 29–33.

<sup>69</sup> Sokr., H.k., V 18.

sta. Można mimo to stwierdzić, że jest w tej historyjce przynajmniej ziarno prawdy; tyle że sprawę jednostkową rozdepto i uogólniono. Natomiast do dziedziny niemal czystej fikcji, i to poczętej w wyobraźni perwersyjnego erotomana, zaliczyć wypada Sokratesową opowieść o rzekomej drugiej pladze ówczesnego Rzymu. Twierdzi mianowicie historyk, że istniał tam taki obyczaj: mężatki schwyte na cudzołóstwie zamykano za karę w lupanarze (czyli w domu publicznym), gdzie musiały odpowiednio pracować, a system przemysłnych brząkałek, dźwięczących przy każdym ich ruchu, głośno obwieszczał hańbę – ku uciesze gawiedzi. Otóż dopiero Teodozjusz zniósł tę wstrętą praktykę.

Prawie wszystko polega tu na zmyśleniu. Pomieszano mianowicie różne sprawy i na do-datek przydano im wręcz pornograficzną, a raczej pornofoniczną, otoczkę. Należy przede wszystkim przypomnieć, że mężatce, która zdradziła męża, groziły kary rzeczywiście surowe: według dawniejszych ustaw rzymskich wygnanie oraz przepadek części majątku i całego posagu (albo i chłosta), według zaś późniejszych, a zwłaszcza tych, które wydawali cesarze chrześcijańscy od Konstantyna Wielkiego poczynając – śmierć. Jest to zresztą przykład dobrze znanego zjawiska, jakim była odmienność postaw świata pogańskiego i chrześcijańskiego wobec spraw erotyki; ten pierwszy cechował się pewną pobłażliwością i liberalizmem, drugi natomiast bezwzględną surowością. Owszem, w praktyce niekiedy skazywano kobiety w Rzymie „do lupanaru”, ale to zdarzało się w czasach odleglejszych i za innego rodzaju przewinienia – ich samych lub też członków najbliższej rodziny.

Ktoś zdziwi się może, że przytaczamy tu i omawiamy opowiastkę błahą, jawnie zmyśloną. A przecież rzecz to nader interesująca, wręcz znamienita: przecież uznał za wskazane przekazać ją potomności historyk Kościoła, człowiek stale mieszkający w Konstantynopolu! Zastanowić się warto, jaki cel mu w tym przyświecał. Chyba podwójny. Po pierwsze, pragnął unocnić swym chrześcijańskim czytelnikom, jakie to okropności działy się do niedawna w tamtej stolicy Imperium, wciąż jeszcze mocno pogańskiej – przynajmniej w warstwach wyższych. Po drugie, chciał wykazać, że dopiero cesarz przybyły z Konstantynopola, władca oddany nowej stolicy nad Bosforem, zdołał położyć kres hańbiącym zbrodniom i występkom nad Tybrem, sami bowiem Rzymianie poradzić sobie z nimi nie potrafili.

W każdym zaś razie przyznać trzeba, iż Rzym tamtych czasów nie miał szczęścia do historyków; przecież równie nieżyczliwe świadectwo wystawiał mu chrześcijanin Sokrates, jak i poganin Ammian Marcellinus.

## **Ammian i arystokraci**

Lecz nieuprzedzony czytelnik musi wreszcie zapytać: Jeśli rzeczywiście tak źle było Ammianowi w mieście nad Tybrem, czemu to czym prędzej nie porzucił owego ludu, pełnego przywar obrzydłych? Przecież cały świat rzymski stał otworem przed nim, byłym oficerem i człowiekiem wykształconym! Mógł chyba powrócić w każdej chwili do rodzinnej Antiochii, by cieszyć się przyjaźnią Libanusa oraz swych dawnych znajomych. Mógł równie dobrze osiąść w Aleksandrii, którą tak wychwalał jako wciąż jeszcze kwitnący przybytek rozmaitych nauk i umiejętności. Mógł wreszcie próbować szczęścia w nowej stolicy, tej nad Bosforem; rozbudowywała się ona szybko i gwałtownie, toteż stosunek jej mieszkańców do przybyszów był z natury rzeczy inny niż w starym Rzymie, życzliwy – bo wszyscy tutaj byli przybyszami, osiadłymi co najwyżej od dwóch lub trzech pokoleń. Dlaczego więc Ammian przez tyle lat trzymał się kurczowo niesympatycznej mu metropolii, gdzie patrycjat okazywał parwenszowski snobizm i barbarzyńskie zamiłowanie do przepychu, lud cechował się nieróbstwem, a cała bez wyjątku społeczność miłowała naprawdę tylko uciechy widowisk? Czemu to pisarz nie pożegnał jak najrychlej miejsca, gdzie biblioteki, jak sam powiada obrazowo, stały się zamkniętymi na głucho grobowcami?

Nie znamy aż tak dobrze kolei losu i wszystkich okoliczności życia Ammiana, by móc na

te pytania odpowiedzieć kategorycznie. Możliwe, że istniały jakieś względy majątkowe lub rodzinne. Możliwe też – tak się często przypuszcza – że tu łatwiej mu było zbierać materiały do studiów i poznawać sam język, łacinę. Kto jednak wczytał się wnikliwie w dzieło Ammiana, kto poznał dziwaczne i pokrętne szlaki jego myśli, oczywiste kompleksy, fobie i urazy, ten nieuchronnie wzięć musi pod uwagę także inne ewentualności. Temu człowiekowi naprawdę nigdzie nie byłoby dobrze; winę ponosiły wrodzone cechy usposobienia. Obserwator to bystry i złośliwy, a zarazem nadmiernie wyczulony na wszelkie, prawdziwe lub urojone, fluidy niechęci ku sobie lub tym nielicznym osobom, które darzył uczuciem gorącym. Nie trzeba dodawać, że właśnie te cechy psychiki, znajdujące swe odbicie niemal na każdej stronie dzieła, czynią z Ammiana pisarza szczególnie interesującego; ludzie układni i zgodliwi w życiu bywają i w swej twórczości zazwyczaj tylko poprawni i głacy. Powstaje więc przypuszczenie, że w Rzymie nasz historyk czuł się stosunkowo nieźle – mimo tylu biadań, pomstowań i wyrzekań.

Czuł się nieźle chyba także z tej przyczyny, że spotkał tu środowisko intelektualistów pogańskich szczerze oddane literaturze oraz pielęgnowaniu tradycji religijnych i patriotycznych. Wydaje się co prawda, że Ammian nie zdołał dotrzeć do kręgów najwyższych owego środowiska, a były to zarazem kręgi religijnie najżarliwsze i kulturalnie najaktywniejsze; albo też dotarł tam, ale stosunkowo późno, nie znalazło to więc odpowiedniego wyrazu w jego dziele.

Kręgi, o których mowa, skupiały się wokół kilku senatorów. Byli to przede wszystkim: Wettius Pretekstus; Symmachus Młodszy; Nikomachus Flavianus – ojciec, mający imię Wirus, i syn; wreszcie dobrze nam znany Cejonius Albinus. Domy tych niezmiernie bogatych arystokratów, dumnych ze starożytności i znaczenia swych rodów, pozostały chyba zamknięte dla Ammiana, na zawsze lub bardzo długo. Dlaczego? Domysły wolno snuć różne. Może przeszkodę stanowiła obcość jego pochodzenia i raczej niska pozycja społeczna? A może przypadkowy zatarg z jakimś rodem senatorskim lub bliską mu osobą? Jeśli nawet antiocheńczyka przyjmowano w którymś z pałaców, na pewno nie spotykał się z tak serdecznym powitaniem i z takim uznaniem dla zasług i talentu, jak tego oczekiwał. Ambitny autor musiał odczuwać to boleśnie, a gorycz zawodu wyraźnie przebija z przytoczonych już wypowiedzi o rzymskich wielmożach i stylu ich życia. Są to wszakże charakterystyki ogólne, bez nazwisk; widocznie tak było bezpieczniej.

Jeśli chodzi o dopiero co wskazane osoby, historyk nasz wyraża się dobrze i bez najmniejszych zastrzeżeń tylko o pierwszej z nich. Ale Wettius Pretekstus zmarł już w roku 384, szanowany powszechnie, także przez chrześcijan, choć był jawnym i gorącym wyznawcą bogów. Z drugiej strony o Symmachusie Młodszym, mężu tak wpływowym i aktywnym, Ammian wspomina rzadko i bez entuzjazmu; gdzieś tam daje się wyczuć ukryta niechęć. Co wcale nie dziwi; przecież właśnie Symmachus był prefektem miasta w roku 384, kiedy w obliczu głodu usuwano z Rzymu ludność napływową, w tej liczbie zapewne i oficera z Antiochii, osiadłego tu od niedawna. I wreszcie Wirus Nikomachus. Napisał on dzieło historyczne, *Roczniki*, z którego Ammian czerpał, jak się przypuszcza, obficie. Mimo to o samym autorze *Roczników*, polityku bardzo wybitnym, znajdziemy w księgach Ammianowych tylko jedną wzmiankę! Może dlatego, że senator ów należał w ostatnich latach panowania Teodozjusza do najgorliwszych popleczników buntownika i uzurpatora Eugeniusza? Ammian więc, tak mógłby ktoś utrzymywać, uznał za wskazane wykreślić tę kontrowersyjną postać ze swego dzieła, aby nie narażać się zwycięskiemu cesarzowi.

## Aureliusz Wiktor

Był wszakże dostojnik, z którym Ammian nawiązał bliższe kontakty. Rzecz jednak znamienita: i ten dostojnik, interesujący się zresztą historią, należał w Rzymie do przybyszów, do ludzi z zewnątrz, i nie mógł się szczycić pochodzeniem arystokratycznym. Mowa o Aureliu-



szu Wiktorze. Sprawował on godność prefekta miasta w roku 389, a więc właśnie wtedy, gdy w Olimpii święcono igrzyska po raz przedostatni. Doszedł do wysokiego urzędu już u schyłku życia, przemierzywszy drogę raczej niezwykłą, a w każdym razie nader charakterystyczną dla zjawiska, które współczesna nauka określa mianem „ruchliwości socjalnej”; okazuje się, zresztą nie tylko na tym przykładzie, że ówczesne społeczeństwo rzymskie nie stanowiło, mimo wszelkich przeszkód, przegród i barier, systemu kast zamkniętych.

Wiktor urodził się, jak sam to poświadcza, w ubogiej wiosce rzymskiej Afryki. Jego ojciec nie miał wykształcenia, był „indoctus”. On wszakże zdobył je i powiada z nieukrywaną dumą: „Osiągnąłem dzięki wielkim studiom, że moje życie stało się godniejsze!”<sup>70</sup> Nie wiadomo, w jakich okolicznościach i z jakiego powodu przeniósł się z Afryki ku naddunajskim rubieżom Imperium. Osiadł w mieście Sirmium nad Sawą, niezbyt daleko od dzisiejszego Belgradu. Może jako profesor retoryki? A może pracował w którymś z urzędów tego ważnego wtedy ośrodka administracyjnego i wojskowego? I czy to on wygłosił orację, jaką witano cesarza Juliana, kiedy ten wkroczył do miasta jesienią roku 361? Mowy takie stanowiły niezbędny punkt w ówczesnym ceremoniale przyjmowania dostojnych gości; zresztą nie tylko w ówczesnym. Jest wysoce prawdopodobne, że przy tej okazji Wiktor wręczył młodemu cesarzowi dziełko historyczne, które dopiero co opublikował. W każdym razie jego osoba utkwiała Julianowi w pamięci, skoro już w kilka tygodni później został powołany na stanowisko namiestnika prowincji zwanej Pannonią Drugą; obejmowała ona pas ziemi pomiędzy rzekami Sawą i Drawą. Był to na pewno punkt zwrotny w karierze Wiktora. Odtąd piął się w górę – szczebli dalszych nie znamy – aż ku wspomnianej prefekturze miasta Rzymu w roku 389. Musiał odznaczać się rzeczywistymi talentami i zasłużyć sobie na prawdziwy szacunek: był przecież poganinem, zawdzięczał wiele Julianowi, a mimo to Teodozjusz powierzył mu godność tak odpowiedzialną! Wiktor ze swej strony dał wyraz temu, jak wysoko cenił sobie zaszczyt i zaufanie. Wzniósł mianowicie na Forum Trajana posąg cesarza Teodozjusza, a na jego podstawie kazał wyrzeźbić napis widoczny jeszcze w wieku XVI. Brzmi on w tłumaczeniu:

„Panu naszemu Flawiuszowi Teodozjuszowi, pobożnemu, zwycięskiemu, zawsze Augustowi; temu, który przewyższył łagodność, świątobliwość, szczodrość dawnych cesarzy – Sekstus Aureliusz Wiktor, mąż najznamięnitszy [vir clarissimus], prefekt miasta, sędzia trybunałów cesarskich, oddany jego bóstwu i majestatowi”<sup>71</sup>.

A gdzie dowód, że Ammian znał i cenił Wiktora? Owszem, taki dowód istnieje; pośredni wprawdzie i pozornie nikły, lecz wystarczająco oczywisty. Oto historyk wspominając o spotkaniu przyszłego prefekta z Julianem powiada z prawdziwie rzymską zwięzłością: „Mąż to godny, by go naśladować, z powodu prawości”<sup>72</sup>.

Dziełko Wiktora nosi umowny tytuł *De Caesaribus*. Przedstawia władców Rzymu kolejno od Augusta po Konstancjusza II włącznie, ściśle po rok 360. Zarysy, podające wykaz najważniejszych faktów dziejowych oraz charakterystykę wybitnych osobistości, pojawiały się w świecie rzymskim już wcześniej, ale wiek IV lubował się w nich w sposób szczególny; spośród zachowanych tego rodzaju traktatów co najmniej cztery pochodzą z ostatniej ćwierci stulecia. A z owych czterech trzy wyszły na pewno spod pióra nie historyków zawodowych; napisali je dostojnicy stopnia, powiedzielibyśmy dzisiaj, ministerialnego. Takim był Eutropiusz, konsul roku 387; Festus, namiestnik Azji w latach 374–378; wreszcie Aureliusz Wiktor (co prawda dziełko dopiero otworzyło mu drogę do wielkiej kariery). Nasuwa się w związku z tym pewna refleksja: ile to krajów Europy nowożytnej mogłoby poszczycić się ministrami, gotowymi z własnej woli napisać choćby najprostszy zarys historii ojczyzny – i umięjącymi wywiązać się z takiego zadania poprawnie?

Niektórzy nowsi badacze twierdzą, że owa produkcja skrótów świadczy o ówczesnym

<sup>70</sup> Aureliusz Wiktor, *Caesares* 20, 5.

<sup>71</sup> Dessau, ILS, nr 2945.

<sup>72</sup> Amm. Marc., H., 21, 10, 6.

upadku historiografii oraz o obniżeniu się ogólnego poziomu kultury. Sąd to jednak chyba niesprawiedliwy. Przecież powstawały wtedy także dzieła imponujące rozmiarami i zamyśłem, ambitne i oryginalne. Pojawienie się natomiast kompendiów dowodzi, że wzrosło zainteresowanie przeszłością, zrodziła się w różnych kręgach potrzeba jej poznania. Książki obszerne były zbyt drogie i trudno dostępne. Właśnie to zamówienie społeczne (czemu nie posłużyć się terminem obecnie tak popularnym?) starano się zaspokoić – choć może nie zawsze i nie w każdym aspekcie udanie.

Należy też wskazać, że zwięzłe podręczniki, powstałe w okresie kilku ostatnich olimpiad, odegrały ogromną, a często dziś nie docenianą rolę: przekazywały mianowicie i podtrzymywały w stuleciach nocy minimum wiedzy historycznej. W średniowieczu chętnie przepisywano i czytano owe książeczki, zwłaszcza Eutropiusza, właśnie ze względu na ich niewielkie rozmiary oraz przystępność wykładu.

*De Caesaribus* Wiktora różni się korzystnie od zachowanych, współczesnych mu zarysów. Także dlatego, że można w tym dziełku znaleźć sporo sądów, ocen i spostrzeżeń pochodzących od samego autora. I tak – dla przykładu – wychwala on znajomość literatury i retoryki jako najświetniejszą ozdobę każdego władcy; potępia natomiast, i to w słowach ostrych, przygniatanie ludności nadmiarem świadczeń; ba, pozwala sobie krytykować nawet tajną policję.

Będąc poganinem autor milczy zupełnie o nowej religii, o jej pojawieniu się i losach; zarówno o prześladowaniach niegdysiejszych, jak też o obecnym jej triumfie. O pogaństwie Wiktora świadczy pośrednio i to, że został wyniesiony właśnie przez Juliana; ten bowiem zawsze i przede wszystkim popierał ludzi wykształconych i prawych, a przy tym wiernych dawnym kultom i bogom.

Jak była o tym mowa, Ammian również należał do gorących wielbicieli Juliana. Cesarz, który pragnął przywrócić stare wierzenia, a powstrzymać pochód nowej religii, jest głównym bohaterem wielu ksiąg *Historii*. Tak więc przywiązanie do tragicznej postaci owego władcy stanowiło ważny czynnik, zbliżający ku sobie tych dwóch, Ammiana i Wiktora, osiadłych w ogromnym mieście, niechętnym każdemu, kto obcy. Można wyobrazić ich sobie rozmawiających o tamtych czasach, o czasach młodości ich obu. Z perspektywy lat ostatniej olimpiady wydawały się one bardzo odległe; Julian zginął przecież w roku 363, a więc przeszło przed ćwierćwieczem. Inaczej z pewnością potoczyłyby się także losy igrzysk w Olimpi, gdyby dane mu było dłużej żyć i panować!

## Lektury Rzymian lat ostatniej olimpiady

Lecz Aureliusz Wiktor nie był jedynym w Rzymie człowiekiem prawym i poważnie interesującym się historią, a miasto nie stanowiło pustyni kulturalnej, choć to zdawałoby się wynikać z ponurych i przejaskrawionych obrazów, kreślonych piórem (czy też rylcem) złośliwego Ammiana. Zresztą on sam – przez zapomnienie, albo i niekonsekwencję, wcale częste skazy jego pisarstwa – wskazuje pośrednio, że sprawy czytelnictwa zgoła tak się nie przedstawiały. Powiada mianowicie w pewnym miejscu: „Są i tacy, co wprawdzie unikają wszelkiej nauki jak trucizny, Juwenalisa wszakże i Mariusza Maksymusa czytują z natężoną uwagą; pogrążeni w głębokim spokoju nie wezmą do ręki żadnej innej książki prócz tych właśnie. Dlaczego? Nie jest rzeczą naszego skromnego rozeznania wyrokować w tej sprawie!”<sup>73</sup>

Twierdzenie to dość zdumiewające i w zasadzie sprzeczne samo w sobie. Przecież księgi obu wymienionych autorów na pewno nie stanowiły lektury najłatwiejszej; chodziło raczej o studium, wymagające znacznego przygotowania i wysiłku myślowego. Ponad wszelką wąt-

---

<sup>73</sup> Amm. Marc., H., 28, 4, 14.

pliwość nie było to zajęcie dla nierobów intelektualnych. Aby zbliżyć właściwy sens Ammianowej wypowiedzi, przełożmy jej treść na język bliższych nam i zrozumialszych przykładów. Otóż ktoś mógłby rzec dzisiaj: „Są tutaj tacy, co nienawidzą jak ognia wszelkiej nauki; pogrążeni w lenistwie wciąż tylko rozczytują się w *Satyrach* Opalińskiego i w *Klimakterach* Kochanowskiego; na inne książki nawet nie spojrzą”. Przyjęlibyśmy takie sformułowanie jako rodzaj żartu. Lecz Ammian nie dla dowcipu przytoczył właśnie owe dwa nazwiska! Powodzenie dawnych autorów w jego czasach widocznie prawdziwie go bolało.

Przypomnijmy! Satyryk Juwenal pisał w początkach wieku II utwory poetyckie do dziś zachowane; utwory zjadliwe, wręcz jadowite, chłoszczące bezlitośnie celnymi słowami rzeczywiste i wyolbrzymione wady współczesnych mu Rzymian, zwłaszcza tych z warstw wyższych; znakomity to malarz scen rodzajowych. Można by nawet zaryzykować twierdzenie, że pod wielu względami Juwenal i Ammian, poeta i prozaik, wykazują sporo podobieństw w sposobie patrzenia i wyszydzania. Widocznie podobne były pewne cechy ich osobowości. Lecz historyk chyba nie znał z własnej lektury zbioru satyr sprzed prawie trzech wieków; gdyby znał czerpałby z owego materiału pełnymi garściami. Może zniechęciła go jakaś przypadkowa, zewnętrzna okoliczność – na przykład ta, że w Juwenalowej poezji rozmiłował się ostentacyjnie i snobistycznie ktoś osobiście mu niesympatyczny? A może uznał utwory te, dotyczące spraw i stosunków dawno minionych, za zbyt uciążliwe językowo i nieprzystępne pod względem treści? W każdym razie niezmiernie go dziwiło, a chyba nawet wręcz denerwowało, że Juwenal znajduje wśród rodowitych Rzymian tylu wielbicieli. I dobrze rzecz tę podpatrzył! Wiele wskazówek pozwala stwierdzić ponad wszelką wątpliwość, że właśnie w wieku IV, a zwłaszcza u jego schyłku, w latach ostatniej olimpiady, Juwenal, od wielu pokoleń prawie zupełnie zapomniany i spoczywający w przysłowiowym pyłe bibliotek, stał się poetą niezwykle modnym. Czytywano jego satyry nader gorliwie, odnajdując w nich uroki znakomitego, choć już archaicznego języka, oraz galerię scen, postaci i sytuacji wciąż się powtarzających, wciąż godnych wykpienia. Wydawano Juwenala i komentowano. Takie renesansy pewnych autorów z odległej przeszłości stanowią zjawisko częste i wręcz typowe w życiu każdej literatury o starych tradycjach. Wskażmy dla przykładu, jak pięknie rozkwita w naszych czasach i na naszych oczach zainteresowanie barokową poezją Sępa-Szarzyńskiego i obu Morsztynów, Jana Andrzeja i Zbigniewa; otrzymaliśmy w ciągu ostatnich lat kilkunastu różne wydania ich wierszy, nie mówiąc już o licznych im poświęconych pracach.

Wziętość zaś Juwenala, która tak znakomicie się umocniła właśnie za rzymskiego pobytu Ammiana, miała trwać odtąd stosunkowo bez większych zmian przez całe stulecia. Nie zgasła zupełnie nawet w długim okresie mroku wczesnego średniowiecza. A późniejsze jego epoki wysoko ceniły tego poetę jako bezlitosnego krytyka wszelkich zwyrodnień obyczajowych i mistrza celnej, szyderczej wypowiedzi. Nastawienie to nie zmieniło się także w czasach nowożytnych, bo i przywary, godne satyry, wcale się nie zmieniły, a przepych i rozwiązłość Rzymu papieży aż nazbyt przypominały te same cechy Rzymu cesarów. Z kolei wpłynęło to na rozwój owego gatunku literackiego w rozmaitych językach narodowych; również i w mowie Polaków. Warto pamiętać o tym wszystkim, gdy się rozważa wielość i doniosłość pewnych zjawisk w latach ostatniej olimpiady świata starożytnego; niektóre z nich okazały się nadspodziewanie żywotne, owocując w różny sposób przez wieki. Co prawda w tym przypadku Ammian chyba by się zmartwił: oto coś, co on traktował tylko jako przemijające dziwactwo grupki snobów intelektualnych, okazało się zdrową cegielką w gmachu europejskiej literatury!

A drugi z wymienionych przez Ammiana pisarzy, ów Mariusz Maksymus? W tym przypadku trudniej głos zabierać i cokolwiek stwierdzać, dzieło bowiem się nie zachowało, o samym zaś autorze wiemy raczej niewiele. Żył na przełomie wieku II i III, a więc prawie dwa stulecia przed czasami naszego historyka. Prawdopodobnie piastował namiestnictwo prowincji, a w roku 217 tak ważny urząd prefekta stolicy. Napisał żywoty kilkunastu cesarzy, poczy-

nając od Nerwy, czyli od roku 96, a kończąc chyba na władcach sobie współczesnych; w praktyce więc objął cały wiek II. Jak się wydaje, w swym pisarstwie świadomie kontynuował i w znacznej mierze naśladował sławne biografie *Dwunastu Cezarów* Swetoniusza, tak chętnie czytowane również obecnie; przypomnę, że w okresie powojennym ukazało się w naszym kraju kilka wydań przekładu dzieła Swetoniusza, każde w sporym nakładzie! Podobnie jak tamten, również Mariusz Maksymus z lubością zbierał i przytaczał wszelkie plotki, skandale dworskie, pikantne anegdoty. Różnił się wszakże od swego mistrza nadmierną rozwlekłością narracji, a chyba i skłonnością do fantazjowania. Wszystko to musiało razić Ammiana, zwolennika pewnej koturnowości i wyrazistości stylu, rzecznika powagi, dramatyzmu, grozy wielkich wydarzeń dziejowych. W każdym razie tamtą rzecz znał i w jakimś stopniu na pewno ją wyzyskał, pierwsze bowiem księgi jego własnej *Historii* obejmowały ten sam okres, zaczynający się od panowania Nerwy.

I znowu wypada stwierdzić, że Ammian ma całkowitą rację, uznając Mariusza Maksymusa za ulubionego autora przynajmniej w niektórych kręgach Rzymian u schyłku wieku IV. Był to istotnie pisarz do tego stopnia wówczas podziwiany, że znalazł nawet naśladowcę; ten zaś utrafił tak dobrze w gusta publiczności, że wyparł z jej rąk nazbyt obszerne dzieło poprzednika, a w to miejsce wstawił swoje – zwięźlejsze i pod pewnymi względami atrakcyjniejsze. Przetrwało ono aż po nasze czasy. Trudno jednak doprawdy osądzić, czy przynosi pożytek, czy też szkodę wiedzy o Rzymie cesarzy; twierdzenie może zaskakujące, wnet jednak się okaże, że wcale niebezpodstawne! Postać zaś autora, jego prawdziwe nazwisko, właściwy sens ksiąg, jakie napisał, stanowią wciąż jeszcze jedną z największych zagadek w dziejach literatury rzymskiej.

## Borges lat ostatniej olimpiady

*Scriptores Historiae Augustae*, czyli *Pisarze historii cesarskiej* – tak brzmi umowny tytuł, a raczej nazwa niewielkiego dziełka, zawierającego żywoty władców rzymskich od Hadriana do Numeriana (z pewnymi wszakże lukami), a więc od roku 117 do 284. Jeśli pisarze, to oczywiście musiało być ich kilku. Istotnie: dziełko wymieni aż sześć różnych osób, z których każda rzekomo dała jakąś część całości. Lecz wszystko wskazuje na to, że chodzi o dziwną fikcję: autor naprawdę był tylko jeden. Człowiek ten przybrał z przyczyn nieodgadzionych aż sześć rozmaitych nazwisk, powołał do bytu aż sześciu twórców (czy też współtwórców) swej książki. Czy postąpił tak wyłącznie dla żartu i zabawy? A może owe nazwiska, dość niezwykłe i brzmiące nieco sztucznie, są aluzyjne w swej formie i w swoim znaczeniu, w swym doborze i zestawieniu? Współcześni, a przynajmniej niektórzy z nich, ci wtajemniczeni, inaczej chyba je odczytywali niż my dzisiaj, mieli bowiem klucz i znali szyfr. A jeśli twórcy chodziło głównie o to, by jak najdokładniej ukryć i zmazać sprawę autorstwa? Jak zobaczymy, miał on podstawy, by się obawiać nie tyle czyjejś zemsty, ile raczej drwin uczonych kolegów.

Nie dość na tym! Owi rzekomi autorzy usiłują wmówić czytelnikowi przy różnych sposobnościach, a zwłaszcza we wstępach dedykacyjnych, iż żyją i piszą w początkach wieku IV, za panowania cesarza Dioklecjana i Konstantyna Wielkiego. I znowu trzeba stwierdzić: to fałsz i fikcja! Dokładna lektura dowodzi, że dziełko musiało powstać co najmniej o pół wieku później. Czy można ustalić dokładnie kiedy? Zastanawiało się nad tym pytaniem i wciąż zastanawia bardzo wielu historyków. Badania prowadzone już prawie od lat stu jeszcze nie zostały zamknięte, jeszcze nie powiedziano ostatniego słowa i nie osiągnięto wyników, które by przyjęto powszechnie. Zagadka intryguje, wciąga coraz to nowe pokolenia uczonych, pobudza do szukania coraz wymyślniejszych argumentów, dróg i sposobów rozwiązania. Ukazują się niemal każdego roku rozprawy, artykuły, całe książki poświęcone wyłącznie temu pro-

blemowi. Odbywają się konferencje, a dyskusje mają niekiedy ostry charakter. Ktoś stojący z zewnątrz – nawet humanista, ale mniej obeznany z zagadnieniami historii starożytnej – może się dziwić i uśmiechać, łatwe to bowiem pole do żartów. Oto tylu znakomitych intelektualistów ofiarowuje ogrom wysiłku, zapału i pomysłowości książeczce na pewno nie będącej arcydziełem kunsztu literackiego; a mówi ona o sprawach i osobach wcale nie najważniejszych w dziejach naszej kultury i zgoła nie tak sławnych jak inne epoki lub postaci świata antycznego, by wymienić choćby wojnę trojańską, Ateny Peryklesa, wyprawę Aleksandra Wielkiego, czyny Cezara, szaleństwa Nerona, rewolucję Konstantynowską. Czy więc studium *Historii cesarskiej* – tą poręczniejszą nazwą będziemy odtąd się posługiwać – nie stanowi rodzaju igraszki naukowej? Może oddają się jej z namiętnością godną lepszej sprawy panowie skądinąd prawdziwie uczeni, lecz skutkiem nadmiaru erudycji tracący rozeznanie, co istotne dla rozwoju wiedzy, a co tylko peryferyczną ciekawostką? Pytanie to zasługuje na szczególowsze wyjaśnienie.

Otóż w przypadku *Historii cesarskiej* działają jako podniety do wnikliwego studium aż trzy różne czynniki, nakładające się na siebie i wzajem potęgujące. Po pierwsze, normalna, arcy-ludzka i bardzo powszechna ciekawość, motor wszelkiego postępu: chęć rozwiązania zagadki, szyfru, rebusu, którego nikt dotychczas złamać nie zdołał. W gruncie rzeczy jest to ta sama ciekawość, która każe tysiącom i tysiącom zapaleńców różnej kondycji ślęczeć godzinami nad wypełnianiem kwadracików krzyżówek. Po drugie, dokładne określenie, kiedy żył autor *Historii*, pozwoliłoby ustalić, jakie cele przyświecały jego piarstwu, co właściwie chciał powiedzieć, czego bronił, a co zwalczał. To zaś pomogłoby z kolei – i to jest czynnik trzeci, chyba najważniejszy – wyjaśnić, w jakim stopniu jego informacje zasługują na wiarę.

Sytuacja bowiem jest taka: *Historia cesarska* stanowi główny, a nawet jedyny zwarty zespół danych o dziejach Rzymu w wieku II i III. Istnieją wszakże ważne powody, by podejrzewać, że autor z premedytacją deformował materiał, jaki zebrał choćby z lektury Mariusza Maksymusa; ba, wręcz go fałszował, pewne zaś postacie i fakty po prostu zmyślał! Z jakich przyczyn, czym się kierując? Od odpowiedzi na to pytanie zawisło wiele, jeśli chodzi o narysowanie obrazu cesarstwa w tamtych dwóch wiekach.

Do nie tak dawna sporo zwolenników wśród najpoważniejszych badaczy miało pogląd, że dziełko powstało mniej więcej za panowania Juliana Apostaty lub też wkrótce potem, a więc w latach sześćdziesiątych wieku IV. Obecnie wszakże dość powszechnie przyjmuje się datację inną, przesuwając czas powstania *Historii* o pokolenie później, czyli właśnie na ten okres, który jest szczególnym przedmiotem naszego zainteresowania – na schyłek rządów Teodozjusza Wielkiego, na lata ostatniej olimpiady lub też następne. I należy przyznać, że argumenty, jakie wysuwają zwolennicy takiej datacji, są nader przekonywujące!

Jest więc w każdym razie wysoce prawdopodobne, że pisał *Historię cesarską* jakiś mieszkaniec Rzymu, ktoś współczesny Symmachusowi młodszemu, Nikomachowi Flawianusowi, Cejoniuszowi Albinowi, Aureliuszowi Wiktorowi; był to niemal ich rówieśnik i zapewne znał przynajmniej niektóre spośród osób wymienionych. Rozmiałowany w Mariuszu Maksymusie pilnie wertował jego obszerne dzieło, przerabiając je i przystosowując do swoich celów. Prawda, tu i ówdzie pozwalał on sobie na słowa krytyki wobec owego źródła i wzoru, praktyka to wszakże powszechnie przyjęta w świecie historyków i nie tylko w starożytności: surowo traktuje się właśnie tego autora, któremu w istocie zawdzięcza się najwięcej.

W tym stanie rzeczy wolno snuć dalsze i śmielsze przypuszczenia. Kogóż to miał na myśli Ammian, powiadając jakże zjadliwie: „Są i tacy, co wprawdzie unikają wszelkiej nauki jak trucizny, Juwenalisa wszakże i Mariusza Maksymusa czytują z natężoną uwagą?” Czy nie twórcę *Historii cesarskiej*? Dla poparcia tej hipotezy można także przytoczyć pewną refleksję natury ogólniejszej. A mianowicie historycy współcześni sobie i zajmujący się zbliżoną tematyką na ogół znają się przynajmniej ze słyszenia, czasem otwarcie toczą dyskusje i polemiki, nie zawsze jednak prawdziwie cenią się wzajem i darzą szczerą przyjaźnią; toteż przy oka-

zji nie szcędzą sobie rozmaitych szpileczek, choć ostrze ich wyczuwają tylko wtajemniczeni. Wynika to po części z podświadomej zawiści, trochę z ducha rywalizacji i ambicji, ale w jakiejś mierze także z niemożności zrozumienia, że przedmiot tak rozległy, jakim jest przeszłość, daje każdemu wręcz nieograniczone pole badania; wyniki zaś prac, studiów i łowów trzeba prezentować rozmaicie, bo gusty, poziom oraz zainteresowania czytelników są bardzo odmienne. Przecież i obecnie, idąc tropem Ammianowym, dałoby się rzec sporo krytycznych uwag o takich dziejopisach, co to wgłębiając się przez lata, a nawet dziesiątki lat w jeden tylko problem i znając rzeczywiście świetnie jakiś wycinek historii stracili z oczów szersze horyzonty, uważają się jednak za powołanych do wyrokowania o każdej kwestii, dotyczącej przeszłości, każde zaś ich słowo traktowane jest jako sąd ostateczny, bo przecież – tak rozumuje ogół – specjaliści to świetni. Tak: specjaliści od wąskiego i marginalnego wycinka dziejów! Jednakże wypada tu znowu powołać słowa Ammiana: „Nie jest rzeczą naszego skromnego rozeznania wyrokować w tej sprawie!”

Jeśli wszakże Ammian wypowiadając owe uwagi miał na myśli rzeczywiście autora *Historii*, trzeba mu przyznać wiele racji. Rzecz ta podaje się przecież za kontynuację Swetoniusza i Mariusza Maksymusa, za naśladowanie ich sposobu traktowania biografistyki. Otóż obu tamtym autorom, jak już mówiliśmy, można dużo zarzucić: płytkość, zamiłowanie do historii skandalicznych i pikantnych anegdot, ograniczone pole widzenia – wiemy to na pewno, jeśli chodzi o Swetoniusza, możemy zaś przypuszczać, że podobnie się to przedstawiało w przypadku Mariusza Maksymusa – nie wolno jednak oskarżać ich o świadome mijanie się z prawdą, o fabrykowanie dokumentów, zmyślanie faktów, powoływanie do bytu osób nigdy nie istniejących w przeszłości. A tymczasem z takimi to właśnie metodami i owocami prawdziwie twórczej działalności spotykamy się niemal na każdej stronie *Historii cesarskiej!* Prawda jest przemieszana z fikcją w sposób wręcz perfidny. Dlatego to wypadło przy końcu rozdziału poprzedniego uczynić uwagę: *Historia* przetrwała aż do naszych czasów, trudno jednak rzec, czy przyniosło to pożytek, czy też szkodę wiedzy o Rzymie cesarzy. Stąd też w tytule rozdziału obecnego może nieco zaskakująco pojawiło się nazwisko Borgesa; kto rzecz przemyśli, przyzna, że nie bez pewnej racji.

Winniśmy wszakże czytelnikowi przynajmniej jeden przykład owych sposobów i chwytów stosowanych przez Borgesa lat ostatniej olimpiady! Szczęśliwym zbiegiem okoliczności możemy przytoczyć sprawę skądinąd nam już znaną: sprawę Aleksandrii i Sarapeum.

## Saturnin i Aleksandria

W tej części dziełka autor *Historii cesarskiej* ukrywa się pod nazwiskiem Flawiusza Wopiskusa. Przedstawivszy żywot cesarza Probusa (276–282) omawia następnie w osobnym rozdziale postacie czterech uzurpatorów (dawano im w rzymskiej terminologii politycznej miano tyranów), którzy pojawili się za panowania owego władcy; była to, by posłużyć się wyrazistym określeniem, ukutym przez samego pisarza, kwadryga tyranów, a więc rydwan buntu, zaprzężony w cztery konie. Jednym z nich – powiada rzekomy Wopiskus – był niejaki Saturnin. Pochodził z Galii, wielce się zasłużył dla Imperium; toteż jeszcze cesarz Aurelian (270–275) powierzył mu dowództwo, „ducatus”, granicy wschodniej, przykazując wszakże roztropnie i przewidująco, by w ogóle nie zjawiał się w Egipcie. Dlaczego? Otóż – tak utrzymuje nasz autor – cesarz doskonale znał charakter ludzi z Galii; wiedział, że są oni niespokojni i zawsze skorzy, by wynieść na tron lub nawet samemu zagarnąć władzę. Obawiał się więc, że Saturnin, gdy tylko znajdzie się w Aleksandrii, wciąż wstrząsanej zaburzeniami, łatwo da się pchnąć ku temu, do czego i tak skłaniało go usposobienie. Mimo tego zakazu wódz przybył do Egiptu. Tam natychmiast tłum powitał go okrzykami: Saturninie Auguście, niech strzeżę cię bogowie! Równało się to oczywiście obwołaniu go cesarzem. To prawda, że Saturnin po-

stąpił mądrze, bezzwłocznie opuszczając miasto. Zatrzymał się w Palestynie. Tu jednak doszedł do wniosku, że po tym, co się stało w Egipcie, nie zazna już spokoju i nigdy nie będzie bezpieczny jako człowiek prywatny. Zdjął więc purpurową suknię swej żony z posągu bogini Wenus, zarzucił ją na siebie i tak przyjął hołd należny władcy od otaczających go żołnierzy.

Autor powołuje się w tym miejscu na nie byle jakie świadectwo, bo na relację rzekomego uczestnika tej przedziwnej ceremonii; miał nim być ni mniej ni więcej tylko rodzony dziad jego! „Słyszałem, jak często on opowiadał, że był obecny przy tym, gdy dokonywał się akt adoracji Saturnina. Mawiał też, że ten płakał i skarżył się:

– Oto państwo nasze straciło człowieka, bez którego, jeśli słowo to nie zabrzmiałoby zbyt pysznie, obejść się nie może. To przecież ja odbudowałem prowincje galijskie, ja przywróciłem Afrykę, już opanowaną przez Maurów, i ja wreszcie spacyfikowałem prowincje hiszpańskie. Ale na cóż to wszystko? Nie zdało się na nic, poszło na marne, skorom raz zapragnął tej oto godności!”

Potem wygłosił mowę (dziad Wopiskusa przytaczał z pamięci jej fragmenty), przedstawiając wszelkie nieszczęścia i niebezpieczeństwa, z natury rzeczy i z konieczności zagrażające każdemu, kto piastuje władzę najwyższą. Co też sprawdziło się w jego przypadku. Uzurpacja nie trwała długo. Po pewnym czasie przegrał i zginął – podobno wbrew woli cesarza prawowitego, Probusa; ten bowiem wysyłał do uzurpatora listy łagodne w tonie i przyrzekał łaskę; żołnierze wszakże, którzy wynieśli Saturnina, nie dawali wiary owym obietnicom<sup>74</sup>.

Taki jest zasadniczy tok opowieści. Jak rzecz tę ocenić, jakie wyciągnąć z niej wnioski? Otóż przede wszystkim należy stwierdzić, że Saturnin jest postacią historyczną. Wspominają o nim, choć bardzo pobieżnie, również inni pisarze starożytni, a zachowały się nawet monетки przezeń wybijane. Powstał przeciw Probusowi zapewne w roku 281, zginął zaś, jak się wydaje, oblężony w Apamei syryjskiej. A więc w tej warstwie opowieści nie mamy do czynienia z fikcją, choć narracja nie jest wolna od pomyłek, oczywistych uproszczeń, naiwności i anachronizmów. Dla przykładu: Saturnin pochodził prawdopodobnie nie z Galii, lecz z Afryki. Podejrzany jest jego tytuł wojskowy, „dux”, ten bowiem występuje regularnie w hierarchii najwyższych dowódców dopiero od czasów Dioklecjana. Dalej, Aurelian nie musiał zakazywać Saturninowi w sposób szczególny pobytu w Egipcie i w Aleksandrii; przecież wstęp do tego kraju zabroniony był od dawna i generalnie wszystkim senatorom, a nawet wybitniejszym osobistościom bez specjalnego zezwolenia. Wreszcie ów pomysł, by użyć jako płaszcza cesarskiego sukni żony, i to sukni zarzuconej właśnie na posąg bogini Wenus! Szczegół niewątpliwie fikcyjny, ma jednak swoje miejsce w kompozycji opowieści: służy za wieszczą wskazówkę i zapowiedź, że uzurpacja z góry skazana była na klęskę, wszystko bowiem, co kobiece, wróży źle każdemu przedsięwzięciu; ta zaś szata miała podwójne, by tak rzec, znamię feralnej kobiecości jako strój i żony, i bogini. Może jednak kryje się w tym groteskowym obrazie jeszcze coś innego, jakaś ukryta aluzja do sprawy nam nieznannej, dobrze jednak wiadomej współczesnym? Dziadowi autora wierzyć nie będziemy, występuje on bowiem również jako świadek naoczny w scenie podobnie dramatycznej i fikcyjnej zarazem, gdy dopiero co okrzyknięty cesarzem Dioklecjan rzekomo własnoręcznie i publicznie zabija mordercę swego poprzednika. A mowy Saturnina? To typowe deklamacje retoryczne, jakich układania uczono w szkołach ówczesnych.

Lecz nie to jest sprawą najbardziej interesującą. Przecież z podobnie dość beztróskim traktowaniem materii historycznej spotykamy się wcale często również u innych dziejopisów antycznych, cieszących się ogromnym do dziś autorytetem. Ważne, zwłaszcza dla nas, jest coś innego: autor *Historii cesarskiej* traktuje sprawę Saturnina także jako punkt zaczepienia i pretekst do wytoczenia swych żalów i raczej jadowitych refleksji; wszystko to oczywiście dla dobra rzekomej prawdy historycznej. Tak więc najpierw korzysta z okazji, by przynajmniej

---

<sup>74</sup> *Scriptores Historiae Augustae, Quadrigae tyrannorum, 7.*

kilka złośliwych słów poświęcić ludziom z Galii; te już przytoczyliśmy. Potem szeroko i bardzo niezyczliwie charakteryzuje Egipcjan, mieszkańców Aleksandrii. Wreszcie w niezwykle perfidny sposób drwi z wyznawców religii wschodnich, to jest z czcicieli Sarapisa, z chrześcijan i żydów. Oto jego wypowiedzi w tych dwóch punktach:

„Jak wiesz dobrze, Egipcjanie są bardzo zmienni, szaleńczy, pyszałkowaci, niesprawiedliwi, próżni, swobodni, spragnieni przewrotów do tego stopnia, że mają uliczne o tym piosenki; pisują też wiersze i epigramy; są astrologami, wróżbitami i lekarzami. Znajdują się wśród nich chrześcijanie i samarytanie; a także tacy, którym nigdy się nie podoba czas współczesny, co okazują z całkowitą swobodą. Aby zaś ktoś z Egipcjan nie wziął mi tego za złe i nie mniemał, że wyrażona tu na piśmie opinia jest tylko moją, przytoczę list Hadriana, dobytey z ksiąg jego wyzwolenca Flegona. Obnaży on zupełnie życie Egipcjan: Hadrian August Serwianowi konsulowi pozdrowienie. Przekonałem się, mój najdroższy, że ów Egipt, który tak mi zachwalałeś, jest cały lekkomyślny, chwiejny, podatny na każdy powiew pogłoski. Tamtejsi czciciele Sarapisa to chrześcijanie, a gorącymi wyznawcami tegoż boga są tacy, którzy nazywają się biskupami Chrystusa. Nawet owego patriarchę, gdy przybywa on do Egiptu, jedni przymuszają, by czcił Sarapisa, drudzy zaś – Chrystusa. Rodzaj to ludzi niezmiernie skłonnych do rozruchów, ogromnie próżnych i skorych do wyrządzania krzywdy. Miasto zasobne, bogate, płodne, w którym nikt nie żyje beczynn timer. Jedni szkła wydmuchują, inni wyrabiają papirus, a jeszcze inni to tkacze półcien lnianych. W każdym razie wszyscy tu zdają się mieć jakąś umiejętność lub zawód. Nawet podagrycy mają coś do roboty, mają też niewiedomi czym się zająć; także ci, którym artretyzm ręce powykręcał, nie żyją beczynn timer. Jedyntym ich bogiem jest pieniądz. Jemu hołd oddają chrześcijanie, jemu żydzi, jemu też wszyscy zwani poganami”<sup>75</sup>.

Rzekomy ów list cesarza Hadriana został beczynn timer sfabrykowany przez autora *Historii cesarskiej*; wykazały to jasno nowsze badania, bardzo drobiazgowe. Za pomocą tego zabiegu pisarz pragnął podbudować wagę swych słów i osądów wkładając je w usta wielkiego władcy sprzed prawie trzech wieków! W istocie wszakże jest to doniosły i pouczający dokument z lat ostatniej olimpiady lub niewiele późniejszych. Dowodzi on w sposób wręcz jaskrawy, że dumni arystokraci rzymscy, wykształceni i przywiązani do tradycji rodzimych, patrzyli z głęboką odrazą na to wszystko, co działo się w egzotycznej dla nich Aleksandrii, a zwłaszcza na walki pomiędzy wyznawcami różnych religii. Warto zaś przy sposobności zwrócić uwagę, jak pogardliwie traktowali owi wielcy panowie wszelką pracę fizyczną, umiejętności rzemieślników, zapobiegliwość prostych ludzi! Trudno się temu dziwić; oni sami nie musieli walczyć o chleb codzienny. Prawdę mówiąc również plebs rzymski, nawet ten najuboższy, nie musiał zbytnio się wysilać, by go zdobyć. Pozostawiał on państwu i możliwym troskę o sprowadzanie żywności oraz o jej darmowe lub półdarmowe rozdawnictwo, sam zaś żył wesoło w cieniu tawern, cyrków i teatrów, burząc się groźnie tylko w przypadku jakichkolwiek zakłóceń w dostawach nie tylko zboża, lecz i wina. Poza garstką senatorów sprawy wielkiej polityki nikogo tu nie obchodziły. Mimo to mieszkańcy Rzymu wciąż uważali się za panów Imperium i byli też tak traktowani. Dlatego to Ammian w swej charakterystyce tutejszego ludu podkreśla wciąż jego nieróbstwo, gnuśność, obojętność na wszystko z wyjątkiem widowisk; autor natomiast *Historii cesarskiej* potępia – pracowitość aleksandryjczyków.

Nie ulega wątpliwości, że słowa tak szyderczo i perfidnie wydrwiwające czcicieli Sarapisa oraz chrześcijan – a chyba nawet bardziej tych ostatnich – powstały pod wpływem wiadomości o wydarzeniach w wielkim mieście egipskim. Czytelnik ówczesny, mający jeszcze w świeżej pamięci opowiadania o burzeniu świątyni Sarapisa, o porabianiu jego posągu, o krwawych walkach ulicznych pomiędzy chrześcijanami i wyznawcami dawnych bogów, biorąc do ręki *Historię cesarską* natrafiał na rzekomy list Hadriana i czytać go musiał z wielką

---

<sup>75</sup> Tamże, 8.



satysfakcją, a może nawet z uśmiechem; wynikało bowiem zeń jasno, że wszystko, co się działo i dzieje w Aleksandrii, to farsa! Przecież najgorliwszymi adoratorami Sarapisa są właśnie biskupi chrześcijańscy, a tak naprawdę to nikt tam w nic nie wierzy, nawet patriarcha żydowski (bo o niego to chodzi w owej tajemniczej wzmiance: „patriarchę, gdy przybywa on do Egiptu, jedni przymuszają etc.”); jeden jest tylko bóg, którego wszyscy zgodnie wyznają – pieniądz.

# WIENNA I RZEKA FRIGIDUS

## Głowa Jana Chrzciciela

W dniu 10 listopada roku 391 odbył się uroczysty wjazd cesarza Teodozjusza do Konstantynopola. Nie różnił się on od wjazdu tegoż władcy do Rzymu przed niespełna dwoma laty, w czerwcu 389, ani wspaniałością oprawy, ani ceremoniałem, ani też entuzjazmem mas ludności – entuzjazmem raczej szczerym, ponieważ przybycie władcy oznaczało, że odbędą się igrzyska. Jednakże tamtą stolicę, nadtybrzańską, Teodozjusz tylko odwiedził, po raz pierwszy jako cesarz i na krótko. Obecnie natomiast powracał do miasta, w którym już poprzednio przebywał często i długo jako w swej ulubionej rezydencji. Wypada bowiem przyznać rację historykom twierdzącym, że spośród wszystkich cesarzy wieku IV właśnie Teodozjusz uczynił najwięcej dla rozbudowy i uświetnienia stolicy nad Bosforem; oczywiście nie biorąc pod uwagę samego Konstantyna, jej założyciela. Wkrótce po opuszczeniu Rzymu władca wydał, jak pamiętamy, znamiennej ustawę; nakazywał w niej raczej restaurować tamtejsze zabytki, zabraniał natomiast wznoszenia nowych budowli na koszt skarbu państwa. Tutaj natomiast, nad Bosforem, wciąż wyrastały nowe mury, gmachy i pomniki, a państwo hojnie i wydatnie wspomagało tę działalność w różny sposób.

Od listopada roku 392 Teodozjusz miał przebywać w Konstantynopolu długo, bo chyba bez przerwy dwa lata i kilka miesięcy, aż do wiosny roku 394. A i wtedy opuszczał miasto wcale niechętnie, ociągając się, przynaglony groźną sytuacją na Zachodzie. Jakby przeczuwał, że nigdy już nie powróci żywy do grodu umiłowanego! Złożyło się więc tak, że rok ostatniej olimpiady świata starożytnego cesarz spędził nie w dawnej stolicy i nie w którymś z miast rezydencjalnych – w Mediolanie, Akwilei, Tessalonice – lecz właśnie nad Bosforem, gdzie wspaniale rozkwitał Rzym nowy, Rzym drugi; ten, co miał podtrzymywać tradycje nadtybrzańskiego jeszcze przez przeszło dziesięć wieków. Wszystko to ma swoją wymowę dziejową.

W dniu pierwszym stycznia roku 392 objęli swoją godność nowi konsulowie. Byli nimi: starszy syn władcy Arkadiusz, konsul już po raz drugi, oraz Rufin, naczelnik urzędów pałacowych. Zaszczyt, jaki spotkał Rufina, zwracał szczególną uwagę ogółu i dawał dużo do myślenia. Przecież to on pośredniczył w roku 390 pomiędzy cesarzem a biskupem Ambrozjym, gdy poróżniła ich sprawa rzezi w Tessalonice. Drogą tajnych rozmów ostatecznie doprowadził wtedy do pojednania; odtąd zaliczał się do najzaufanych doradców cesarza i najwplywowszych ludzi na dworze. Stale też umacniał swoją pozycję, o czym dowodnie świadczyła przyznana mu ostatnio godność. Nominacja ta mogła również służyć za wskazówkę, że odtąd stronnictwo gorliwych i nieprzejednanych chrześcijan będzie miało jeszcze więcej do powiedzenia w sprawach polityki wewnętrznej. A jeszcze w roku poprzednim, 391, obaj konsulowie, Symmachus i Tatian, byli poganami, i to żarliwymi! Prawda, i teraz można by wskazać jawnych, wręcz wojujących pogan wśród najmożniejszych dostojników Imperium. Tatian nadal zajmował niezmiernie ważne stanowisko prefekta Wschodu, a jego syn Prokulus był wciąż prefektem Konstantynopola. Także Nikomach Flawianus wcale nie ukrywał swego przywiązania do dawnych kultów, a przecież jego zwierzchności bezpośredniej jako prefekta podlegała cała środkowa część Imperium – Afryka, Italia, Illirikum. Czas jednak nie pracował na ich korzyść. A niezmordowane wysiłki i knowania Rufina musiały wreszcie wydać owoce, tym bardziej że w pewnym momencie otrzymały potężne wsparcie dzięki niespodziewanemu obrotowi spraw na Zachodzie.

Lecz pierwsze miesiące roku 392 w niczym nie zapowiadały dramatyzmu już tak bliskich wydarzeń. W ciągu lutego dwór i mieszkańcy Konstantynopola brali udział w ceremoniach

związanych ze sprowadzeniem drogocennej relikwii; była nią rzekoma głowa Jana Chrzciciela; tego, który został ścięty z rozkazu Heroda Antypasa, gdy poprosiła o to, w nagrodę za swój taniec córka Herodiady. Utrzymywano, że mnisi należący do sekty tzw. macedonian odnaleźli ją w Palestynie przed kilkunastu laty, jeszcze za panowania cesarza Walensa. Macedonianie byli może identyczni z tak zwanymi psychomachami, czyli przeciwnikami boskości Ducha Świętego. Otóż z polecenia Walensa głowę wieziono do Konstantynopola, pochód wszakże utknął w pewnej miejscowości w pobliżu Chalcedonu, a więc już niemal nad Bosforem; przyczyną miało być według legendy to, że zwierzęta nie chciały ciągnąć wozu, w istocie zaś doszło na pewno do jakichś sporów pomiędzy sekciarzami a ortodoksami. W każdym razie relikwia pozostała w małej wiosce pod Chalcedonem, a strzegła jej pilnie świątobliwa matrona, należąca do macedonian. Trzeba było dopiero osobistej interwencji Teodozjusza, który owinął relikwiarz swym purpurowym płaszczem cesarskim, by wreszcie zaniechano sporu. Złożono głowę w nowo zbudowanym kościele, noszącym oczywiście miano Jana Chrzciciela, w podmiejskiej dzielnicy Konstantynopola; zwała się ona Hebdomon, czyli Siódma<sup>76</sup>.

Te i tym podobne wydarzenia oraz uroczystości absorbowwały uwagę ogółu; a tymczasem kancelaria cesarska rozwijała, jak zawsze i wszędzie systematyczną działalność, przygotowując teksty wciąż nowych ustaw, dekretów, zarządzeń w sprawach najrozmaitszych. Spośród dokumentów prawnych, jakie wówczas opublikowano i o których potrafimy coś powiedzieć, kilka zasługuje tu na krótką wzmiankę; zarówno ze względu na swą treść, jak i z tej przyczyny, że pokazują starania cesarza, by zachować jakąś linię pośrednią pomiędzy interesami państwa a wciąż narastającymi roszczeniami kleru. Tak więc aż dwie ustawy, z marca i kwietnia, zagroziły wysokimi karami pieniężnymi tym urzędnikom, którzy odwołują wykonanie prawomocnych i nie podlegających już apelacji wyroków śmierci; odkładają zaś pod wpływem presji ze strony biskupów, kleru i mnichów; a przecież wiadomo – stwierdza cesarz – że chodzi o przestępców naruszających ład i spokój publiczny!<sup>77</sup> Ton obu ustaw jest dość ostry; dla Rzymianina porządek prawny był wartością najwyższą i próby jego łamania, wpływające nawet z pobudek najszlachetniejszych, musiały wywoływać sprzeciw zasadniczy. Aby jednak nieco zatrzeć to wrażenie i ułagodzić duchowieństwo, Teodozjusz mniej więcej w tym samym czasie cofnął zakaz sprzed prawie dwóch lat, zabraniający mnichom przebywania w miastach<sup>78</sup>. W innej ustawie przypominał, że nie wolno odbywać igrzysk cyrkowych w niedziele, aby nie przeszkadzać nabożeństwom kościelnym; chyba że właśnie na niedzielę przypadnie rocznica urodzin władcy<sup>79</sup>. W tekście łacińskim niedziela zwana jest „dies solis”, czyli dniem słońca; to stare określenie, związane z kultem pogańskim, okazywało się nie do wytepienia podobnie zresztą jak nazwy dni tygodni, urobione od imion planet i bogów. Była już mowa o historycznej doniosłości postanowienia, czyniącego niedzielę dniem wolnym nie tylko od pracy w urzędach (co zarządził już Konstantyn Wielki), lecz i od rozrywek publicznych; jak wiadomo, w niektórych krajach Europy przestrzegano tego zakazu bardzo purytańsko niemal do naszych czasów – zakazu, datującego się z lat ostatniej olimpiady!

## Walentynian i Arbogast

Pod koniec maja roku 392 zupełnie niespodziewanie przyszła do Konstantynopola tragiczna wiadomość z Wiedni nad Rodanem, a więc z dzisiejszej południowej Francji: w dniu 15 maja zginął tam w tajemniczych okolicznościach młodziutki cesarz Walentynian, współwładca i szwagier Teodozjusza.

---

<sup>76</sup> Soz., H.k., VII 21.

<sup>77</sup> C Th IX 40, 15; XI 36, 31.

<sup>78</sup> C Th XVI 3, 2.

<sup>79</sup> C Th II 8, 20.

W źródłach starożytnych zachowało się sporo wzmianek o tej śmierci, bo też wstrząsnęła ona opinią ówczesną ze względu zarówno na wiek zmarłego, liczył przecież zaledwie lat 21! – jak i dziwne, nigdy do końca nie wyjaśnione bezpośrednio przyczyny zgonu; a jeśli nawet były one znane, nie podano ich oficjalnie do wiadomości publicznej. Dlatego i relacje, jakie do nas dotarły, są nazbyt ogólnikowe, różnią się od siebie w wielu punktach, a niektóre z nich są wręcz diametralnie sprzeczne. Wydaje się wszakże, iż najprawdopodobniejsza jest wersja, według której młodego cesarza znaleziono powieszono i już martwego w jednym z pokoiów pałacu. I oto pytanie: samobójstwo, czy też mord pozorowany tak, by wydał się samobójstwem?

Natomiast nikt nie wątpił, kto ponosi pośrednią, lecz bardzo ciężką odpowiedzialność za to, co się stało w pałacu wienneńskim w nocy z 14 na 15 maja. Surowo oskarżano i potępiano Arbogasta, najwplywowszą osobę u boku Walentyniana.

Był to, jak wskazuje samo nazwisko i jak donoszą starożytni autorzy, Germanin, pochodzący z ludu Franków. Służył w wojsku rzymskim już od wielu lat i jak większość jego rodaków uległ prawie całkowicie wpływowi świetnej kultury Imperium. Walczył wiernie i dzielnie, wcale nie szczędził w wojnach swych pobratymców; chwalono też powszechnie jego wstrzeźliwość w sprawach majątkowych. Żywił za to wręcz niepohamowaną żądzę władzy i ambicje prawdziwie nadmierne. Przydany Walentynianowi jako doradca z tytułem komesa, obsadził wszystkie kluczowe stanowiska w armii swoimi ludźmi, podporządkował sobie również administrację cywilną, odsunął cesarza całkowicie od jakiegokolwiek wpływu na sprawy państwa, pozostawiając mu tylko rolę reprezentanta i pusty tytuł; ba, uczynił zeń niemal więźnia pałacu.

Tak więc Arbogast stał się pierwszym w historii germańskim wodzem, traktującym prawowitego imperatora tylko jako marionetkę. W następnych dziesięcioleciach takie sytuacje miały powtarzać się coraz częściej i w sposób coraz jaskrawszy, zwłaszcza na Zachodzie. Aż wreszcie w roku 476, czyli w osiemdziesiąt kilka lat po czasach Walentyniana, został złożony z tronu Romulus Augustulus, ostatni cesarz dawnego Rzymu; dokonał tego germański wódz Odoaker. Akt ów uznaje się dość powszechnie za umowny kres świata i porządku starożytnego, za cezurę pomiędzy antykiem a średniowieczem. Trzeba jednak powiedzieć z naciskiem, że był to tylko finał długotrwałego procesu, który rozpoczął się właśnie i dokładnie w latach ostatniej olimpiady – a więc wtedy, gdy Zachodem formalnie władał Walentynian, faktycznie zaś decydował o wszystkim Germanin Arbogast. Czyli i pod tym względem okres tamtej olimpiady okazuje się doniosły i znamieny! Bo i cóż to za rzeczywiście zdumiewająca zbieżność i bliskość, wręcz zagęszczenie w czasie wydarzeń istotnie przełomowych lub przynajmniej symbolicznie ważnych w różnych dziedzinach życia społecznego: w polityce, wierzeniach religijnych, kulturze, obyczajowości! Ile to już godnych refleksji faktów wspomniano na kartach tej książki, jeszcze nie wyczerpując bogactwa materiału! Wszystkie te fakty osadzone obok siebie, w obrębie zaledwie kilku lat, wzajem jeszcze wzmacniają swoją wymowę i znaczenie.

W przypadku Romulusa Augustulusa sprawy potoczyły się, jak wiadomo, dziwnie prozaicznie. Ostatni imperator Rzymu otrzymał z łaski Odoakra majątek na ziemiach pięknej i żyznej Kampanii oraz pobierać miał wysoką pensję: 6000 solidów rocznie. Odtąd ginie nam on z oczu, prawdopodobnie jednak dożył późnej starości spokojnie i bezpiecznie – mimo różnych katastrof, jakie nawiedzały Italię; a odchodził z tronu na tę swoistą emeryturę jako chłopiec, wielkiej zresztą urody, czemu, jak powiadano, zawdzięczał życie. Nie rozwijał nigdy żadnej działalności, która by zwróciła nań uwagę społeczeństwa, o nic nigdy nie walczył. Całkowicie odmiennie przedstawiała się postawa, a skutkiem tego i losy Walentyniana. Chciał być cesarzem prawdziwym, jak niegdyś jego ojciec. Znał swoje prawa, uważał się za rzeczywistego nosiciela majestatu ludu rzymskiego, miał wysokie poczucie własnej godności. Mimo młodego wieku był człowiekiem poważnym, myślącym, szczerym patriotą, dumnym ze swego rodu

i ojczyzny. Jeśli wierzyć pewnym wzmiankom w źródłach, już jako chłopiec interesował się sprawami polityki i roztropnie zabierał głos podczas zebrań rady oraz trybunałów sądowych; miał również dużo zrozumienia dla losu warstw uboższych, zwłaszcza w prowincjach; pod tym względem – poświadcza to biskup Ambroży, a znamienne to słowa w jego ustach! – przypominał cesarza Juliana. A tymczasem w Galii doszło do tego, że nikt nie traktował jego osoby i rozkazów z należnym szacunkiem; nawet służba, nawet przyboczni! On, cesarz Rzymian, musiał na każdym kroku znosić najdotkliwsze upokorzenia ze strony germańskiego wodza i jego najemnych żołdaków! Nie mógł nawet decydować o miejscu swego pobytu, nie wolno mu było swobodnie się poruszać po kraju, nad którym rzekomo panował! Arbogast w szczególności nie godził się na żądania powrotu do Italii, słusznie przewidując, że młody władca znalazłby tam poparcie dostojników oraz ludności, zawsze wrogiej barbarzyńcom. Na próżno więc więzień pałacu słał listy do Teodozjusza, z którym łączyła go nie tylko więź współwładzy, lecz i powinowactwa – przez Gallę, rodzoną siostrę Walentyniana, obecnie żonę starszego cesarza, i to prawdziwie kochaną. Bezskuteczne okazały się również listy kierowane do biskupa Ambrożego, przynajmniej do pewnego czasu. Dopiero gdy Walentynian poprosił wyraźnie, by przyjechał co rychlej do Wiedni, udzielił mu chrztu i pośredniczył w sporze z Arbogastem, pasterz Mediolanu wybrał się w drogę, prawdopodobnie w początkach maja. Miał już za sobą szczyty Alp, już schodził w doliny, do Wiedni jednak nie dojechał, bo i nie było po co; Walentynian nie żył.

## Walentynian i Ambroży

Powracając później myślą do dni tamtych, biskup tak je przedstawiał w mowie pogrzebowej ku czci Walentyniana, przyzywając pamięć zmarłego i zarazem jak by się usprawiedliwiając:

„Otrzymałem twoje pismo, zalecające, bym uznał za wskazane wyjechać bezzwłocznie; a to dlatego, że chciałbyś mieć mnie za ręczyciela swej lojalności wobec komesa. Czy się sprzeciwiłem? Czy zwlekałem? Dodano też w liście, bym spieszył jak najrychlej; i bym nie sądził, że przyczyną podróży jest synod biskupów galijskich (a z powodu licznych ich sporów często się wymawiałem!), chodzi bowiem o to, że on sam, cesarz, pragnie chrzest otrzymać.

Już przekraczałem szczyty Alp, gdy oto przyszła gorzka dla mnie i dla wszystkich wieść o śmierci tak wielkiego cesarza. Zawróciłem, a drogę obmywałem łzami swymi. Wśród jakichże życzeń wszystkich mieszkańców wyruszałem z Mediolanu! Wśród jakichże jęków przybywałem tam z powrotem! Uważano powszechnie, że to nie władcę im zabrano, lecz nadzieję ratunku. Jakież ogromny ból odczuwałem, że zginął taki władca, umiłowany przeze mnie i tak bardzo pragnący mnie ujrzeć! Dowiedziałem się później, jaką okazywał gorączkową niecierpliwość w ciągu owych dni, które minęły pomiędzy wysłaniem ostatniego do mnie listu a jego śmiercią. Oficer do specjalnych poruczeń opuścił Wiednię z listem wieczorem, a trzeciego dnia rankiem on już wypytywał, czy przyjechał z powrotem, czy ja przybywam. Wierzył, że wraz ze mną zjawi się jakieś jego zbawienie.

O młodzieńcze najlepszy, oby dane mi było zastać cię przy życiu! Oby jakaś zwłoka zachowała cię aż do dnia mego przyjazdu! Nie obiecuję sobie, że coś by można osiągnąć dzięki mojej cnocie, dzięki rozumowi i roztropności. Ale z jaką troską i z jakim oddaniem starałbym się doprowadzić do zgody i pojednania pomiędzy tobą a twym komesem! A gdyby nawet on okazał się nieustępliwy, ja na pewno pozostałbym przy tobie!”<sup>80</sup>

Tyle Ambroży. Czy jednak rzeczywiście wcześniejsze przybycie biskupa do Wiedni ocaliłoby cesarza i odwróciło bieg wydarzeń? Jeśli on sam stawiał sobie takie pytania i miał żal

---

<sup>80</sup> Ambroży, *De obitu Valentiniani consolatio*, 25–27.

do siebie, to chyba niesłusznie. W ostatnich tygodniach konflikt pomiędzy Walentynianem a komesem zaostrzył się do tego stopnia, że jedna ze stron musiała odejść ze świata żywych lub przynajmniej z dworu. O prawdziwym pojednaniu nie mogło już być mowy.

W czasie zebrania konsystorza, czyli przybocznej rady cesarskiej, jeden z uczestników sprzeciwił się ostro zdaniu Arbogasta w jakiejś sprawie. Ten rzucił się na śmiałka, Walentynian zaś osłonił atakowanego swym płaszczem purpurowym. Lecz rozwścieczony Germanin nie zważał na nic; zabił dostojnika u stóp bezsilnego władcy. Wkrótce potem konsystorz znowu się zebrał. Walentynian, siedząc na tronie i patrząc na wodza wzrokiem zionącym nienawiścią, wręczył mu dokument; głosił on, że komes zostaje zwolniony z mocą natychmiastową z wszystkich piastowanych godności. Lecz zdymisjonowany odpowiedział nową znie wagą majestatu cesarza. Potargał pismo pogardliwie w obecności wszystkich i krzyknął z pasją:

– Nie ty dałeś mi władzę i nie ty mi ją odbierzesz!

Nie panując nad sobą Walentynian usiłował wyrwać miecz z rąk stojącego obok żołnierza straży przybocznej, aby przebić Germanina; lecz żołnierz ów, zapewne również Germanin, broni nie oddał<sup>81</sup>.

Od tego momentu cesarz i jego komes nie mieli już wyboru. Może więc Walentynian popełnił samobójstwo nie mogąc znieść roli, na jaką go skazano? Musiał przecież lękać się jeszcze boleśniejszych upokorzeń. A może uduszono go w nocy i potem powieszono, by przekonać postronnych, że chodzi o samobójstwo? Starożytność nie znała metod dzisiejszej kryminalistyki, rzecz była prawie nie do udowodnienia. Podejrzewano dość powszechnie, że popełnili morderstwo ludzie ze służby albo ze straży, przekupieni względnie zastraszeni przez Arbogasta. Ten bowiem musiał zdawać sobie sprawę, że posunął się za daleko. Przede wszystkim zaś lękał się, by Walentynian nie znalazł sobie możnego obrońcy. Mógł być nim czy to inny wódz germański – a chętnych do objęcia stanowiska tak wpływowego na pewno nie brakowało! – czy też sam Teodozjusz. Wreszcie i ta okoliczność zdaje się popierać przypuszczenie, że Walentyniana zamordowano: młody cesarz, choć nie ochrzczony, należał do pobożnych i gorliwych wyznawców nowej religii; ta zaś jak wiadomo, zawsze traktowała samobójstwo jako grzech najcięższy.

Ciało zmarłego przewieziono wkrótce z Wiedni do Mediolanu i złożono tymczasowo w pałacu. Czekano, kiedy zadecyduje cesarz, gdzie ma się odbyć pogrzeb. Teodozjusz zaś zwlekał aż przez dwa miesiące, aż do końca sierpnia! Siostry Walentyniana, obie niezamężne, Justa i Grata, opłakiwały brata przez całe dwa miesiące codziennie i z ogromną żalnością; nawet biskup Ambroży usiłował powściągać je i napominać. Podobnie bolała siostra trzecia, Galla, żona Teodozjusza; przebywała wtedy zapewne wraz z nim w Konstantynopolu. Cesarzowa rozpaczała tym bardziej, że obawiała się, by nagła śmierć brata nie wpłynęła w przyszłości zgubnie na losy jej samej i maleńkiej córeczki, Galli Placydii. Wiedziała doskonale, jaką nienawiścią darzy ją Arkadiusz, starszy syn Teodozjusza z pierwszego małżeństwa; a nienawiści tej dał wyraz niedawno, bo zaledwie w roku 390, kiedy to korzystając z nieobecności ojca po prostu wypędził ją, swoją macochę, z pałacu w Konstantynopolu. Trudno wyrokować nam po tylu wiekach i przy nader skąpych informacjach, jakie były rzeczywiste powody owej wrogości, zapewne obopólnej, i kto ponosił główną winę: podejrzliwość Arkadiusza? Duma Galli? Intrygi dworaków? Możemy natomiast stwierdzić dziś, że troski i niepokoje Galli miały wnet okazać się bezprzedmiotowe: oto ona sama zmarła już w dwa lata po śmierci brata, to jest w roku 394, w czasie porodu. Życie zaś córki, Galli Placydii, osieroconej najpierw przez matkę, a w rok później przez ojca, układało się wprawdzie burzliwie, bo taka była epoka, lecz w końcu zawsze pomyślnie. Jako młoda dziewczyna została pojmana w roku 410 w Rzymie przez Wizygotów; musiała poślubić jednego z ich wodzów, Ataulfa. Po jego

---

<sup>81</sup> Zosimus, *Historia Nova*, IV 53.

śmierci, znowu zwrócona Rzymianom, została żoną Konstancjusza III, który w roku 421 przybrał tytuł cesarza jako pan Zachodu. Dała mu syna imieniem Walentynian; ten, urodzony w roku 419, władał Zachodem formalnie bardzo długo, bo od roku 424 do 455. Ale tylko formalnie, albowiem ze względu na jego młodociany wiek początkowo najwięcej do powie-  
dzenia miała matka, a potem Aecjusz, ów ostatni Rzymianin. Syn Galli Placydii nosił imię cesarza, swego krewnego, zmarłego tak młodo i tragicznie – i sam jego los podzielił. Żył wprawdzie o piętnaście lat dłużej, zginął jednak i tak w kwiecie wieku, zamordowany przez dwóch żołnierzy w samym Rzymie. Był ostatnim męskim przedstawicielem nieszczęsnej rodziny. W kulturze wszakże europejskiej najpiękniejszy i najtrwalszy pomnik wzniosła temu rodowi kobieta, właśnie Galla Placydia; ona to zbudowała w Rawennie stawne mauzoleum, zdobne świetnymi mozaikami, oraz kościół św. Jana Ewangelisty.

Odpowiedź Teodozjusza w sprawie pogrzebu Walentyniana przysłała dopiero z końcem sierpnia. Zwłoki młodego cesarza – tak zdecydowano – winny spocząć w Mediolanie obok grobowca jego przyrodniego brata Gracjana; tego, który został zabity przed dziesięciu laty w walce z uzurpatorem Maksymusem. Ambroży wystarał się o okazały sarkofag porfirowy; na jego pokrywie widniały wspaniałe płaskorzeźby. Właśnie w takich sarkofagach chowano niemal wszystkich cesarzy w owym wieku, poczynając od Konstantyna Wielkiego. Większość owych grobowych monumentów stała w stolicy nad Bosforem, w kościele św. Apostołów. Tam też już za trzy lata, w roku 395, miano ustawić sarkofag samego Teodozjusza – choć zmarł on w Mediolanie. Kto wie, może zachował się on do naszych czasów; jako jeden z tych, które zgromadzono obecnie w dawnym kościele św. Ireny, zamienionym na muzeum?

Posiadamy w całości mowę, którą Ambroży wygłosił w czasie pogrzebu Walentyniana, oplakując w sposób aż nazbyt wyszukany i retoryczny przedwczesny zgon młodzieńca; słowa pokrzepienia kierował do wszystkich zebranych, a przede wszystkim do sióstr zmarłego – i do siebie samego.

## Teodozjusz i Arbogast

A jaką postawę wobec wydarzeń w Wiennie zajął starszy, a obecnie jedyny władca Imperium? Oczywiście reakcja jego nie mogła być natychmiastowa i jednoznaczna; wynikało to z przyczyn poważnych. Sytuacja zresztą, jaka się wytworzyła po śmierci Walentyniana, groziła wprawdzie ewentualnością powikłań w najbliższej przyszłości, nawet konfliktem zbrojnym, pod jednym wszakże względem zdawała się korzystna. Chodziło o dalsze plany polityczne wielkiej wagi. Dotychczas wyglądało na to, że po zgonie Teodozjusza trzeba by przeprowadzić faktyczny podział Imperium na trzy części. Zachód, to jest Brytania, Galia, Hiszpania, pozostałyby w ręku Walentyniana II; właśnie dlatego wyprawiono go już wcześniej aż za Alpy. Część środkowa – Afryka, Italia, Illirikum – przypadłaby Honoriuszowi; zapowiedzią tego był jego wjazd do Rzymu jako kilkuletniego chłopca u boku ojca w roku 389. Wschodem wreszcie rządziłby Arkadiusz. Taki system współwładzy trzech wprowadzono już po śmierci Konstantyna Wielkiego, a więc przed ponad pół wiekiem. Panowało wtedy trzech jego synów, każdy nad jedną z wymienionych części; formalnie oczywiście, utrzymywano zasadę jedności niepodzielnego Imperium. Lecz system nie przyniósł wówczas dobrych rezultatów; okazał się nietrwały, doprowadził nawet do wojen domowych. Na szczęście więc – można by rzec tak dzisiaj, a ten i ów myślał tak w latach tamtych – Walentynian odszedł i już się nie liczył; plany trójwładzy okazały się niepotrzebne. Obecnie można było przewidywać i nawet ustanawiać z góry, że cesarstwem podzielą się dwaj bracia: Arkadiusz i Honoriusz. Każdemu z nich dawało to większe siły w walce z barbarzyńcami, a zarazem pozwalało żywić lepszą nadzieję na zachowanie pokoju wewnętrznego. Ważne było dla Teodozjusza i to, że całe Imperium miało pozostać w ręku jego synów; przecież Walentynian II był z nim tylko

spowinowacony. My zaś patrząc z perspektywy wieków musimy stwierdzić: to, co się stało w Wiedniu w maju roku 392 – w ostatnim roku ostatniej olimpiady! – przesądziło o kształcie politycznym Imperium w roku 395; a kształt ten z kolei, utrwalony na długo, zaważył w sposób niezwykle na dziejach Europy.

To wszakże należało do spraw przeszłości. Obecnie natomiast na plan pierwszy wysuwało się pytanie, co zamierza zrobić Arbogast. Jedno było oczywiste i pewne: on sam nie przywdzieje purpury cesarskiej! Jako Germanin spotkałby się natychmiast z otwartą wrogością ludności rzymskiej we wszystkich prowincjach i z oporem ze strony władz cywilnych; a nawet reakcja żołnierzy najemnych obcego pochodzenia mogłaby być nieoczekiwana. Komes więc miał dwie drogi do wyboru. Mógł stwierdzić, że nie jest w niczym winien śmierci Walentyniana i nadal pozostaje całkowicie lojalny wobec Teodozjusza, który wyznaczy następcę zmarłego według swego uznania. Ale mógł też samowolnie osadzić na opustoszałym tronie Zachodu człowieka będącego tylko marionetką w jego ręku. Początkowo wydawało się, że Arbogast pójdzie pierwszą drogą. W Konstantynopolu mianowicie stawili się bardzo szybko jego wysłannicy, zawiadamiający, że młody cesarz popełnił samobójstwo – ku największemu bólowi komesa. Monety zaś, wybijane w podległych Arbogastowi mennicach Zachodu, nosiły wizerunek Arkadiusza; co stanowiło oczywistą wskazówkę, że chciałby widzieć go jako tamtejszego władcę.

W tej tak skomplikowanej sytuacji Teodozjusz postępował roztropnie i ostrożnie. Przyjął do wiadomości relację, przekazaną przez posłów Arbogasta, uznał ją za wiarogodną i oficjalną. Wciąż też odkładał decyzję w sprawie pogrzebu; ostatecznie zaś polecił pochować zwłoki nie w Konstantynopolu, lecz w Mediolanie; oczywiście nadało to ceremonii inny, skromny charakter. Wszystko to rzecz prosta nie oznaczało, by komesowi ufał. Chciał tylko zyskać na czasie, zebrać siły, poczynić najniezbędniejsze przygotowania. Tymczasem zaś siostra tragicznie zmarłego, cesarzowa Galla, nie ukrywała, że wersję szerzoną przez Arbogasta uważa za zwykłe kłamstwo, jego zaś samego za mordercę; żądała pomsty. A ta piękna, młoda kobieta miała niemały wpływ na męża – mimo wrogości pasierba, Arkadiusza. W tym też duchu, co i ona, działał niemal wszechwładny obecnie Rufin; może dlatego, że upatrywał dobrą sposobność do rozprawienia się z poganami, wciąż jeszcze piastującymi wysokie i odpowiedzialne urzędy.

Stanowisko naczelnika wojsk wschodniej części Imperium zajmował już od kilku lat Richomeres, Frank z pochodzenia i bliski krewny Arbogasta. Można by podejrzewać, że działał na korzyść tego ostatniego; byłoby to wszakże przypuszczenie błędne. Richomeres należał wprawdzie do żołnierzy obcego pochodzenia, uległ jednak całkowitej romanizacji, identyfikował swoją sprawę z interesami Imperium i cesarzy. A służył poprzednio już kilku, i to z bezprzykładną wiernością, lojalnością, odwagą. Wybił się tak dalece, że w roku 384 otrzymał najzaszczytniejszą godność – konsulatu. Wydaje się, że posiadał jakieś wykształcenie, na pewno zaś chętnie przestawał z intelektualistami. W czasie pobytu w syryjskiej Antiochii zaprzyjaźnił się z Libanusem, który słał publicznie jego oddanie dla dawnych kultów i bogów. W Konstantynopolu miał kontakty z niezmiernie tam cenionym retorem Temistiuszem. I wreszcie w Rzymie, gdzie bawił krótko latem roku 389 wraz z Teodozjuszem, poznał i otoczył opieką pewnego profesora literatury łacińskiej z tamtejszego środowiska. Cesarz oczywiście doskonale wiedział o pokrewieństwie łączącym obu Franków, Richomeres i Arbogasta. Mimo to nadal darzył pierwszego z nich zaufaniem niezachwianym.

Tak więc latem roku 392 obie strony, Teodozjusz i komes Zachodu, grały na zwłokę. Arbogast pierwszy przeszedł do działania. Uczynił krok wprawdzie nieodwracalny, lecz jeszcze nie oznaczający wypowiedzenia wojny. W dniu 22 sierpnia wyniósł na tron nowego, a raczej swojego cesarza tamtej części Imperium.



## Eugeniusz

Profesor ów, którego Richomeres poznał w Rzymie, zwał się Flawiusz Eugeniusz. Był podobno znakomitością w swojej dziedzinie. Odznaczał się wszakże nie tylko wiedzą i talentami dydaktycznymi, lecz także kulturą osobistą, miłym obejściem, dowcipem. Przynajmniej taki wizerunek kreśli jeden z autorów starożytnych. Kto wskazał i polecił wodzowi Eugeniusza? Zapewne senator Symmachus, doskonale zorientowany w świecie rzymskiej inteligencji. I właśnie ten człowiek książki i szkoły przypadł do serca Germaninowi, który z kolei zarekomendował go jak najgoręcej swemu krewnemu Arbogastowi, również przebywającemu w Rzymie w tym samym czasie, to jest w roku 389.

Takim to sposobem profesor Eugeniusz, choć nie piastował dotychczas żadnych urzędów, otrzymał natychmiast stanowisko ważne i wysokie. Został mianowicie „magister scrinii”, czyli kierownikiem sekretariatu u boku cesarza Walentyniana. Wraz z nim i Arbogastem wyjechał do Galii. Wybór wydawał się w pełni uzasadniony względami rzeczowymi. Uczyniono przecież sekretarzem cesarskim kogoś, kto pochodził z Rzymu, władał świetnie łaciną literacką, posiadał ogładę, cieszył się dobrą opinią. Dla komesa oczywiście istotniejszy był fakt, że Eugeniusz chętnie z nim współpracował. Dzięki niemu wiedział o każdym liście, przychodzącym do kancelarii Walentyniana lub z niej wysyłanym; a także o tym, jakie przygotowuje się dokumenty. Wynika stąd, że treść pisma, odwołującego go ze stanowiska, Arbogast znał już wcześniej. Nie był więc wcale zaskoczony i mógł pozwolić sobie na tak wzgardliwy gest oraz harde słowa odpowiedzi.

Kryje się w tym jakaś tajemnica, sprawa jest zagadkowa. Oto inteligentny, kulturalny Rzymianin, profesor i humanista, występuje jako sojusznik germańskiego oficera przeciw prawowitemu cesarzowi! Ktoś mógłby uznać, że sprawa jest prosta: Eugeniusza przekupiono lub znęcono obietnicą jeszcze świetniejszego awansu. Ileż to podobnych przypadków zna historia, nie tylko starożytna? Intelktualiści raczej nie okazują się odporni na pokusy lub groźby. Wprost przeciwnie, bywają aż nazbyt miękcy, niemal imponuje im współpraca z reprezentantem brutalnej siły, choć w cichości serca gardzą jego prymitywizmem. Za mało jednak mamy informacji, zbyt słabo znamy ówczesne stosunki i bohaterów wydarzeń, aby w danym przypadku właśnie tak wyrokować. Może istniały jakieś głębsze, racjonalne powody? Może Eugeniusz i Arbogast musieli współdziałać, mając na oku dobro nie tylko swoje, lecz i państwa? Kto wie, czy Walentynian był istotnie człowiekiem tak nieskazitelnym, tak łatwym w pożyciu i godnym podziwu, jak to bardzo wymownie przedstawia ze zrozumiałych powodów Ambroży w swej mowie pogrzebowej? W każdym razie niektóre czyny, czy też gesty młodego cesarza dają dużo do myślenia. Wydaje się przede wszystkim, że w pewnych okolicznościach postępował zbyt gwałtownie i porywczo. Bywał również drażliwy i reagował w sposób zdumiewający na wszelką, choćby pośrednią krytykę jego postępowania lub zachowania się, nawet gdy chodziło o kwestie stosunkowo drobne. Rozkazał wybić zwierzęta w swym parku myśliwskim tylko dlatego, że ktoś zarzucił mu zbyt dużą skłonność do polowań. A gdy ktoś inny zauważył, chyba nawet żartem, że cesarz zasiada do śniadań bardzo wcześnie, przestał w ogóle jadać rano; odtąd zdarzało się, iż przybywał na przyjęcia oficjalne, wydawane dla dostojników, zupełnie na czczo<sup>82</sup>. Wszystko to sprawy nieistotne, oczywiście; świadczą jednak o tym, że trudno z nim było przestawać na co dzień. A jeszcze jego gorliwość chrześcijańska! Ta, którą powodowany postanowił nie odwiedzać cyrków i teatrów nawet w dni urodzinowe cesarzy. Tymczasem zaś Eugeniusz należał do chrześcijan raczej chwiejnych i pod względem przekonań religijnych chyba bliższy mu był poganin Arbogast.

Pojawiły się później pogłoski, że Eugeniusz wiedział od początku o planach usunięcia Walentyniana; najpierw się wahał, później jednak przystał do spisku i pośrednio uczestniczył

---

<sup>82</sup> Ambroży, *De obitu Valentiniani consolatio*, 15–16.

w zabójstwie – wiedząc już, jaka czeka go nagroda. Trudno w tej sprawie głos zabierać, brak bowiem konkretnych świadectw, nasuwa się jednak podejrzenie, że owe pogłoski rozpuszczano na dworze Teodozjusza celowo, aby zożydzić uzurpatora.

A tymczasem nowy pan Zachodu zaczął natychmiast zabiegać o pojednanie z władcą Wschodu. Jego posłowie stawili się w Konstantynopolu. Rzecz charakterystyczna: Eugeniusz pozornie występował tylko i jedynie we własnym imieniu, nie wspominał w swym piśmie ani słowem o komesie Arbogaście, milczeli o nim także członkowie poselstwa. Teodozjusz długo zwlekał z odpowiedzią. Potem odprawił wysłanników uzurpatora w sposób godny, nie szczędząc darów, odpowiedzi wszakże nie udzielił żadnej. Owszem, wygłosił mowę, niezwykle łaskawą i łagodną w tonie, tak jednak zawila i dyplomatyczną, że nikt nie był w stanie zrozumieć, jakie zajmie stanowisko wobec żądań Eugeniusza.

## Upadek Tatiana

W istocie jednak, niezależnie od tego, co cesarz mówił i jak się zachowywał, decyzja już zapadła. Teodozjusz nie miał najmniejszego zamiaru uznawać w jakiegokolwiek formie tamtej strony za władzę legalną. Aby bronić jedności Imperium oraz dziedzictwa, które chciał przekazać synom nienaruszone, gotów był na wszystko, nawet na wojnę.

Na razie wszakże, idąc z pewnością za radami Rufina, ograniczył się do przeprowadzenia rodzaju czystki wśród najwyższych dostojników Imperium, podejrzewanych o chwiejność lub nielojalność; ofiarą jej padli oczywiście wyłącznie poganie. Trudno ustalić dokładnie, czy stało się to jeszcze przed wyniesieniem na tron Eugeniusza, czy nieco później, w odpowiednich bowiem dokumentach zachodzą pomyłki w dacie. W każdym jednak przypadku nie ulega najmniejszej wątpliwości, iż rzecz dokonała się jeszcze przed jesienią roku 392.

Pierwszy, jak się wydaje, odszedł ze swego stanowiska Nikomach Flawianus starszy. Był on przecież prefektem środkowej części Imperium, a więc tej, która w razie wojny stałaby się od razu celem ataku uzurpatora lub służyłaby za bazę działań przeciw niemu. Potem odejść musieli Tatian i jego syn Prokulus; jeden z prefektury Wschodu, drugi zaś Konstantynopola. Miejsce Tatiana zajął bezzwłocznie Rufinus, konsul roku. Osiągnął w tym momencie szczyt swej kariery politycznej; był formalnie i faktycznie pierwszą osobą w Imperium po samym cesarzu i jego synu.

Lecz to wcale mu nie wystarczało. Uznał, że musi tamtych dwóch zniszczyć także fizycznie; widocznie obawiał się, by po pewnym czasie nie powrócili oni do łask i władzy. Pojawiły się więc oskarżenia o nadużycia, jakich dopuścili się rzekomo obaj prefekci, ojciec i syn. Pierwszemu z nich, Tatianowi, zarzucano, że bezprawnie i nadmiernie zwiększał obciążenia podatkowe oraz że postępował zbyt rygorystycznie przy konfiskowaniu majątków prywatnych. Powołano specjalny trybunał dla rozpatrzenia zasadności oskarżeń; na jego czele stanął oczywiście sam Rufinus. Prokulus, przewidując słusznie, ku czemu to wszystko zmierza, uciekł w porę i zaszył się gdzieś tak sprytnie, że nikt nie mógł go odnaleźć. Tylko ojciec, jak podejrzewano, wiedział, gdzie trzeba go szukać. Zdołano wreszcie przekonać Tatiana, że będzie dla nich obu lepiej, jeśli Prokulus stawi się przed sądem jak najrychlej; Rufinus przysięgał, że nie spotka go nic złego, a nawet sam cesarz zapewniał, że można liczyć na jego łaskę. Lecz kiedy tylko były prefekt Konstantynopola pojawił się w stolicy, został uwięziony. Proces obu ciągnął się długo, przez wiele miesięcy. Zakończył się podwójnym wyrokiem śmierci. Najpierw odbyła się egzekucja Prokulusa; w dniu 6 grudnia roku 393, na jednym z przedmieść Konstantynopola, w obecności ojca. Opowiadano później, że cesarz wysłał gońca, który miał w ostatniej chwili wstrzymać egzekucję, aby w ten sposób zadość się stało jego przyrzeczeniu. Rufinus jednak, orientujący się we wszystkim, umyślnie nie pozwolił posłańcowi opuścić pałacu we właściwym momencie.

Była już mowa o inskrypcji, jaka widnieje na bazie obelisku, do dziś stojącego w hipodromie Konstantynopola; sprowadził ów obelisk cesarz Teodozjusz, a ustawiono go w roku 390, kiedy prefekturę miasta nad Bosforem sprawował Prokulus. Inskrypcje są właściwie dwie, bo grecka i łacińska, treści wszakże bardzo podobnej. Na obu imię Prokulusa zostało wnet po wyryciu zatarte, potem zaś wyryte na nowo. Zatarto je – rzecz to oczywista – zaraz po skazaniu i egzekucji byłego prefekta, wypisano zaś z powrotem w kilka lat później, kiedy to z kolei Rufinus został skazany i ścięty w obecności cesarza Arkadiusza; i także na przedmieściu Konstantynopola.

A jaki był los Tatiana? Doczekał się ulaskawienia, skonfiskowano wszakże jego majątek i kazano mu przebywać w Licji. Po upadku Rufinusa przywrócono mu tytuł, ale nie posiadłości; zmarł w podeszłym wieku, podobno oślepy, żyjąc niemal jak żebrak.

## 8 listopada

„Imperatorzy Teodozjusz, Arkadiusz i Honoriusz, Augustowie, do Rufinusa, prefekta pretorium:

Nikomiu absolutnie z ludzi, jakiegokolwiek rodzaju i stanu; nikomu spośród urzędników, czy to tych, co spełniają swe funkcje, czy też tych, co już je złożyli; nikomu, kto moŜny dzięki swemu urodzeniu, i nikomu, kto niski stanem, kondycją, majątkiem – nikomu w żadnym w ogóle miejscu i w żadnym mieście – nie wolno zabijać niewinnego zwierzęcia w ofierze martwym posągom; nie wolno też czcić sekretną ofiarą przebłągalną lara ogniem, ducha opiekuńczego winem, penatów wonnościami; nie wolno zapalać im światła, kłaść kadzidła, zawieszac wieńców.

Jeśli zaś ktoś ośmieli się złożyć zwierzę w ofierze i badać wnętrzości jeszcze dymiące, zostanie oskarŜony jak ten, kto dopuścił się obrazy majestatu. OskarŜać moŜe kaŜdy, a winny otrzyma wyrok odpowiedni; nawet jeśli nie wywiadywał się o nic, co by było przeciwne zdrowiu cesarzy lub co by ich zdrowia dotyczyło. Wystarcza bowiem jako ogrom zbrodni, że pragnie się poznać prawa samej natury; poszukiwać tego, co niedozwolone; odsłaniać, co zakryte; badać, co zabronione; dochodzić, jaki jest kres czyjegoś życia; obiecywać nadzieję cudzego zgonu”<sup>83</sup>.

Tak brzmią pierwsze zdania ustawy, która ukazała się w dniu 8 listopada, kiedy konsulami byli Arkadiusz po raz drugi i Rufinus, czyli w roku 392. Jest to chyba najobszerniejsza i najważniejsza ustawa antypogańska w całym zachowanym prawodawstwie rzymskim. Zbiera, ujednolica, rozszerza i zaostrza wszystkie wcześniejsze w tym przedmiocie. A w ciągu wieku IV kolejni cesarze wydali ich sporo! Zakazuje wykonywania wszelkich obrządków pogańskich w jakichkolwiek ich formach bez wyjątku. Nie wolno ich praktykować nikomu, nigdzie, w żaden sposób; nie tylko w świątyniach, lecz i w domach prywatnych. Nie wolno składać w ofierze nie tylko zwierząt, ale nawet najskromniejszych darów symbolicznych; a więc kwiatu, kadzidła, lampki lub świeczki. Kto by zaś po zabiciu zwierzęcia na ołtarzu bogów jeszcze przeglądał jego wnętrzości w celach wróżebnych, jak to nakazywała prastara tradycja, naraŜał się na kary groŜące tym, którzy obrazili majestat cesarza i ludu rzymskiego. Oznaczać to mogło, gdyby ściśle stosować literę prawa, konfiskatę majątku, wygnanie, więzienie, a nawet śmierć.

W dalszym ciągu ustawa z 8 listopada zwracała się przeciw najprostszemu, a więc i najbardziej powszechnemu, najżywotniejszemu kultom, zwłaszcza wieśniaczym. Kto by drzewo oplótł wstążkami, kto by wznosił ubogi ołtarzyk ziemny, obłożony darnią, obraŜał tym samym – tak twierdzi ustawa – religię. ToteŜ właściciel domu lub ziemi, gdzie odbyła się cere-

---

<sup>83</sup> C Th XVI 10, 12.

monia, zostanie ukarany konfiskatą owej posiadłości na rzecz skarbu, jeśli o przestępstwie wiedział i w nim współuczestniczył; ale nawet gdyby dopuszczono się obrządku pogańskiego bez wiedzy właściciela, musiał on wpłacić tytułem grzywny 25 funtów złota, podobnie jak każdy z uczestników. Opiekunowie miast i członkowie rad miejskich mają donosić jak najrychlej sądom o przypadkach pogwałcenia ustawy, a te winny wszczynać postępowanie bezzwłocznie. Gdyby władze usiłowały rzecz zataić, same poniosą karę, sędziowie zaś, jeśli by odkładali postępowanie i wyrok, zapłacą tytułem grzywny 30 funtów złota, podobnie jak i podlegli im urzędnicy.

A więc dzień 8 listopada roku 392, gdy promulgowano ustawę, miał stać się dniem oficjalnej śmierci pogaństwa w granicach cesarstwa. Taka była intencja i wola cesarza oraz jego doradców. Wbrew jednak wszelkim wysiłkom i przewidywaniom ustawodawców, nawet cios tak potężny nie powalił zupełnie dawnej wiary. Choć zepchnięta jakby w podziemia, żyła ona jeszcze przez wieki, a można by rzec bez żadnej przesady, że tak naprawdę nigdy nie zmarła; owszem, przeszła pewną metamorfozę, przybrała inne oblicze, czy też maskę, odmieniła imiona i nazwy – a wszystko po to, by wejść chyłkiem do obozu wroga. Ale to już inna sprawa. W każdym zaś razie od dnia 8 listopada trzeba było szukać bardzo przemyślnych sposobów i wybiegów, by potajemnie jeszcze praktykować cześć starych bogów.

Gdyby ktoś szukał tekstu prawnego, mogącego stanowić podstawę lub przynajmniej poszlakę dla twierdzenia, że igrzyska olimpijskie zniesiono jakimś formalnym edyktem, to właśnie ta ustawa stanowiłaby taki dokument; a to dlatego, że igrzyska owe zawsze wiązały się z pewnymi ofiarami i ceremoniami przy ołtarzach bogów, a zwłaszcza w świątyni pana miejscowości i opiekuna zawodów – Zeusa. Można by też utrzymywać, że łącznie z tą ustawą lub w jej następstwie ukazała się jakaś inna, do naszych czasów nie dochowana, a wyraźnie kładąca kres uroczystościom w Olimpii. To drugie przypuszczenie można by nawet uznać z pewnych względów za prawdopodobiejsze. W jaki bowiem inny sposób wyjaśnić fakt, o którym była już mowa: oto mimo ustawy 8 listopada święcono w Antiochii nadal i bez przeszkód igrzyska zwane olimpijskimi? Ale – i o tym już wspominaliśmy – jest również inne wyjaśnienie tej sprzeczności: zawody w Olimpii łatwo było znieść, bo ludności miejscowej prawie tam nie było, brakowało również środków finansowych. Zupełnie inaczej rzecz przedstawiała się w Antiochii: mieszkańcy ogromnej metropolii pasjonowali się igrzyskami, koszty zaś pokrywali ludzie zamożni w ramach obciążeń nakładanych na nich przez władze.

Jest więc możliwe, że igrzyska roku 393 w Olimpii już się nie odbyły, choć jeszcze się do nich przygotowywano. W takim przypadku ostatnia olimpiada świata starożytnego, rozpoczęta w roku 389, nie znalazła już swego naturalnego kresu i biegła długo, bo aż do pierwszych igrzysk naszej epoki, czyli do roku 1896. W każdym zaś razie rok 393 to ostatnia dopuszczalna data roczna; pamiętamy bowiem o wyraźnym świadectwie kronikarza, że olimpiady zgasły jeszcze za życia Teodozjusza. Tak czy inaczej stało się to w toku ostatniego politycznego zrywu pogaństwa i ostatniej z nim rozprawy; bo właśnie w roku 393 Eugeniusz i Arbogast opowiedzieli się jawnie i zdecydowanie po stronie dawnych bogów.

## Rok 393

Lecz początkowo wcale nie wyglądało na to, że uzurpator i Arbogast staną się poplecznikami pogaństwa. Kiedy senat rzymski, znający dobrze sympatie religijne komesa oraz chwiejność przekonań byłego profesora, zwrócił się do nich z prośbą o ponowne finansowanie ze skarbu państwa kultu bogów w stolicy względnie o oddanie skonfiskowanych dóbr świątynnych, spotkał się z odmową, i to dwukrotnie. Eugeniusz bowiem, wciąż się łudzący, że cesarz wreszcie pójdzie na ustępstwa, nie chciał podejmować żadnych decyzji w sprawach spornych i drażliwych, obawiał się również reakcji chrześcijan. W szczególności zaś nie mie-

szał się na razie w kwestie związane z Italią, ziemią nadal niczyją, jako że żadna ze stron nie miała tam swoich wojsk. Jak się wydaje, chętnie by zrezygnował z wszelkich pretensji do środkowej części Imperium w zamian za oficjalne uznanie jego władztwa na Zachodzie. Dążąc więc do legalizacji obecnego stanu faktycznego zaproponował, aby konsulami roku 393 zostali Teodozjusz i on sam. Ta sugestia została przez dwór wschodni odrzucona względnie pominięta wzdurliwym milczeniem. Ogłoszono natomiast w Konstantynopolu, że w dniu 1 stycznia roku 393 konsulami obejmują: Teodozjusz po raz III i Abundancjusz, naczelnik wojsk. Tak też datowano przez cały ten rok we wszystkich prowincjach, znajdujących się pod władzą prawowitą. Na Zachodzie wszakże dokumenty oficjalne nosiły datację: „za konsulatu Eugeniusza” (a więc występował on jako konsul jedyny!), albo też: „w pierwszym roku po konsulacie Arkadiusza i Rufinusa”. Z czego wynika, że rok, w którym odbyły się lub odbyć miały po raz ostatni igrzyska w Olimpii, nosił w ówczesnym świecie nazwy różne – skutkiem konfliktów politycznych i wewnętrznego rozdarcia Imperium. To wszystko ma oczywiście swoją wymowę symboliczną.

Jeszcze wyraźniejszym dowodem tego, że Teodozjusz nigdy nie uzna obecnego pana Zachodu za współtowarzysza swej władzy, była uroczysta ceremonia, jaka odbyła się w Konstantynopolu w ciągu stycznia roku 393. Honoriusz, młodszy, zaledwie ośmioletni syn cesarza, został obwołany Augustem; otrzymał więc ten sam najwyższy tytuł i stopień dostojności, jaki jego ojciec posiadał już od lat czternastu, a brat starszy, Arkadiusz, od lat dokładnie dziesięciu.

Jednakże Zachód mógł przeciwstawić owym formalnym demonstracjom ze strony dworu wschodniego rzeczywiste i poważne sukcesy militarne. Najpierw, jeszcze zimą roku 392/393, Arbogast przekroczył Ren w okolicach Kolonii i spustoszył ziemie swych rodaków – Franków. Sam Eugeniusz pozostawał na tyłach wojsk rzymskich. Tak nakazywała powaga majestatu, a zapewne też doradzała profesorska przezorność. Przyjął posłów, których wysłali Frankowie i Alamanowie, zawarł z nimi pokój na warunkach korzystnych dla Imperium.

O tych działaniach wojennych należało koniecznie tu przypomnieć, nie chodzi bowiem o zwykłą, jeszcze jedną z niezliczonych kampanii przeciw barbarzyńcom. Pokazuje się mianowicie, że dokładnie w roku ostatniej olimpiady Imperium zachodnie stanowiło wciąż i nadal militarną potęgę, zdolną do prowadzenia działań zaczepnych poza swymi granicami, i to na ziemiach najbitniejszych plemion germańskich. A przecież właśnie tu, na Zachodzie, katastrofa wojskowa i polityczna stała już u progu! Czy jednak była ona nieunikniona? Kto wie, gdyby nie splot nieszczęsnych przypadków, może wszystko potoczyłoby się inaczej, korzystniej dla samego bytu cesarstwa oraz dla jedności i kultury Europy. A do owych feralnych przypadków należała i uzurpacja Eugeniusza wraz z jej bezpośrednimi skutkami, należały też małostkowe intrygi, paraliżujące niejednokrotnie politykę dworów Imperium, podzielonego trwale po śmierci Teodozjusza.

Taki był pierwszy, wcale poważny sukces militarny Eugeniusza i jego komesa. Następny zaś stanowiło opanowanie wiosną roku 393 Italii i Rzymu; a dokonano tego bez walki. Nawet biskup Ambroży nie odmawiał obecnie uzurpatorowi tytułu cesarza. Co prawda przezornie wyjechał z Mediolanu, kiedy tylko się dowiedział, że ma tam przybyć władca wciąż nieuznawany przez Teodozjusza. Natomiast bardzo życzliwie witali nowego pana pogańscy arystokraci w samym Rzymie, dawni jego znajomi i poplecznicy. Eugeniusz wynagradzając (lub też kupując) tę gotowość współpracy, przystał na żądanie, jakie wysuwali oni już poprzednio: zwrócił dobra zabrane świątyniom. Pragnął wszakże uniknąć otwartego zatargu z Kościołem, przeprowadził więc rzecz w sposób niejako pośredni, czy też okrężny: dobra te mianowicie otrzymali senatorzy – na pewno ci, którzy aktualnie sprawowali godności kapłańskie dawnej religii – ale z tym zastrzeżeniem, że dochody z nich obróćą na pokrycie kosztów kultu, ofiar, konserwacji budynków.

Prawdziwą podporą polityki Eugeniusza w Italii, jego najgorętszym sojusznikiem, a zarazem płomiennym i ofiarnym orędownikiem sprawy bogów, stał się Wiriusz Nikomachus. Dzięki uzurpatorowi objął on ponownie godność prefekta półwyspu.

## Szansa sprawy bogów

„Pod wodzą prefekta pretorium Flawiana poganizm przeszedł wówczas do ofensywy po raz ostatni, i to z siłą zaskakującą. Wydawało się, że powracają dni Juliana Apostaty. Najrozmaitsze kultury i obrzędy wschodnie oraz rzymskie święciły wówczas w stolicy swe wskrzeszenie; nawet takie, które nie egzystowały od pół wieku lub więcej. Burzono budowle, wzniesione z materiału wydartego dawnym świątyniom. Zwracano dobra, skonfiskowane przybytkom. Udało się Flawianowi skłonić do apostazji ambitnych chrześcijan. Nie posługiwał się wprawdzie w tym względzie środkami przymusu, rząd jednak zapowiedział, że natychmiast po klęsce Teodozjusza bezlitośnie proskrybuje chrześcijan i wcieli kler w szeregi armii. A stronnicy Eugeniusza nie żywili żadnej wątpliwości co do tego, iż przeciwnik zostanie pokonany; taką wiarą darzyli przepowiednię, rozgłaszaną przez Flawiana, najświetniejszego znawcę dawnej sztuki augurów.

Obserwator trzymający się ściśle tylko faktów może uznać za zbyt proste pytanie, jaki dalszy kierunek przyjąłaby historia religijna i intelektualna naszej cywilizacji, gdyby prorocstwo Flawiana się sprawdziło; lecz naszej wyobraźni wolno temat ten rozwinąć. Istnieje sporo argumentów, które da się wysunąć przeciw obiegowej opinii jakoby szanse sukcesu reakcji pogańskiej były wówczas nikłe. Nie należy mianowicie zapominać, że w dwa i pół wieku później chrześcijaństwo poddało się prawie bez oporu dominacji islamu właśnie w tych krajach, gdzie miało korzenie najstarsze i najmocniejsze; poddało się bezpośrednio po okresie bardzo zacieklej dyskusji dogmatycznych lub nawet jeszcze w ich toku. A przecież w wieku VII w krajach owych nie brakowało ludzi porównywalnych ze świętym Ambrożem pod względem powagi moralnej i fanatycznego zapału; jak nie brakuje ich prawie nigdy i nigdzie. Dalej, owa siła propagandowa, która tkwi w bezinteresownym oddaniu – szczerym lub pozornym – pewnemu ideałowi, która tak ogromnie się przyczyniła do ekspansji chrześcijaństwa, musiała stopniowo przesuwać się na korzyść pogaństwa, w miarę jak elementy o mniejszej wartości etycznej przechodziły z przyczyn interesownych do obozu zwycięzcy. Pamięć boskiego Juliana – a hołd złożył jej nawet pobożny poeta hiszpański Prudencjusz około roku 400 – działała z pewnością propagandowo także na rzecz przekonań religijnych wielkiego cesarza. A najbardziej poważani senatorzy pogańscy strzegli z umiłowaniem dziedzictwa lepszej przeszłości; zapałowi filologicznemu ich oraz ich potomków zawdzięczamy w znacznej mierze ocalenie klasyków łacińskich”<sup>84</sup>.

Takie refleksje nasunęły się Ernestowi Steinowi (pochodził z Polski, z ziemi krakowskiej, studiował w Wiedniu, pracował naukowo w Berlinie i Brukseli, zmarł we Fryburgu szwajcarskim), znakomitemu znawcy epoki późnego cesarstwa i autorowi wciąż fundamentalnego dzieła o tym okresie; nasunęły się owe myśli, gdy przyszło omawiać sprawę Eugeniusza i Flawiana oraz renesansu pogaństwa w Rzymie. Słowa te, pochodzące z ust bardzo autorytatywnych, pozwolą może lepiej zrozumieć, jak ogromny walor dziejowy miała ostatnia walka, tak rozpaczliwie toczona przez obrońców dawnych bogów właśnie i dokładnie w latach ostatniej olimpiady; walka doniosła i znamienita, choć prawie całkowicie zapomniana, niedoceniana, wręcz lekceważona – nawet przez wielu historyków.

Postać Juliana Apostaty od wieków przyciąga zainteresowanie nie tylko badaczy, lecz i pisarzy, dramaturgów, eseistów i filozofów; nieustannie, jak i przed wiekami, za życia, budzi namietności, spory, dysputy, staje się symbolicznym wykładnikiem pewnych poglądów i prądów. Ileż to opracowań różnego typu poświęcono we wszystkich językach europejskich temu władcy i jego polityce, ileż to animozji wywołuje jeszcze dziś każda o nim wzmianka, każda

---

<sup>84</sup> E. Stein. *Histoire du Bas Empire* (poprawione tłumaczenie francuskie oryginału niemieckiego), Paris–Bruges 1959, I 213.

próba spokojnego wskazania wartości, którym służył, celów, które realizował, metod, którymi dzieło swe budował! Jak wiadomo, Julian panował krótko, jawnie zaś mógł wcielać w życie swe ideały w ciągu okresu jeszcze krótszego; naprawdę było to zaledwie półtora roku, od późnej jesieni 361 do czerwca 363. Otóż niemal dokładnie taki sam okres działania dali bogowie swym ostatnim wybitnym i politycznie znaczącym wyznawcom: Eugeniuszowi, Arbogastowi, Flawianowi; licząc oczywiście od opanowania przez nich Italii wczesną wiosną roku 393. A więc to nie krótkotrwałość ich rządów sprawia, że oni sami i dzieło, jakie usiłowali realizować, poszło w zapomnienie; przecież i Julianowe władztwo było tylko meteorem! Rzecz w czym innym: dokumentacja jest w obu przypadkach pod każdym względem odmienna. Zachowało się kilka tomów pism samego Juliana, zachowały się księgi historyka Ammiana Marcellina, panegiryczne mowy Libaniasza i pamflety Grzegorza z Nazjanzu – by wymienić tylko najważniejsze zespoły źródeł, mówiące szeroko i barwnie o tamtej pierwszej próbie odrodzenia pogaństwa. Natomiast o profesorze literatury, który przywdział purpurę cesarską; o arystokracie, który bronił bogów swych ojców; o frankijskim komesie, który wierny Rzymowi i jego bóstwom gromił swych pobratymców dzielniej niż sami ówcześni Rzymianie – o nich i o ich czynach wiemy wyłącznie ze strzępów przypadkowych, cząstkowych relacji.

Wyobraźnia pisarza lub błyskotliwość spostrzeżeń eseisty mogłyby pięknie uzupełnić tę nikłość i fragmentaryczność materiałów źródłowych; w każdym zaś razie pobudziłyby do refleksji. Historyk wszakże musi skromnie poprzestać na tym, co wiadomo konkretnie. Lecz i on przyzna chętnie: ubóstwo informacji w niczym nie umniejsza i nie może umniejszyć wagi bezspornego faktu, że owi szermierze sprawy pogaństwa w latach ostatniej olimpiady byli naprawdę bliscy zwycięstwa, przynajmniej zwycięstwa orężnego na polu bitwy. Łatwo zaś wyobrazić sobie, jakie byłyby dalsze jego skutki w sferze polityki religijnej i kulturalnej.

## Rzeka Frigidus

Do bitwy wszakże doszło dopiero późnym latem, z początkiem września roku następnego, to jest 394. Także ten rok inaczej zwano na Zachodzie, inaczej zaś na Wschodzie, różnych bowiem powołano tu i tam konsulów. Gdzie więc władał Eugeniusz, datowano: „za konsulatu Nikomacha Flawiana”; był on konsulem jedynym – a dodajmy, że syn jego piastował równocześnie godność prefekta miasta Rzymu. W krainach zaś podległych Teodozjuszowi znajdujemy datację odmienną: „za konsulatu Arkadiusza po raz III i Honoriusza po raz II”.

Eugeniusz i Arbogast nie atakowali, mając bowiem w swym ręku Brytanię, Galie, Hiszpanię oraz Italię nie chcieli niczego więcej. Wystarczało im to, co już posiadali. Tego gotowi byli bronić wszelkimi sposobami, nie zamierzali natomiast iść dalej na Wschód, w szczególności zaś wkraczać na Bałkany. Zdawali sobie dobrze sprawę, że teren to trudny, górski, porośnięty rzekami i głębokimi dolinami, gdzie przeciwnik może wciągnąć w zasadzkę lub wymusić bitwę w miejscu, jakie jemu odpowiada. Odstraszący przykład stanowiły katastrofy wojenne, jakie właśnie na Bałkanach spotkały dwóch innych śmiałków: przed przeszło czterdziestu laty Magnencjusza, a przed zaledwie sześciu Maksymusa. Obaj oni byli, jak obecnie Eugeniusz, uzurpatorami, obaj też zostali obwołani cesarzami w Galii i wojska swe głównie stamtąd rekrutowali. Toteż obecny pan Zachodu i jego komes wcale nie myśleli powtarzać błędów swych poprzedników. Inicjatywę działań pozostawili Teodozjuszowi.

Nie mając wyboru musiał on przejść do ofensywy. Przygotowywał wyprawę długo i starannie, armię zaś zebrał ogromną. W skład jej wchodziłi żołnierze z różnych prowincji Imperium, ale także najemnicy i sojusznicy spoza jego granic: Goci (siedzieli na ziemiach cesarstwa od niedawna), Medowie, Armeńczycy, Arabowie. Całością dowodził początkowo Richomeres, ów Frank spokrewniony z Arbogastem, zmarł jednak przed wyruszeniem w pole. Cesarz mianował wówczas kilku wodzów: oddziały rzymskie powierzył Stylichonowi, gockie

Gainasowi, wschodnie zaś Bakuriusowi, rodem z Kaukazu. Na czele stał sam Teodozjusz. Opuścił Konstantynopol chyba dopiero w maju, pogrążony w żałobie; druga jego żona Galla zmarła niedawno w połogu, wydając na świat martwe dziecko.

Ogromne zastępy zbrojnych posuwały się na zachód powoli. Na dłużej zatrzymały się w mieście Sirmium nad Sawą, nieco na wschód od dzisiejszego Belgradu. Oczekiwano tu wieści o przeciwniku, zapewne wciąż się łudząc, że zdecyduje się on przekroczyć Alpy. Owszem, Eugeniusz i Arbogast opuścili Mediolan w lipcu (komes groził na wyjeźdnym, że gdy powróci jako zwycięzca, uczyni z tamtejszego kościoła stajnię – do tego stopnia doszło zacierzenie obu stron!) i obsadzili pasmo górskie, oddzielające starożytną Emonę, czyli dzisiejszą Lublanę, od nizin północnej Italii. Ważna strategicznie droga, łącząca Akwileję z Emoną, wiodła doliną potoku o nazwie Frigidus, Zimny; ten dopływ rzeki Isonzo nosi obecnie miano Wipawa. Właśnie w dolinie rozbił Arbogast swój obóz, otoczywszy go drewnianą palisadą i wieżami; natomiast gdzieś w górach umieścił oddział pod wodzą Arbitiona, aby w stosownym momencie odciąć odwrót wojskom Teodozjusza. Na szczytach ustawiono posągi Jowisza ze złocistymi piorunami w ręku; wróżyły zwycięstwo, a zarazem symbolizowały sprawę, o którą toczy się wojna.

W dniu 5 września oddziały barbarzyńskich sojuszników Teodozjusza wspiąwszy się bez przeszkód na przełęcze górskie zaczęły zstępować w dolinę. Dopiero tutaj natknęły się na przeciwnika. Nie mogąc w ciasnocie rozwinąć szyków, atakowane niespodziewanie z różnych stron, poniosły straszliwe straty w morderczych zmaganiach. Zginął wówczas jeden z najdzielniejszych wodzów, Bakurius. Zwycięstwo Eugeniusza wydawało się pewne. Jedynym niepowodzeniem było to, że Arbition zdradził i przeszedł na tamtą stronę, co umożliwiło Teodozjuszowi odwrót bezpieczny. Triumfujący uzurpator rozdawał wieczorem nagrody swym żołnierzom; w jego obozie przez całą noc płonęły ogniska, trwały uczyty i radosne rozmowy. Natomiast w namiocie Teodozjusza toczyły się gorączkowe narady; wielu z dowódców wołało, że trzeba wycofać się stąd póki czas. Ostatecznie jednak odrzucono ten defetystyczny pogląd. Przeciwnie, postanowiono wyzyskać zamieszanie i brak czujności w obozie wroga, aby przerzucić nocą jak najwięcej wojsk w dolinę i raz jeszcze próbować szczęścia w boju.

Tak więc rankiem dnia 6 września obie armie stanęły naprzeciw siebie twarzą w twarz. Nie znamy dokładnie przebiegu planu bitwy, wiemy jednak, że o wyniku jej zadecydowały dwa wypadki. Zerwał się silny wichur, zwany w tych okolicach bora, uderzając z ogromną mocą wprost w ludzi Eugeniusza. Porywy wichury spychały miotane przez nich pociski i strzały niby żdźbła, dodawały zaś impetu pociskom strony przeciwnej. Bardzo możliwe, że właśnie to niespodziewane, a tak szczęsne dla Teodozjusza zjawisko natury, pomogło drugiemu wypadkowi: oto udało się w pewnym momencie podpalić drewniane umocnienia obozu Arbogasta, gdzie już się schroniła znaczna część jego żołnierzy.

Rozproszone i spychane ku rzece oddziały Eugeniusza jeszcze walczyły, kiedy on sam został pojmany. Przywiedziono go przed stopy zwycięzcy i ścięto, rzekomo wbrew woli Teodozjusza. Głowę zatknietą na wysokiej włóczni obnoszono triumfalnie po całym polu bitwy, by pokazać naocznie żołnierzom galijskim, że opór ich już daremny. Tym, którzy się poddawali, cesarz darowywał życie.

Arbogast zdołał uciec. Przez dwa dni błąkał się po górach, pilnie poszukiwany. Nie widząc już ratunku, zadał sobie śmierć mieczem. Popełnił samobójstwo również Flawian starszy, prefekt i konsul, podobno ku wielkiemu żalowi cesarza, który skłonny byłby okazać mu łaskę. W każdym razie wspaniałomyślnie potraktował jego syna, Flawiana młodszego, prefekta Rzymu. Ten schronił się wraz z bratem w kościele. Teodozjusz pozwolił obu im odejść z życiem, pod warunkiem jednak, że przyjmą chrześcijaństwo; co też obaj uczynili. Mogli również zatrzymać ogromne majątki rodowe, z tym tylko, że musieli zwrócić do skarbu pobory, jakie ojciec ich miał piastując z łaski uzurpatora – a więc nielegalnie – godność prefekta Italii.



W latach następnych, za panowania Honoriusza, ów Flawian młodszy był jeszcze dwukrotnie prefektem Rzymu, a pod sam koniec życia, za rządów Walentyniana III, osiągnął nawet tę samą godność, co niegdyś ojciec: został prefektem Italii i Afryki. Ale dla kultury europejskiej najważniejsza i najtrwalsza w swych skutkach jest działalność Flawiana młodszego w innej dziedzinie. Oto, będąc jak i ojciec gorącym miłośnikiem przeszłości swej ojczyzny, wyszukał, przeczytał i poprawił rękopis dziesięciu pierwszych ksiąg ogromnej historii Rzymu pióra Liwiusza; tej, która nosi tytuł *Ab urbe condita – Od założenia miasta*. Pracował nad tym w swym majątku na Sycylii, w pobliżu Henny; o czym świadczą krótkie notatki, tak zwane subskrypcje, poczynione przezeń na ostatnich stronach kilku ksiąg Liwiuszowych, a przepisane dość bezmyślnie przez późniejszych skrybów średniowiecznych. Jeśli znaczna część dzieła owego historyka zachowała się do naszych czasów, to w niemałym stopniu dzięki wysiłkom Flawiana Nikomacha i grona jego przyjaciół.

Bitwa w dolinie rzeki Frigidus we wrześniu roku 394 była ostatnim zbrojnym starciem świata pogan i chrześcijan. Mniej więcej w tymże czasie igrzyska w Olimpii zgasły cicho, spokojnie, w zapomnieniu. Tu łała się krew, krzyżowały się miecze, tysiące poległych zaścieliło pola nad brzegami górskiego potoku. Przebieg i sceneria dwóch różnych wydarzeń, tak bliskich sobie chronologicznie, były więc całkowicie odmienne. Lecz jedno i drugie oznaczało w swej treści istotnej to samo: kres wielkiej epoki dziejowej.

## Eleuzis i Olimpia

Skoro zaś kończy się opowieść o czasach ostatniej olimpiady, wypada przypomnieć i uzupełnić – także w tym celu, aby krąg się zamknął – to, o czym była mowa na pierwszych stronach książki:

Teodozjusz stanął w Mediolanie wczesną zimą roku 395, bardzo osłabiony. Tłumaczono to w jego otoczeniu trudami zeszłorocznej kampanii wojennej, tej przeciw Eugeniuszowi, w istocie jednak przyczyna niemocy tkwiła głębiej. Chory czuł się tak źle, że dni swoje uważał już za policzone. Przygnębiało go również – przynajmniej tak opowiadano – wspomnienie pewnej przepowiedni, jaką usłyszano z ust pustelnika imieniem Jan jeszcze w trakcie pierwszych przygotowań do wyprawy przeciw uzurpatorowi. Eremita przebywał w południowym Egipcie, na szczycie wysokiej góry, w celi, którą wzniósł własnymi rękami; nie opuszczał jej przez lat dziesiątki. Jadał tylko surowe owoce i warzywa (bo ognia nie rozpałał nigdy), składane w ofierze na progu przez okolicznych mieszkańców oraz pielgrzymów, przybywających tu ze stron dalekich. Można było ujrzyć jego twarz i usłyszeć słowa tylko w soboty i niedziele, kiedy otwierał na krótko okno swej celi; wtedy udzielał rad, niekiedy zaś – tak mówiono – odsłaniał przyszłość. Gdy sława świątobliwości i mocy wieszczey – sława fantastycznie ubarwiona – dotarła do Konstantynopola, cesarz wyprawił do Egiptu swego zaufanego eunucha, by zapytał, jaki będzie wynik zmagania obecnych. Późniejsza legenda twierdziła, że Jan odpowiedział: Twój pan w tej wojnie zwycięży, lecz wnet potem umrze!

W każdym razie cesarz, który pokonał przeciwnika, a sam stał się ofiarą cierpień nieznośnych, przewidywał najgorsze. Z tego powodu rozkazał przywołać z Konstantynopola syna młodszego, zaledwie jedenastoletniego Honoriusza. Kiedy tylko chłopiec zjawił się w Mediolanie, ojciec jakby odzyskał siły. I to do tego stopnia, że uznał za wskazane właśnie teraz i tutaj uczcić wyścigami rydwanów zwycięstwo, jakie przed kilku miesiącami odniósł w dolinie rzeki Frigidus. Zawody wyznaczono na dzień 17 stycznia. Teodozjusz przybył wraz ze swym orszakiem do hipodromu już we wczesnych godzinach rannych; albowiem ów cesarz, za którego panowania zgasły igrzyska w Olimpii, wcale nie należał do bezwzględnych przeciwników tego rodzaju rozrywek. Kto wie, może nawet pasjonował się nimi, dzieląc upodobania ogromnej większości swych poddanych? Ci bowiem nie bardzo chcieli pojąć, że emo-

cje, jakich dostarczają stadiony i sceny, to podstępne sztuczki szatana i perfidnych sług jego, przyjemności grzeszne w swej istocie, a zgubne w skutkach – jak uporczywie wołała garstka najgorliwszych i najwymowniejszych szermierzy nowej religii.

Teodozjusz zmarł tego samego dnia późnym wieczorem w mediolańskim pałacu. Za dwa dni, 19 stycznia, obchodziłby szesnastą rocznicę swego panowania. Imperium zostało podzielone pomiędzy dwóch jego synów; a podział ten miał się okazać trwały i ostateczny. Jeszcze w tymże samym roku 395, i to za ledwie w kilka miesięcy po śmierci wielkiego władcy, spadł na część wschodnią cesarstwa cios bolesny; i to spadł na ziemię najbogatsze w zabytki, na miejsca otaczane powszechnie czcią największą! Wystarczy wymienić same ich nazwy, święte dla każdego Hellena: wróg najechał Ateny, miasto Sofoklesa i Sokratesa, Platona i Arystotelesa; Eleuzis, przybytek bogiń Demeter i Persefony; Olimpię, gdzie jeszcze tak niedawno odbywały się igrzyska i herold ogłaszał prastarym zwyczajem ekecheirię, czyli pokój na okres trwania zawodów. Jak doszło do tego? Zbuntowali się dotychczasowi sojusznicy Teodozjusza, Wizygoci, walczący po jego stronie w bitwie nad rzeką Frigidus. Prowadził ich Alaryk. Pustosząc szeroko różne krainy Bałkanów przeszli Termopile. Zdobyli i złupili Ateny oraz leżące w pobliżu Eleuzis, a masy ich mieszkańców pognali w niewolę. Spalili Korynt. Wdarli się na Peloponez. Grabiąc tamtejsze okolice nie oszczędzili także Olimpji, gdzie nagromadziły się w świątyniach w ciągu wieków niezmierne masy drogocennych przedmiotów, darów wotywnych i ozdób wszelakich. Same budowle pozostały, także większość posągów; barbarzyńcy nie mieli czasu lub po prostu nie chcieli – bo i po cóż trud daremny? – obalać ich, palić i niszczyć. Lecz materialna ruina już się zaczęła, już usunięto brutalnie część świętego wystroju; i to dokładnie w tymże czasie, kiedy zamarły też zawody, uleciał więc na zawsze, by tak rzec, duch ożywiający olimpijską osadę nad rzeczką Alfejos. Nie wiadomo natomiast, jaki los spotkał najslawniejsze tam dzieło sztuki, ogromny posąg Zeusa, pana miejscowości, rzeźbę wykonaną przez Fidiasza. Świadczenia nie są zgodne. Jedno z nich twierdzi, że posąg spłonął w czasie pożaru, jaki strawił świątynię w roku 426; w takim wszakże przypadku chodziłoby tylko o szkielet posągu, jego bowiem drogocenną okładzinę ze złota, kości słoniowej, kosztownych kamieni, na pewno zabrali już wcześniej rabusie i grabieżcy, niekoniecznie nawet Goci. Lecz inne świadectwo podaje, że posąg przewieziono już przedtem, może nawet za Teodozjusza Wielkiego, do Konstantynopola, i umieszczono w pałacu zwanym Lauzejon; tam padł ofiarą pożaru wraz z innymi arcydziełami sztuki w roku 476.

I znowu, mówiąc o najeździe Wizygotów na ziemię Hellady, trzeba wskazać symboliczną zbieżność pewnych wydarzeń; jak tyle już razy na kartach tej książki! Czyż jednak nie jest uderzający i wymowny fakt, że w tym samym czasie śmierć spotkała zarówno igrzyska w Olimpji, ów prawdziwy przybytek kultury fizycznej, radości ciała i życia świata helleńskiego przez tyle wieków, jak też świątynię w Eleuzis, miejsce najtajniejszych obrządków religijnych przez całe stulecia? Można nawet rzec, że Wizygoci rozprawili się z Eleuzis bez porównania brutalniej niż z samą Olimpją, zniszczyli tam bowiem również budowle, i to w sposób straszliwy. W każdym zaś razie właśnie i dopiero wtedy, tuż po ostatniej olimpiadzie, przerwała się raz na zawsze nić prastarych misterii, nad którymi pieczę sprawowali z pokolenia w pokolenie kapłani zwani hierofantami. Poświadczą to wyraźnie Eunapios w swych *Żywotach sofistów*.

Przypomina najpierw z dumą, że ten sam hierofanta wtajemniczał niegdyś w Eleuzis młodego studenta, późniejszego cesarza Juliana, a w latach następnych i jego, Eunapiosa. „Właśnie dlatego, że to on mnie wprowadzał w misteria, imienia owego kapłana wskazać nie mogę; ale pochodził on z rodu Eumolpidów. Przepowiedział też w mojej obecności ruinę świątyń i zgubę całej Hellady. Oświadczył jawnie, że po nim obejmie godność człowiek, któremu nawet nie wolno dotykać tronu hierofanty, albowiem został już poświęcony innym bóstwom i złożył niezłomną przysięgę, iż nie stanie na czele żadnych poza tym kultów.

– Uczyni to jednak – zapewnił wtedy mój hierofanta. – Uczyni, nie będąc nawet Ateńczy-

kiem. Jeszcze za mojego życia świątynie zostaną zniszczone i zburzone, a tamten będzie na to patrzył, otoczony pogardą. Jeszcze za mojego życia dobiegnie kresu kult bogiń, a tamten utraci swoją godność, nie będzie ani hierofantą, ani też nie doczeka późnego wieku.

Co też się stało. Hierofantą został pewien człowiek z miasteczka Tespie, już piastujący wysoki urząd kapłański w kulcie Mitry. Niedługo potem rozpętał się potop nieszczęść wielkich i wręcz nie do opowiedzenia. Alaryk przeszedł na czele barbarzyńców przez Termopile tak łatwo, jakby przemierzał stadion lub błonie jeździeckie. Bramy Hellady otworzyła mu bezbożność tych, co nosząc czarne szaty wraz z nim bez przeszkód wkroczyli; a także złamanie i nieprzestrzeganie świętych praw hierofanckich<sup>85</sup>.

Owi bezbożnicy w czarnych szatach to oczywiście mnisi. Zdaje się więc wynikać ze słów Eunapiosa, że przynajmniej pewne odłamy chrześcijan skorzystały z najazdu barbarzyńców, aby przy sposobności rozprawić się cudzymi rękami ze zniechęconymi bałwanami oraz ich przybytkami. To by tłumaczyło, dlaczego właśnie w Eleuzis zniszczenia były tak gruntowne, tak systematyczne.

Dokładnie w piętnaście lat później, w roku 410, tenże sam Alaryk wkroczył jako zdobywca do Rzymu.

Wschodnia część Imperium miała trwać mimo wszelkich wstrząsów i zawieruch jeszcze bardzo długo, bo ponad dziesięć wieków, aż do tragicznego finału w roku 1453. Kiedy Turcy wdarli się w mury Konstantynopola, ostatni cesarz Rzymian Konstantyn XI zginął bohatersko walcząc do końca; ciała jego nie odnaleziono nigdy wśród stosów trupów, zalegających ulice miasta. Inaczej, jakże odmiennie, potoczyły się losy części zachodniej. Utraciła ona swój byt polityczny rychło, i to bez rozgłosu, wręcz niesławnie, w okolicznościach poniekąd groteskowych. Kres przyszedł już w roku 476. Co oznacza, że ktoś urodzony w latach ostatniej olimpiady był, jako starzec osiemdziesięcioletni, świadkiem zgonu cesarstwa na Zachodzie. Przyjmuje się w naszym kręgu kulturowym często i niemal powszechnie ów fakt i rok za umowną datę, zamykającą dzieje nie tylko Rzymu, lecz i całej epoki, zwanej starożytnością. Czy słuszny to pogląd? Jednym z celów tej książki było pokazanie, że jeśli już koniecznie chcemy szukać takiej daty i cezury, to bez porównania bardziej uzasadniona jest inna, wcześniejsza. Ta mianowicie, która się wiąże z okresem ostatniej olimpiady; uzasadniają ją zarówno liczne i poważne względy rzeczowe, jak też symbolika pewnych wydarzeń.

Tak samo też końcem naszej cywilizacji, przynajmniej w jej obecnym kształcie, będzie ów moment, w którym znicz olimpijski zapłonie po raz ostatni.

---

<sup>85</sup> Eunapios, *Żywoty sofistów*, 476.